

Marcin

WOLSKI

13

gabinet



wydawnictwo
czerwone
i czarne

Książka wstrzymana po 10 kwietnia 2010

Marcin Wolski

13. gabinet

ISBN 978-83-7700-018-2

Warszawa 2011

Słowo wstępne

Ta książka powinna była się ukazać rok temu. Miała być ostra i wesoła, ukazywać paradoksy i śmieszności polskiej polityki w okresie zbliżających się jesiennych wyborów prezydenta RP. Miały w niej obrywać wszystkie strony, z tym że z natury rzeczy - rządzący bardziej. Opowieści postanowiłem nadać charakter historii kryminalnej z elementami fantastyki. Stylistycznie nawiązywałem do radiowego „Klanu Szwendaków”, satyrycznej kroniki wydarzeń codziennych z początku lat dziewięćdziesiątych. Z doświadczeń „Polskiego Zoo” wyniosłem zasadę, że bicz satyry powinien być ostry, ale nie chamski. I tego się trzymałem.

29 marca 2010 roku napisałem upragnione słowo „Koniec” i mailem przesłałem tekst do wydawnictwa.

Tydzień później, po miłym odzwieciu redakcji, dokonałem jeszcze paru kosmetycznych poprawek i ustaliłem ostateczny tytuł. Kolejna informacja brzmiała, iż wydawnictwo przyspiesza z drukiem i „Trzynasty gabinet” ukaże się w ciągu miesiąca.

A potem wszystko runęło.

Jak nasz samolot.

Tamtego strasznego poranka jednym z pierwszych telefonów, które wykonałem, był ten do wydawnictwa: „Zapomnijcie o książce! Kiedy się pozbięram, napiszę wam coś innego”.

I napisałem: „Cud nad Wisłą”, z tymi samymi bohaterami dwadzieścia lat wcześniej. Historię optymistyczną. Prawie.

Minał rok. Ciężki rok. Zapomniałem o „Trzynastym gabinecie”, mimo że ten realny trwał, usiłował rządzić, coraz mniej śmiesznie, ale ciągle ze sporym poparciem.

A potem dałem się przekonać, że mimo wszystko należy opublikować tę powieść. Jako dokument, jako zapis naszej świadomości sprzed roku, zanim ogarnęła nas narodowa trauma. A jednocześnie świadectwo, że wiele może się zmienić po to, by nic się nie zmieniło.

Jestem świadom ryzyka związanego z tą książką... Nawet mnie, autorowi, ciarki przechodzą po plecach przy niezamierzonych skojarzeniach czy przebłyskach jasnowidzenia, a śmiech zatrzymuje się w gardle.

Ale w jaki sposób błazen ma czcić pamięć ludzi mu bliskich, jak nie żartem?

I dlatego ową historyjkę o nas samych, bez zmian i retuszy, w wersji, w jakiej 10 kwietnia 2010 roku była gotowa do druku, dedykuję moim bohaterom. Z tej i poprzedniej książki.

Prezydentom Lechowi Indykiewiczowi i Ryszardowi Gęsiarowskiemu, a także suwnicowej Annie Makuszyńskiej oraz wszystkim pozostałym, dla których nie zdążyłem wymyślić pseudonimów.

Historia zniknięcia i odnalezienia szamana Czerwonki jest fikcją literacką. Część jej bohaterów zrodziła się w głowie autora, a podobieństwo innych do autentycznych postaci, choć nieprzypadkowe, jest również mocno naciągnięte do potrzeb fabuły. Dlatego warto zaznaczyć, że rzeczywistość świata nie jest prostym odbiciem naszego globu AD 2010, zaś postacie Alojzego Czerwonki, Brygidy Jarmuły, Eryka Miziaka, Elwiry Ptasio, Weroniki Iwan, Arkadego Gusiewicza, gangsterów „Jankesa” i „Rękosia” czy gwałciciela Jana Lepieszki wraz z rodzinami, świadkami, itp. są kompletnie zmyślane.

I.
Zniknięcie
Alojzego Czerwonki

PONIEDZIAŁEK

Początkowo zniknięcie Alojzego Czerwonki nie wywołało większych reakcji. Powiedzmy z naciskiem, nie wywołało żadnych reakcji! A w każdym razie w stosunku do tego, co zdarzyło się później, gdy afera miała wstrząsnąć posadami państwa, zmienić wynik wyborów prezydenckich, a na koniec omal nie doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej.

Początek wyglądał niewinnie jak Ania z Zielonego Wzgórza przystępująca do pierwszej komunii. Znudzony policjant peryferyjnego komisariatu, w mieście, które chlubne proletariackie tradycje miało dawno za sobą, widywał dziesiątki takich zapłakanych żon jak obywatelka Czerwonkowa.

Pani Zofia reprezentowała w najdoskonalszym stopniu typ nieokreślony - nie była ani stara, ani młoda; ani ładna, ani brzydka, a nawet jeśli idzie o płeć... „Gdyby ją ubrać bardziej po męsku...?” - na samą myśl starszy aspirant Eryk Miziak zachichotał.

- Słucham pana? - zapytała Czerwonkowa.

-Nie, ja tylko tak, do siebie. A zatem kiedy współmałżonek był łaskaw zniknąć? - zapytał maksymalnie uprzejmie, tak jak go uczono na kursie policyjnej etyki. Spodziewał się, że w odpowiedzi usłyszy, że przed godziną albo w najlepszym razie wczoraj.

- Tydzień temu.

- Tydzień, mówi pani? - zmartwił się funkcjonariusz, widząc, że sprawa wygląda gorzej, niż myślał. Kawalerska trzydniówka należała do zjawisk stosunkowo normalnych, a interesantka zawracająca głowę była łatwa do spławienia. Ale tydzień? Niedobrze. Sprawie trzeba będzie nadać bieg. -I dopiero teraz pani zgłasza? - burknął.

- Byłam z dziećmi u dziadków. Nie miałam żadnych powodów do obaw. Wracam i zastaję pusty dom.

-Bywa! - z policyjnego doświadczenia znał takie sytuacje. Żona tylko co wyjeżdża z dziećmi, a mąż jak pies urwany z łańcucha rusza w Polskę. Tylko po co ma ruszać, mając chatę wolną?

- A kiedy pani wróciła? - Wczoraj wieczorem.

- To skąd podejrzenie, że nie ma go od tygodnia?

-Nie odbierał listów ze skrzynki. Nie robił zakupów w naszym sklepie. Nie reagował na telefony ode mnie. A sąsiedzi ostatni raz widzieli go w zeszły poniedziałek albo wtorek. Sprawdziłam w szpitalach, czy nie trafił tam jako ofiara wypadku czy zawału...

- Widzę, że przeprowadziła pani całe śledztwo - cmoknął z podziwem funkcjonariusz.

- A przeprowadziłam. I parę rzeczy jest zastanawiających. Jego rozładowana komórka leży w domu. Podobnie jak prawo jazdy i pozostałe dokumenty.

- Rozumiem, że nie zabrał samochodu?

-Stoi w garażu. Wie pan, jeden z tych blaszaków za osiedlem... Stary polonez z przyczepką- ciągnęła dalej, uprzedzając kolejne pytania. - Tak samo wszystkie jego lepsze garnitury wiszą w szafie. Gorsze zresztą też. Brak tylko starego swetra i kurtki, którą zabierał do roboty, na działkę.

- A koledzy co mówią?

- Nie miał kolegów.

- Zawsze są jacyś koledzy. Choćby z pracy.

- Mój mąż nie chodzi do pracy.

- Bezrobotny?

-Niezupełnie. Jest konsultantem. Jak ma zlecenie, to pracuje. Jak nie, to siedzi w domu.

- Rozumiem. A małżonek jest tym konsultantem w zakresie...?

-Nie wiem czego.

Miziak miał w tym momencie minę kierowcy wyścigowego, któremu akurat skończyła się droga.

- Jak to pani nie wie?!

-Normalnie. Jak żeśmy brali ślub, Alek poprosił, abym nigdy nie wsadzała nosa w jego sprawy. Wtedy on nie będzie wsadzał w moje. I trzymamy się tego ponad dwadzieścia lat.

- Szlachetna zasada - policjant pokiwał głową. Przed paru laty próbował ustalić podobny *modus vivendi* z własną żoną, ale się nie udało. Być może dlatego na jego palcu brakowało obrączki, a w łóżku podczas mrozów mógł się dogrzewać jedynie termoforem. - Ale z grubsza czym się pan... - zajął do notatek - pan Alojzy zajmował?

- Z grubsza też nie wiem.

- Jednak chyba ukończył jakieś szkoły, coś studiował...?

- Studiował parę fakultetów, ale niczego nie skończył: filozofię, kulturoznawstwo, był też krótki czas na akademii teologicznej...

Policjant podrapał się po głowie. Jakoś trudno mu było sobie wyobrazić faceta, który utrzymywałby się z udzielania konsultacji filozoficznych.

-Rozumiem jednak, że powodziło się państwu znośnie...?

- Różnie. Bywało nieźle, ale czasami to żeby gazety przeczytać, chodził do McDonalda. Na szczęście ja cały czas pracuję.

- W charakterze?
- W przedszkolu. Jestem intendentką.

Nieoczekiwanie zadzwonił telefon. Miziak zobaczył na wyświetlaczu napis „podkomisarz Jarmuła”.

-Tak?

- Gwałciiciel znów uderzył - usłyszał w aparacie. - Będziesz mi potrzebny.

- Gdzie?

-W Stężynie.

-Dobra, zaraz tam będę. Przepraszam - zwrócił się do Czerwonkowej - niestety, musimy przerwać naszą rozmowę, obowiązki mnie wzywają. Oczywiście zajmę się sprawą. Niech mi pani tylko zapisze swój adres i telefon.

-Może powinnam jeszcze z kimś porozmawiać? - kobieta niezadowolona z wyniku rozmowy rozglądała się po pokoju, w którym poprzednik Miziaka kolekcjonował portrety szefów resortu - skutkiem czego w przedziwnej koegzystencji na jednej ścianie Andrzej Milczek sąsiadował z Leszkiem Killerem, Ludwik Horn z Januszem Kraczmakiem, a Antoni Macierenko z Grzegorzem Detyną.

- Na przykład z kim chciałaby pani porozmawiać?

- Z pańskim przełożonym.

-Mój przełożony jest aktualnie na urlopie. Macierzyńskim.

*

Do Stężyna dotarł po trzech kwadransach. Po drodze musiał pokonać korek przy moście, a nie chciał włączać koguta.

-Uciekł. A prawie go miałam - Brygida Jarmuła nie kryła irytacji. Nim jednak Miziak zdążył zareagować, zapytała: - Masz kable? Już go dochodziłam, kiedy z bocznej dróżki wytoczył się traktor, zahamowałam, silnik zgasł. I zdechł na amen.

- Zapamiętałaś numery wozu podejrzanego?

- Jakie numery? Na rowerze uciekał! - mruknęła ponuro. - Nawet rysopisu nie mam, bo naciągnął na twarz kominiarękę.

- A ofiara?

-Nic nie widziała. Jak zwykle zaszedł ją od tyłu, ostrzegając, że jak odwróci łeb, to po niej. No to zachowywała się dokładnie jak pozostałe, zgodnie z tym, co pokazuje w swych „rekonstrukcjach” telewizja.

- Gdzie ją dorwał? - starannie oskrobał klemy i nałożył zaciski.

- W magazynie za sklepem. Wchodziła od podwórza po towar. Wślizgnął się za nią...

- A ty jak się tu znalazłaś?

-Moja informatorka zadzwoniła do mnie, mówiąc o jakimś obcym, który kręci się w pobliżu. Byłam niedaleko, toteż spóźniłam się dosłownie o minuty.

- No to przynajmniej wreszcie mamy rysopis tego przyjemniaczka.

-Niezupełnie. Moja informatorka jest niewidoma, ma za to genialny słuch i niezwykły węch. W dodatku siedzi pod kościołem cały dzień.

- Cholera, kłapa!

- Niezupełnie, ktoś mógł go widzieć.

- Myślę o samochodzie - zrezygnowany Miziak zaniechał prób zapalenia jej wozu. - Nic nie poradzę. Poszło coś poważniejszego niż alternator.

- Stary szmelc! A ja powinnam być już na mieście - zmartwiła się Brygida.

- Ja też. Siadaj, podrzucę cię.

Zwinnie wsunęła się na fotel pasażera.

Podkomisarz Brygida Jarmuła mogłaby być piękną kobietą. Gdyby tylko chciała. Sęk w tym, że od zawsze owa obecnie trzydziestoletnia policjantka pragnęła być mężczyzną. Ubierała się po męsku, nosiła włosy ścięte krótko, a wszyscy w komisariacie współczuli jej piersiom ograniczonym przez spłaszczający stanik. Wyglądała, tak jakby była początkującą zakonnica, a nie doświadczoną funkcjonariuszką. Na temat jej życia intymnego krążyły rozmaite plotki. Mówiono, że sparzyła się podczas studenckiego romansu i od tego czasu ma dosyć. Pomawiano ją o lesbijstwo, ale jej stosunek do kobiet był identyczny jak do mężczyzn, może więc po prostu jedyną przypadłością, na jaką cierpiała, był pracoholizm.

Ostatnio pasjonowała się tropieniem „gwałciciela wojewódzkiego”, który działał na całym rozległym terenie, w niezwykły sposób trzymając się granic administracyjnych, co dowodziło jego nad wyraz rozwiniętego patriotyzmu lokalnego, ale nie pasowało do wizerunku psychologicznego, sporządzonego przez ekspertów. Inna kwestia, że cała sprawa, podchwyciona przez media, prezentowała się niejasno: poza pięcioma pierwszymi atakami reszta przypadków wyglądała dość problematycznie - zdemaskowano co najmniej trzy kobiety pragnące swe wybryki pozamałżeńskie zrzucić na karb gwałciciela. Podejrzewano też, że co najmniej kilku amatorów kwaśnych jabłek podszyło się pod „wampira” jak określały go media, używając sobie na jego konto. Jednak Brygida Jarmuła była zdania, że tym razem omal nie złapała tego właściwego.

- Gdzieś w pobliżu ma samochód - dodała z głębokim przekonaniem.

-Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Nikt nie wybiera się na tego rodzaju eskapady rowerem, w dodatku składakiem. Rower wykorzystuje podczas ataku, a później zapewne chowa go w bagażniku. Dlatego nie próbowałam nawet namawiać władz na obławę.

-I tak by jej nie zarządzono. Sprawa nie ma priorytetu. W końcu facet nikogo nie zabił.

-No to możemy tylko mieć nadzieję, że prędzej czy później ukatrupi którąś ze swych ofiar.

W rewanżu opowiedział jej o Czerwoncu. Ku jego zaskoczeniu nie potraktowała tego wyłącznie w kategoriach anegdoty.

- To bardzo ciekawe, bardzo - powiedziała - i co zamierzasz z tym zrobić?

Popatrzył na nią zdziwiony, jakby zadała mu pytanie o pomoc charytatywną dla dotkniętego przez trzęsienie ziemi Haiti.

- Sporządzę notatkę. Niech uznają go za zaginionego.

-I to wszystko?

-Nie możemy zajmować się każdym zaginionym mężem. Sprawdziłem w bazie danych. Facet nie jest notowany. Nie miał związku ze światem przestępczym, nie piastuje żadnego ważnego stanowiska...

- A jeśli żona go zarąbała przed wyjazdem na urlop?

- Gdybyś widziała tę żonę, taki pomysł nawet by ci nie przyszedł do głowy.

*

Brygida Jarmuła całe życie marzyła o wielkiej sprawie. Takiej, dzięki której znajdzie się jeśli nie w podręcznikach kryminalistyki, to przynajmniej na pierwszej stronie poważnej opiniotwórczej gazety. Bycie jednodniową bohaterką „Fucku” czy „Super Excesu” bawiło ją znacznie mniej.

Choć jak mawiał dziadek partyzant: *„Na bezrybiu i żopa solowief*. Wielka afera, seryjny zabójca lub choćby powikłana zbrodnia rodzinna - trafić coś takiego! A tu nic. Od paru lat we Wrocławku nie było nawet efektownego porwania.

Czuła, że gdyby to jej wpadła w ręce sprawa Olewnika, rozwiązałaby ją w tydzień. W końcu wstąpiła do policji, marząc właśnie o takich śledztwach, a nie żeby gonić jakiegoś wiejskiego ogiera, który gwałcąc, sieje tyle materiału genetycznego i zostawia tak wiele śladów daktyloskopijnych, zapachowych, rzeczowych, że w USA zidentyfikowano by go jednym kliknięciem komputerowej myszki. Ale nie u nas.

Przy dużych znajomościach wynik badań DNA przychodzi po miesiącu. Albo i nie.

Drugim motywem od lat nakręcającym jej działania była chęć udowodnienia swej wartości ojcu, który nigdy nie pogodził się z tym, że córka nie jest chłopcem. Jej stary jako negatywnie zweryfikowany uboś, dziś szef ochrony znanego potentata Ryszarda Czereśniaka, nawet teraz nie przestawał z niej pokpiwać. Dlatego w porywie desperacji zmieniła pięknie brzmiące nazwisko Jarmulińska na gminne Jarmuła, w dodatku niosące w etymologicznym rdzeniu pamięć genetyczną o jakichś starozakonnym przodkach.

Dziś jej intuicja podpowiadała, że za zniknięciem konsultanta Czerwonki może kryć się coś więcej niż pospolita zbrodnia. Dlatego postanowiła odwiedzić jego mieszkanie, ale wcześniej wpadła do Izby Skarbowej. Jeśli facet nie pracował wyłącznie na czarno, było to najlepsze miejsce, aby go namierzyć.

Kierowniczką Izby, pani Wanda, była szkolną koleżanką Brygidy, toteż bez większych ceregieli udostępniła jej PIT-y obywatela Czerwonki z ostatnich pięciu lat. Okazało się, że zarabia średnio od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu tysięcy rocznie, a jedyną firmą zatrudniającą go na umowy o dzieło jest agencja reklamowa Argus. Wejście na strony Krajowego Rejestru Sądowego dostarczyło dalszych informacji. Agencja Argus założona w 1990 roku z kapitałem zakładowym dziesięciu milionów (co podówczas równało się zaledwie tysiącowi obecnych złotych) należała w całości do Arkadego Gusiewicza. Znalazła tam również adres i telefon.

-Argus, słucham - po drugiej stronie odebrała jakaś pindulinda, o głosie wysokim jak wieża w Dubaju.

- Czy mogłabym rozmawiać z panem Gusiewiczem? - zapytała.

- A kto mówi?

Jarmuła podała swe nazwisko i stopień służbowy i głosik rozmówcy po drugiej stronie od razu trochę się stępił.

- Pan prezes jest aktualnie w pracy.

- To znaczy nie w agencji?

- W swojej państwowej pracy - poinformowała z naciskiem sekretarka. - Podać pani numer?

- Bardzo proszę.

Numer jak na Warszawę był zaskakująco prosty i łatwy do zapamiętania. Sygnał natomiast brzmiał niezwykle dźwięcznie. Ktoś odebrał. Ale był to tylko automat zgłoszeniowy.

„Kancelaria Prezesa Rady Ministrów... Wybierz tonowo numer albo czekaj na zgłoszenie się operatora”.

*

W życiu erotycznym starszego aspiranta Miziaka panna Brygida zajmowała znaczniejsze miejsce, niż mogła podejrzewać. Była mianowicie obiektem jego wyuzdanych fantasmagorii. Nie było nocy, żeby nie wyobrażał sobie jej nagiego ciała, jędrnością dorównującego palce policyjnej, także uczestniczącej w seksualnej akrobatyce jego marzeń. W akcji udział brały też pejcze, skórzane obroże, kaganiec, słowem wszystko to, o czym przy swej poprzedniej purytańskiej małżonce mógł jedynie pomarzyć. Czasami budząc się z ekstazy, sam sobie zadawał pytanie, czy pociąg ku kobiecie marzącej, żeby być mężczyzną, nie jest przypadkiem podświadomą skłonnością homoseksualną? Pocieszał się jednak, że w skorupie twardego funkcjonariusza kryje się drobna, słodka kobietka, wymagająca jedynie odpowiedniego podejścia. Z pejczem!

Tego wieczoru oddawał się owym marzeniom na pograniczu snu i jawy, kiedy do rzeczywistości przywołał go dzwonek do drzwi. Wyjrzał przez wizjer. O kurczę! Marzenie się zmaterializowało.

-Już spałeś? - zapytała Brygida, pakując mu się do mieszkania i nie dając mu szans na choćby symboliczne uprzątnięcie wnętrza. - Musimy porozmawiać. Nawet nie wiesz, na co trafiłeś.

- Ja?... - aspirant z trudem usiłował uporządkować płynne granice między snem a jawą, a nade wszystko dopiąć spodnie.

- Przyjrzałam się trochę sprawom tego twojego Czerwonki i nie zgadniesz, do czego doszłam. Wiesz, dla kogo on pracował?

-Nie mam pojęcia.

- Honoraria płacił mu niejaki Arkady Gusiewicz.

- A kto to jest Gusiewicz?

- Dokładnie jeszcze nie wiem. W każdym razie ktoś ważny w kancelarii premiera.

Miziak gwizdnął.

- Kobieto, w co ty się pakujesz? Za wysokie progi na nasze nogi...

-Czekaj, czekaj! Rozmawiałam z tym Gusiewiczem. Nie próbował mnie splawić.

A nawet umówił się na rozmowę.

- Nie do wiary.

-Jeśli nie wierzysz, to może posłuchasz? - wyciągnęła komórkę służącą jej dość często jako magnetofon. - Takie czasy, że trzeba nagrywać każdego rozmówcę. Nacisnęła „play”...

„Nie wiem, o co pani chodzi” - głos był niski, poważny, tak jakby dobiegał z dołu pleców człowieka od lat przywykłego do pracy siedzącej. „O Alojzego Czerwonkę”.

„Czerwon... Wżyciu nie słyszałem tego nazwiska” - nawet absolwent skróconych kursów psychologii mógł poznać, że rozmówca kłamie.

Dlatego niezrażona ciągnęła dalej:

„Jednak płacił mu pan. Całkiem przyzwoite kwoty. Przez co najmniej pięć lat”

„Ja?”

„Konkretnie firma Argus”.

„Z tego, co wiem, firma Argus zawiesiła swoją działalność, a ja dobry czas temu sprzedałem swe udziały”.

„Z KRS to nie wynika, poza tym ciągle figuruje tam Arkady Gusiewicz jako prezes”.

„To mój syn. Dziadek był Arkady, ja jestem Arkady, to i on zgodnie z tradycją nosi to imię”.

„Rozumiem, taka firma pod Arkadami. Jednak sekretarka skierowała mnie tutaj”.

„Z przyzwyczajenia”.

„Poproszę w takim razie o namiary na pańskiego syna”.

„Z przyjemnością. Chociaż kontakt z nim może być utrudniony; syn aktualnie nurkuje na Wyspie Kokosowej u wybrzeży Kostaryki”.

„Kiedy wraca?”

„Nie mam pojęcia. To duży chłopiec i nie spowiada się ze wszystkich swoich wycieczek tatusiowi. Ale... Może mogę pani w czymś pomóc, w miarę swoich skromnych możliwości. Wymieniła pani nazwisko jakiegoś Czerwoniaka...”

„Czerwonki!”

„Czymś się naraził?”

„Tego jeszcze nie wiemy. Ale tydzień temu wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił”.

„O kurwa!” - powiedział Gusiewicz i odłożył słuchawkę.

- Ciekawe - rzekł Miziak - zadzwoniłaś powtórnie?

-Nie raz, ale nie udało mi się uzyskać połączenia. Jednak nie minęło pół godziny, a otrzymałam SMS-a następującej treści: „JUTRO 12! KAWIARNIANA ROZDROŻU AG”.

- Podziwiam cię - miał ochotę ją uścisnąć, ale profilaktycznie cofnęła się o krok.

- To nie koniec. Szukałam informacji o panu Arkadym.

- Zgaduję, że ciężko było...

-Bardzo, ale tatuś mi pomógł. Znał kapitana Gusiewicza jeszcze z lat wspólnej pracy w Służbie Bezpieczeństwa. Wprawdzie pan Arkady pomyślnie przeszedł weryfikację w III RP, ale odszedł ze służby i zajął się reklamą i marketingiem politycznym. Od dwóch lat pracuje w kancelarii premiera.

- Na stanowisku?

- Oficjalnie nie ma takiego stanowiska. Nieoficjalnie nazywa się je kierownictwem Biura Obsługi Osobistej Prezesa Rady Ministrów.

-I wiadomo, czym się zajmuje?

-Na przykład kupowaniem piłek futbolowych czy kijów do golfa dla premiera i jego drużyny.

- Ciekawe - aspirant zadumał się, ale Brygida nie pozostawiła mu wiele czasu na myślenie.

- Tak czy owak, jadę skoro świt do Warszawy. Pojedziesz ze mną?

- Ale nasza praca? Gwałcił.

-Nie ucieknie! Po ataku przynajmniej dwa dni odpoczywa. Poza tym rozmawiałem z szefostwem. Również w twoim imieniu. Dostaliśmy dzień urlopu.

- Ja też?

- Oczywiście! Przecież do jutra nie naprawię mojego samochodu.

*

Różne duchy straszą w obiektach publicznych III Rzeczypospolitej. Wedle opinii licznych świadków w Pałacu Kultury jęczą cienie jego budowniczych. Są tacy, którzy twierdzą, że znajduje się tam co najmniej jedna ekipa zombie złożona z ludzi przypadkowo zamurowanych w trakcie prac konstrukcyjnych. Natomiast od czasu słynnej mszy papieskiej odprawionej na placu Defilad bezpowrotnie zniknął z kilometrowych korytarzy upiór Józefa Wissarionowicza Stalina. Może zresztą przeniósł się straszyć gdzie indziej.

W Belwederze jesienną porą pojawia się widmo księcia Konstantego, w dodatku przebranego w damskie szaty. Bywa, że wpadnie na drugą stronę do ambasady rosyjskiej i portiera o machorkę zapyta. Czasem zdarza mu się spłynąć na dół, do Łazienek Królewskich, i parkę zakochanych spłoszyć. Podobnie było i pewnego jesiennego wieczoru, gdy Wielki Książę okropnie przestraszył senatora Krzysztofa Pleśniewicza rozmyślającego akurat z jointem w ręku nad autorskim serialem telewizyjnym „Siedem grzechów głównych”. Wyłonił się nad stawem z mgły, mówiąc doń głosem strasznym: „Ósme: nie niuchaj!”, tak że

od tej pory senator biedaczyna nie może się pozbierać i sam przypomina ducha, tyle że zasłoniętego nie gieźłem, a immunitetem.

W Sejmie, o czym chętnie opowiada straż marszałkowska, pojawia się z kolei duch mężczyzny o wyrazie posepnym, acz zdecydowanym, w którym rozpoznano ministra Becka.

- Dlaczego akurat Becka? - dziwił się prowadzący w tej sprawie śledztwo marszałek.

- Bo strasznie beka - prostodusznie wyjaśniła jedna ze sprzątaczek.

W Pałacu Namiestnikowskim za czasów prezydenta Szwendaty straszło widmo wszechwładnego kretyna, a za Aleksandra Goryczki upiór Układu Warszawskiego. Orderami dzwonił, okowami doktryny Breżniewa brzękał, atak śmierdział alkoholem, że przez całe dwie kadencje nie dało się go wywietrzyć, co rodziło paskudne, a co gorsza, zupełnie bezpodstawne plotki pod adresem ówczesnego gospodarza pałacu. Nie koniec na tym. W przyziemiu tej samej budowli snuje się jeszcze ciągle duch pewnego stolarza z Henrykowa, który zmarł, drasnawszy się drzazgą z heblowanego właśnie Okrągłego Stołu, zatrutą jadem narodowej zdrady. Stolarz ten osierocił dziecinę o imieniu Magda, dlatego ktoś, kto nocą przechodzi koło lwów strzegących obejścia na Krakowskim Przedmościu i wsłucha się w ciszę, nie zwracając uwagi na popierdywania rumaka księcia Józefa, może wychwycić dochodzące gdzieś z zaświatów dramatyczne: „Magdalenko, Magdalenko!”

Gmach Urzędu Rady Ministrów, budynek stosunkowo nowszy, wzniesiony bowiem w 1900 roku jako siedziba Korpusu Kadetów im. Aleksandra Suworowa, w latach międzywojennych mieścił Główny Inspektorat Sił Zbrojnych, a po wojnie Urząd Rady Ministrów. Nic więc dziwnego, że co jakiś czas pojawia się w nim cień marszałka Piłsudskiego. Duch „Dziadka” nie zachowuje się jednak posągowo, raczej frywolnie, wykazuje bowiem duże poczucie humoru, płatając lokatorom URM-u różne figielki, z których najbardziej znanym było dopisanie na wszystkich aktach wychodzących z gabinetu premiera Killera zagadkowego zwrotu „lub czasopisma”, co kosztowało wiele miesięcy pracy komisję śledczą, a minister Aleksandra Dawidowska najadła się wstydu i więziennej zupy.

Z kolei za premierostwa Jerzego Guzka, ręcznie sterowanego z tylnego siedzenia przez Mariana Piękniewskiego, duch Komendanta nakreślił pewnego dnia na ścianie świetlisty napis „Maniek - Chce cię - Zaraz”, co spowodowało, że prezes Rady Ministrów w połowie zdania poderwał się i pogalopował do siedziby Związku Zawodowego „Solidność”.

W okresie rządów mecenasa Jana Olszy Marszałek lubił też pisywać szminką na lustrach w męskich toaletach hasło „lustracja, durnie!” Waldemar Kargul znalazł zaś kiedyś karteczkę z przestroga, która brzmiała: „Chłopski synu, przez imprezy trafisz kiedyś do Berezki”.

Za czasów Jarosława Indykiewicza duch złagodniał, ograniczając się jedynie do prostych żartów. Na przykład kaczuszkę gumową na fotelu potrafił położyć. Gdy ktoś na niej usiadł, od razu wydawała dźwięk imitujący puszczenie siarczystego bąka, co najczęściej przydarzało się wicepremierowi Trądzikowi i nikogo szczególnie nie dziwiło. Z kolei innemu wicepremierowi potężnej postury, Romanowi Graczychowi, duch, nawet po śmierci nienawidzący endekoidów, posmarował klejem fotel, tak że ten wyrwany przez szefa do odpowiedzi wstając energicznie, wyskoczył ze spodni - a miał pod spodem różowe kalesony w kwiatki.

Później ducha widywano już rzadziej. Czasem po ścianie korytarza przemknął słaby cień, w dodatku w pikielhaubie, co zdaniem gabinetu politycznego premiera Ronalda Ducka stanowiło niesmaczną aluzję do głośnej sprawy dziadka w Wehrmachcie.

Hałas, a raczej wrzask, który tej nocy skłonił do działania wartownika, nie przypominał jednak dawnych figli płatanych przez duchy - był ostry, wibrujący, zakończony dzwoniącą w uszach ciszą. Obaj ochroniarze popatrzyli na monitory, aliści na żadnym nie zauważyli niczego niepokojącego. Mimo to funkcjonariusz Siebuła postanowił dokonać obchodu URM-u i jego okolic. Aleje Ujazdowskie były puste. Nie pozostał nawet ślad po namiotowych miasteczkach pielęgniarek, nie koczował też żaden samotny protestant, tak często obecny za poprzednich gabinetów. Strażnik nieco uspokojony ruszył wzdłuż budynku. Z każdą chwilą czuł się lepiej. Niedobrze zrobiło mu się, kiedy dotarł na tyły, zobaczył tam bowiem ciało mężczyzny nadziane na stelaż od flag, który ktoś, zapewne przez zaniechanie, pozostawił pod oknami. Mimo przerażającego wyrazu twarzy denata wystarczył jeden rzut oka, aby przekonać się, że martwym nieszczęśnikiem, który najprawdopodobniej wypadł z okna na najwyższym piętrze (ponieważ tam właśnie firanka powiewała na zewnątrz okna), był kierownik Biura Obsługi Osobistej Prezesa Rady Ministrów, Arkady Gusiewicz.

II. Dzieje

WTOREK

Chłodny powiew od strony gór miał orzeźwiający smak nienagannie działającej klimatyzacji, na horyzoncie wśród wznoszących się ośnieżonych szczytów szybował kondor... Jeszcze chwila, a wielka tarcza słoneczna wyłoniła się znad horyzontu, oświetlając prastarą ziemię Inków.

Tego wtorku Ronald Duck, premier Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, biegał, czując się, jakby rzeczywiście uprawiał jogging na indiańskiej ścieżce, a nie na ruchomym bieżniku w piwnicy kancelarii, wśród plazmowych ekranów imitujących peruwiańskie pejzaże. Prawdę powiedziawszy, za tym sportem nie przepadał, i znał parę lepszych metod walki z kacem, ale na pewnym stanowisku nie wypadało inaczej: biegał dookoła Białego Domu Burak Obejma, widywano Władimira Butina w dresie i adidasach na wałach Kremla... Trochę trudniej było premierowi wyobrazić sobie w cielistym body Angelę Cyrkiel obiegającą Tiergarten, chociaż *Ordnung must sein!*. Italianiec Silvio Berlusconi wprawdzie nie uprawiał joggingu, tylko do odnowy biologicznej używał całego korpusu swych kochanek, jednak przeszczepienie włoskich tradycji seksualnych na mazowiecką ziemię chwilowo nie wchodziło w grę, więc pozostawało bieganie.

Czasami Ronald zastanawiał się, co tu właściwie robi. Na tym bieżniku, w tym gmachu? Miał to być krótki, pracowity przystanek przed prezydenturą, która jawiła się jako arkadyjska sielanka, składająca się głównie z przecinania wstęg i bankietowania z wielkimi tego świata... Tymczasem on z własnej woli zrezygnował z tej nęcącej perspektywy. I jak zapewniali doradcy, będzie musiał pracować jako premier, aż do emerytury. Po pierwsze, dlatego że życzył sobie tego elektorat. A po drugie, dlatego że wolał nie wyobrażać sobie swego losu po oddaniu władzy. Jak to ładnie opowiadał mu premier Putin na molo w Sopocie: „Można jechać na tigrze, problem powstaje dopiero, kiedy trzeba z niego zsiąść”.

Brzęczyk na kierownicy roweru wskazywał, że dobiegł do mety. „Kurwa mać, trzeba było zaczynać kolejny dzień rządzenia tym durnym narodem, który z bliżej nieznanym powodów tak mnie sobie umiłował!” - pomyślał.

Śmierć Gusiewicza była oczywiście głównym tematem porannego spotkania doradców z szefem, choć prawdę powiedziawszy, Duck śmierci jako takiej nie lubił i gdyby coś sprzątnęło z tego padołu łez obu braci Indykiewiczów, oplakiwałby ich długo i żarliwie.

- Wiadomo już coś więcej o tym nieszczęśliwym wypadku? - rzucił, wchodząc do preżących się urzędników.

-I w ogóle czy to był wypadek?

Współpracownicy premiera popatrzyli po sobie, zastanawiając się, który pierwszy powinien zabrać głos.

-Na razie wykluczyliśmy udział osób trzecich - powiedział sekretarz stanu, pan Tomasz Turecki. - No, chyba żeby...

- Żeby co?

-Duch...

Rozległy się śmiechy, jako że Turecki należał w tym gronie do osób najbardziej zbliżonych do metafizyki, a jak twierdzili wtajemniczeni, z upoważnienia Ronka, w każdy pierwszy piątek miesiąca chodził za niego do spowiedzi.

- Z zapisu kamer na korytarzu wiadomo, że dokładnie o 12.30 Arek wypadł jak oparzony z gabinetu - zabrał głos Jacek Szeptański, nadzorujący z urzędu tajne służby. - Przebiegł korytarzem, dopadł do okna...

- Był sam?

- Do tego momentu sam.

- A potem?

-Nie da się stwierdzić. Akurat były usterki na taśmie... Trzydzieści sekund zakłóceń. Kiedy obraz się unormował, widać na nim było jedynie otwarte okno i falującą firankę...

-Czy to jakiś, kurwa, sabotaż? - ryknął premier, a jego dobrotliwe na co dzień oczy zwężyły się do rozmiarów luf broni śrutowej.

- Z powodu zarządzonej oszczędności w mniej newralgicznych punktach obiektu używane są kamery z zapisem taśmowym, aż do ich ostatecznego wyeksploatowania - powiedział cichutko Szeptański. - W każdym razie o tej porze poza ochroną nie było nikogo w całym gmachu.

- A Gusiewicz? Co ten kutas tam robił?

-Zawsze lubił pracować do późna. Taki typ - wtrącił rzecznik Paweł Struś, zauważając, że jeszcze nie zabierał głosu, choć powinien. Miał tego dnia wyraz twarzy skwaszonego ogórka, ale heroicznie postanowił nie chować głowy w piasek.

- A wiadomo przynajmniej, nad czym pracował wczoraj?

-Nie mamy pojęcia - wrócił do głosu Szeptański - zanim wybiegł z pokoju, profesjonalnie wyczyścił dysk, a następnie skopiował na niego całość biblioteki rządowej, sprawiając, że to, co było na nim wcześniej, jest praktycznie nie do odzyskania.

- Czyli działał celowo?

-Niewątpliwie. Oczywiście prędzej czy później dowiemy się, dlaczego to zrobił. Wiadomo, że parę lat temu rozwiódł się z żoną, na coś się tam leczył. Jest sto tysięcy powodów, dla których facio mógł mieć dosyć wszystkiego.

- Ma się rozumieć, że w komunikacie dla mediów mówić będziemy o nieszczęśliwym wypadku - podkreślił Struś. - „Sumienny pracownik kancelarii zauważył otwarte okno, wszedł na parapet, żeby je zamknąć. Podmuch wiatru, nagłe potknięcie...”.

- Był naprany? - przerwał mu Ronald.

- O tej porze mało kto bywa zupełnie trzeźwy. Poza tym nie mamy jeszcze wyników sekcji. Nie ma więc pewności, czy nie zażył jakichś prochów, chociaż to do niego niepodobne.

- A samobójstwo jest podobne?

- Niby też nie.

-Dobra, wyślijcie kondolencje żonie, zamówcie mszę z udziałem biskupa, ale niższego rangą... Co mamy następnego?

- Wyniki sondaży - odezwał się odpowiedzialny za ten odcinek pan Tomasz Turecki.

- Spada nam? - zainteresował się premier.

-Przeciwnie, rośnie!

- No to świetnie. Czy musimy się martwić, że nie mamy z kim przegrać?

- Z jednej strony to dobrze, ale z drugiej nie za bardzo. Te wyniki są za dobre.

- Za dobre? Co przez to rozumiesz? Próba jest przecież losowa?

- Oczywiście pytamy głównie w grupie obywateli, którzy zwiążali swój los z naszym. Na dobre i na złe, pod hasłem „M jak miłość”

- A pozostałe grupy?

-Nie chcą odpowiadać albo ciskają słuchawką, używając wyrażen zajebiście nieparlamentarnych.

*

Droga z Wrocławka do stolicy zajęła im mniej więcej tyle czasu, ile przebijanie się przez korki na peryferiach Warszawy. Inna sprawa, że Miziak nie jechał zbyt szybko, a dodatkowo jeszcze zwalniał na widok każdej mijanej tirówki. Dzień był piękny, wiosenny, toteż smagłe panienki wyroiły się przy szosie niczym ślimaki winniczki, tyle że bez skorupki. Najbardziej zaskakujące było to, że przy całym skromnym, roboczym stroju każda posiadała jakiś element patriotyczny - a to kawałek flagi, a to białą-czerwoną kokardę.

- A tym co się porobiło? - dziwił się aspirant.
- Oflagowały się, ogłaszając pogotowie strajkowe - odparła lepiej zorientowana Brygida.
- Z jakiego powodu?
- Żądają ułatwień wizowych i gwarancji socjalnych.

W trakcie drogi podkomisarz Jar muła zapoznała swego partnera z resztą swych ustaleń z dnia wczorajszego. Opowiedziała, jak to odwiedziła dom Alojzego Czerwonki - stary, jeszcze przedwojenny blok, o ponurym wyglądzie - ale tylko w niewielkim stopniu przybliżyło ją to do poszerzenia wiedzy o zaginionym konsultancie. Mieszkanie liczyło trzy pokoje: stołowy, dziecięcy i sypialnię, będącą również czymś w rodzaju gabinetu. Na regałach w korytarzu zauważyła mnóstwo książek starannie uporządkowanych jak w bibliotece. Były tam pozycje na temat Biblii, antyku, kultur latynoamerykańskich, filozofii, teologii... Nie brakowało też publikacji podróżniczych.

-Facet bardzo interesuje się światem - rzekła. - Choć, jak twierdzi żona, podróżowali mało.

- A dobrałaś się do jego komputera?

- Nigdy go nie miał. W ogóle to człowiek starej daty, wrogi nowinkom technicznym. Jedyńm sprzętem, jaki zauważyłam w domu, był archaiczny telewizor. Trudno uwierzyć, ale Czerwonko wie nie mieli nigdy aparatu fotograficznego. Ich zdjęcie ślubne sprzed dwudziestu pięciu lat to wszystko, co zdobyłam.

- A wyjaśniłaś, na czym polegały te konsultacje?

-Ani w ząb! Żona naprawdę nie wie. Podobnie nie wie nawet, co nasz Alojzy robił z pieniędzmi. Żył skromnie, dużo skromniej, niż można by sądzić na podstawie wpływów zawartych w PIT-ach.

Do restauracji Rozdroże omal się nie spóźnili. Nikt jednak na nich tam nie czekał. W każdym razie nikt o wyglądzie dyrektora z kancelarii premiera. Miziak obszedł stoliki, ale jedyny samotny mężczyzna, sprawiający wrażenie, jakby na kogoś czekał, okazał się starym, spróchniałym pederastą, który mrugnął znacząco do aspiranta i zapytał: „Chcesz zarobić, chłopczyku?”.

Sytuacja nie zmieniała się przez kwadrans ani przez następne pół godziny.

Z nudów uwaga Brygidy skierowała się na parkę, która zasiadła przy sąsiednim stoliku. Policjantka nie miała pojęcia, że przed laty było to ulubione miejsce opozycyjnego felietonisty Budynia (Stefana Budyniowskiego), chociaż jeśli nawet pozostawił w nim przez swoje zasiedzenie jakieś nonkonformistyczne fluidy, to w nikłym stopniu przenikały one do kolejnych generacji żurnalistyki. A kto zasiadł tam dzisiaj? Pomimo że nie miała make-upu,

trudno było nie poznać najbardziej znanej dziennikarki telewizji TKN24 - Oliwii Mazut. Znanej głównie z przeciskania zapraszanych polityków przez wyżymaczkę. Tyle że jako dobra praczka kolory traktowała z osobna, szczególnymi względami obdarzając to, co czerwone. Przybyły na spotkanie z nią mężczyzna był ledwie trzydziestoparoletni, krótko ostrzyżony i doskonale ubrany, w sposób, jaki mogą się ubierać młodzi bezkompromisowi mężczyźni, robiący błyskawiczne kariery w strukturach państwa.

Akurat Miziak udał się do toalety w podziemia, mogła więc podsłuchiwać do woli.

-No więc morderstwo czy samobójstwo? - pytała dziennikarka.

- Oficjalnie mówi się o nieszczęśliwym wypadku.

- Oficjalne wiadomości to mogę usłyszeć w mojej stacji. Mów, co wiesz. Pomógł mu ktoś? Przecież wiadomo, że facet miał wpływy dużo większe od zajmowanej funkcji; jeśli cokolwiek działo się w tym gmachu, przechodziło przez jego ręce.

- Oliwia, nie teraz, nie tutaj! - młody człowiek, którego Brygida w myślach określiła krótko: „Przeciek”, niespokojnie rozejrzał się dookoła: Nie zauważył niczego podejrzanego, podkomisarz Jarmuła udała, że całe swe zainteresowanie skupia na mocno nieświeżej wuzetce.

Tymczasem wrócił Miziak i ożywiony zaczął opowiadać o starym, ale nader aktywnym homoseksualiście, który niezrażony wstępną odmową podreptał za nim aż do pisuaru. Brygida musiała wysilać wszystkie zmysły, żeby mimo jego gadulstwa móc wyłowić jakieś słowa z rozmowy przy sąsiednim stoliku.

- A w ogóle - powiedział „Przeciek” - to żaden news. Gdyby przez okno wyskoczyła minister zdrowia, mogłabyś przez tydzień wałkować ten temat, przepytując „bisiorów” o to, czy zaszczuli panią Klepacz, a ten... Przecież nikt nie wie, że ktoś taki w ogóle istniał.

W tym momencie nadeszła kelnerka i dalsze słowa redaktorki utonęły w brzęku filiżanek i łyżeczek. „Jakie ciężkie musieli mieć życie ubecy, w czasach kiedy nie istniały mikrofony kierunkowe czy pluskwy wielkości łebka od szpilki...” - pomyślała policjantka.

Tymczasem klienci z sąsiedniego stolika wstali.

-Ja jeszcze zostanę! - powiedziała redaktorka, w pewnych kręgach określana mianem „maglowej”.

- Coś tak zaniemówiła? - zapytał Miziak, który dopiero teraz zorientował się, że jego partnerka go nie słucha. Omal nie zabiła go wzrokiem.

Tymczasem redaktorka Oliwia Mazut wyciągnęła komórkę i wybrała jakiś numer.

-Adam - powiedziała bez wstępów - chyba powinniśmy pogadać. Gusio nie żyje. Wyskoczył z okna.

*

- Mamy pierwsze informacje - zameldował dyrektor Jacek Kaszana swemu agencyjnemu przełożonemu o symptomatycznym nazwisku Krzysztof Kloziak.

- Mów Jacuś, mów!

- Do godziny 15.28 dnia wczorajszego obiekt zachowywał się normalnie.

Jednak od tego momentu jego działania zaczęły wyglądać nerwowo. O 15.31 opuścił gmach. I ruszył w kierunku Śródmieścia. Akurat mieliśmy dwóch wolnych ludzi...

- O draniu - Kloziak żartobliwie pogroził mu palcem - inwigilujemy własnych urzędników?

-Inwigilowano to wiatach dziewięćdziesiątych, Krzychu, prawicę! My ich jedynie zabezpieczamy. Na wysokości ambasady amerykańskiej Gusiewicz wdał się w gadkę z jakimś gówniarzem i kupił od niego telefon komórkowy, z którego odbył później kilkanaście rozmów.

- Znać numer tej komory?

- Ustalamy. Nie jest to jednak proste. Sprzedawca telefonu wskoczył do autobusu. I tyle go widzieli. Potem dyrektor złożył wizytę w banku. Wyjął z konta całą posiadaną walutę i opróżnił schowek, wydał też polecenie przelania aktywów bieżących i z funduszy na rachunek syna. O 17.05 w garsonierze na Ścianie Wschodniej spotkał się ze swoją kochanką Elwirą Ptasio, z którą spożył pół butelki koniaku oraz odbył dwa i pół stosunku.

- Dlaczego pół?

-Na lotnisko się śpieszyła. Wcześniej, pewnie zaraz po rozmowie z Arkiem, zabukowała lot do Zurychu na 21.15. Wsadził ją do taksówki i pieszo udał się do kościoła Świętego Aleksandra, gdzie zabawił pół godziny.

- A to po kiego?

- Chyba chciał się pomodlić. Musiał być w skrajnej desperacji, bo do kościelnej skarbonki wrzucił 1000 dolarów w banknotach studolarowych.

- Mam nadzieję, że twój człowiek...?

-Po przeliczeniu banknotów zostawił je w skarbonce. Za mała suma, żeby wchodzić w konflikt z sumieniem.

- Jak was znam, odliczył sobie od tego VAT. Co było dalej?

-Arkady wrócił do kancelarii. Moi ludzie ze zrozumiałych względów pozostali na zewnątrz.

- Wiadomo, co robił w biurze? Dzwonił gdzieś?

-Ani razu. Zajął się niszczeniem akt tak zawzięcie, że aż niszczarka się przepaliła. Zatem ścinki niósł do kibla i palił w sedesie, który pękł z żaru, a deska klozetowa jest do wymiany...

-Pieprzyć deskę!

-Następnie skasował pliki w komputerach, a laptop kompletnie zdemolował. Twardy dysk sklepał młotkiem i dla pewności zalał 99-procentowym spirytusem...

- Szelma! Od kogo się tego nauczył?! Od ministra Osierdzie?

- ... A o północy zrobił to, co zrobił. - Wiadomo już, dlaczego?

-Ni cholery. Jedyny sygnał to ten telefon z terenu, po którym mu odbiło. Dzwoniła niejaka Brygida Jarmuła, podkomisarz policji z Wrocławka. I pytała o jakiegoś gościa, który zaginął tydzień temu. Żółtaczka czy Zielonka... Mam. Czerwonka. Alojzy Czerwonka!

- Czerwonka zaginął? - Kaszana zauważył nagłą zmianę na twarzy szefa.

- Podobno jak kamień w wodę. Ale kto to taki, bo nigdy o gościu nie słyszałem?

*

Dopiero kiedy wyszli z knajpy Rozdroże, Brygida zwierzyła się koledze z tego, co podsłuchiwała przy sąsiednim stoliku.

- Tylko mi nie mów, że ważny dyrektor zabił się przez twój telefon w sprawie Czerwonki - sarknął Eryk.

- Nie mówię, chociaż wykluczyć tego nie można.

- Gdyby tak było, nie wysyłałby ci SMS-a umawiającego spotkanie.

Zmarszczyła brwi.

-Może w międzyczasie zdarzyło się coś jeszcze? Może chodzi o jakąś grubszą aferę, a może o obronność państwa. W końcu nie wiemy, na czym polegały i dla kogo były prowadzone te „konsultacje” Czerwonki.

-No właśnie. Nic nie wiemy, nie mamy poszlak, a nasz jedyny punkt zaczepienia w sprawie przeniósł się stąd do wieczności.

- Uważasz, że nic nie możemy zrobić?

-Ależ przeciwnie. Posiedliśmy w tej sprawie pewną wiedzę, której sami nie jesteśmy w stanie ocenić...

- Nawet nie próbowaliśmy!

-Inie próbujmy. Całe nasze zadanie to obecnie pozbyć się kłopotu, zgłaszając się do kogoś, kto prowadzi śledztwo - orzekł starszy aspirant.

- Droga służbową?

- Skoro jesteśmy na miejscu, można spróbować bezpośrednio...

I nim zdążyła go powstrzymać, heroicznie wtargnął na pasy i pomaszzerował w kierunku bielejącego wśród drzew budynku kancelarii.

Nie wiadomo, czy niżsi rangą funkcjonariusze dostali takie wytyczne, ale wartownik, do którego się zwrócili, już po chwili skierował ich na Rakowiecką 2, do Agencji Błogostanu Wewnętrznego.

- Czekają tam na was. Szczególnie na podkomisarz Jarmułę - powiedział wprawiając dwójkę prowincjonalnych policjantów w niemałe zdumienie. - Macie wóz, czy trzeba załatwić dla was transport?

„Zastępca komendanta AB W, podpułkownik Jacek Kaszana” - zdążył przeczytać Miziak na drzwiach gabinetu, kiedy kwadrans później w trybie przyśpieszonym dotarli na sam szczyt służbowej hierarchii. Wchodzili na miękkich nogach, w końcu dla prowincjonalnych szaraków były to naprawdę wysokie progi.

-Domyśliliście się, że was szukamy? - zapytał Kaszana, dość jeszcze młody dyrektor w cywilu.

-Nie, a w jakiej sprawie? - odpowiedziała Brygida, dość bezczelnie zakładając nogę na nogę.

-Rozmawiamy ze wszystkimi, którzy w dniu wczorajszym kontaktowali się z dyrektorem Gusiewiczem. Sama pani rozumie - zaczął tłumaczyć się Kaszana.

- Do dyrektora Gusiewicza doprowadził nas trop zaginionego konsultanta Czerwonki.

- Konsultanta? - Kaszana wyglądał na zaskoczonego, choć Miziak nie podejmowałby się odgadnąć czym. Tym, że Czerwonkę ktoś nazywał konsultantem, czy faktem, że oni o tym wiedzą? - Proszę mi opowiedzieć więcej o sprawie - dyrektor zwrócił się bezpośrednio do aspiranta, ignorując panią podkomisarz i jej błyszczące kolana.

-Nawet nie seksista! - pomyślała rozgoryczona Jarmuła.

Eryk Miziak ochoczo opowiedział wszystko, czego dowiedział się o sprawie sam lub z opowieści partnerki, dość bezczelnie zawłaszczając sobie rolę wiodącą w śledztwie. Kiedy starszy aspirant dotarł do końca, Kaszana wyraźnie się rozluźnił.

„Bał się, że dużo więcej wiemy? - pomyślała Brygida. Tylko co moglibyśmy wiedzieć?”.

Ale podpułkownik nie zamierzał jej informować. Wysłuchawszy relacji przeprosił ich na chwilę. Po powrocie rzekł, że bardzo dziękuje za ich postawę i chociaż nie ma najmniejszych

powodów, aby łączyć sprawę zniknięcia Czerwonki z nieszczęściem, które przydarzyło się dyrektorowi Gusiewiczowi, poprosił, aby w najbliższym czasie nie opuszczali Warszawy.

-Ale nasze obowiązki. Wzięliśmy tylko jednodniowy urlop - jęknął Miziak, a ściśle mówiąc, uwięziona w nim dusza służbisty.

- Aktualnie ścigamy niebezpiecznego gwałciciela - dorzuciła Brygida.

- Gwałciciel może poczekać. A co do waszego statusu... Będziecie... - Kaszana podrapał się w głowę - ...Od tej chwili przebywacie na pełnopłatnym szkoleniu. W sekretariacie dostaniecie skierowanie do punktu zakwaterowania i bony żywieniowe. Aha! Żadnych kontaktów z prasą! A gdyby coś, tu jest numer mojej prywatnej komórki. Jeszcze raz dziękuję wam za postawę.

Jadąc do hotelu, milczeli. Dopiero docierając na miejsce, Brygida powiedziała:

- Chyba wdepnęliśmy w jakieś większe gówno.

- Co ty mówisz? Przecież komendant powiedział, że obie sprawy się ze sobą nie wiążą.

- W takim razie po co zatrzymuje nas w Warszawie i funduje hotel?

Przy okazji po przybyciu na miejsce zakwaterowania wyszła na jaw pewna drobna komplikacja.

-Jak to mamy dwójkę? - zapiekliła się podkomisarz. - Przecież nie jesteśmy małżeństwem. Proszę nam dać dwie jedyńki!

-Niestety, nie mamy już wolnych jedynek - odparła z promiennym uśmiechem recepcjonistka.

- To proszę dać nam dwie dwójki - warknęła Brygida.

- Dwójek też nie ma - uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Aktualnie mamy w Warszawie wyjazdową sesję Interpolu pod nazwą „Efekt cieplarniany a wzrost kradzieży kieszonkowych”. Państwa pokój był ostatnim wolnym. Z osobistej puli kierownictwa, W ramach rekompensaty proponujemy państwu bezpłatny dostęp do minibaru - w tym momencie widać było już nie tylko całe dziaśła, przelyk, ale także perspektywę żołądka i dwunastnicy recepcjonistki.

- A w zęby chcesz?! - burknęła Jarmuła, biorąc klucz.

Pokój olśnił Miziaka. Gipsowe ściany, pościel w kolorze różu. Czyżby wynajmowano go policjantom na nocę poślubne, a może za zasługi w długoletnim pożyciu małżeńskim odpoczywali tu weterani walki i pracy? Wskazywało na to olbrzymie owalne łóżce.

- Śpię od ściany - oświadczyła policjantka bezosobowym tonem. I znikła w łazience.

Miziak nie wierzył własnemu szczęściu. Minibarek okazał się maksibarem, bijącym na głowę dawny Pewex. Biorąc pod uwagę ludową mądrość, która głosi, że wystarczy dobrze

podlać, a wszystko samo wyrosnie, kwestia dopadnięcia pięknej podkomisarz wyglądała w zasadzie tylko na formalność. Eryk jednak postanowił się nie śpieszyć. Owoc sam dojrzeje i wpadnie mu w ręce... Chociaż jeszcze nie tego popołudnia. Po kąpeli pachnąca jak reklama środków piorących Jarmuła nie miała ochoty na wspólną drzemkę. Postanowiła się spotkać z Gusiewiczową.

-Niczego się nie dowiesz, przecież rozwiodła się z mężem - studził jej zapał starszy aspirant.

-Nikt nie jest lepszym informatorem o sprawkach byłego męża niż była żona - odrzekła Brygida i wyszła, pozostawiając łożo, minibar i swego partnera w głębokiej rozterce co do ich wspólnej przyszłości.

*

W odróżnieniu od swego tajemniczego męża Irena Gusiewicz należała do osób medialnych, znanych dość powszechnie. Dawna spikerka telewizji, obecnie członek zarządu jednej z wielkich firm medialnych, bywała często bohaterką pism kobiecych, pojawiając się na rozmaitych rautach, aukcjach czy balach dobroczynnych, przeważnie w towarzystwie coraz młodszych mężczyzn.

Jak znaleźć na nią namiar? To akurat stanowiło najłatwiejszą część zadania. Magdalena Cholewko, koleżanka Brygidy ze studiów, pracowała w pewnej kolorowej szmacie, zajmującej się notorycznym zaglądaniem tak zwanym celebrytom do garnka lub nocnika, a nawet była tam naczelną. Recytując jak karabin maszynowy, przekazała komplet danych Gusiewiczowej, łącznie z rysopisem i numerem stanika. Dalsze postępowanie policjantki wynikało z prostej eliminacji. Gdzie mogła się udać nieutulona w żalu wdowa, którą całkiem niedawno rzucił jej ostatni kochaś, sportowiec - mięśniak wykreowany na idola programu rozrywkowego? Na zakupy albo do fryzjera! Jarmuła obstawiła tę drugą opcję. Nie mogła lepiej trafić. Jeszcze nie zaparkowała dobrze samochodu, kiedy ujrzała panią Irenę i jej platynowe włosy w rozbłyskach fleszy. Była otoczona przez paparazzich. Niewiele myśląc i nie wyłączając silnika, Brygida skoczyła w tłum. Swego czasu na podwórku dawała radę nawet trzem chłopakom, a później brylowała na wszelkich kursach technik walki. Toteż nie minęła minuta, a wyciągnęła Gusiewiczową z oka cyklonu, pozostawiając za sobą kilka rozbitych nosów i aparatów cyfrowych.

-Dokąd chce pani jechać? - rzuciła do oszołomionej celebrytki, gdy ta znalazła się bezpiecznie w jej wozie.

-Anin, XV Poprzeczna - odpowiedziała machinalnie pani Irena, do której jeszcze nie dotarło, co się właściwie stało. Dzień... Dziękuję pani za pomoc. Pani z prasy czy z policji?

- Ani jedno, ani drugie. Po prostu nie lubię natrętów - wyjaśniła z uśmiechem Brygida. - A że jestem w kadrze kick boxingu, wykorzystałam parę zawodowych umiejętności. A panią to po prostu uwielbiam!

- Mnie?...

- Mój tatuś to się po prostu w pani kocha. Za te „Kolorowe jarmarki”...

- Pani mnie chyba myli z Marylą Rodowicz? - Gusiewiczowa spoważniała.

- Skądże znowu, pani to przecież jest ta... Elektroda!

- Ależ dziecko, Doda jest młodsza ode mnie o generację.

-Nigdy bym nie powiedziała. Zresztą ja mało się znam na show-biznesie. Tylko ćwiczę i ćwiczę. Na olimpiadę muszę być u szczytu formy.

- To kick boxing jest dyscypliną olimpijską? - pani Irena nie była aż tak głupia, na jaką wyglądała.

-Na razie nie jest, ale w Londynie będzie. Gdy zobaczyłam, jak na panią napadli, to nie wytrzymałam... A co im się porobiło?

- Wszystko przez mego byłego męża, zachciało mu się na starość fruwać...

- W sensie przenośnym?

- W jak najbardziej dosłownym. Wskoczył z okna.

-Tacy oni są! - pokiwała głową Brygida. - Udają twardziela, a w środku galareta. Pewnie dupa go rzuciła?

-Akurat, Elwira by go rzuciła?! Trzymała się go tak, jakby była posmarowana klejem Ursus... I opłaciło się dziwce. Rok przemęczyła się ze staruchem i teraz ma wszystko. Moją biżuterię. Walutę. Willę w Szwajcarii!

-Takie to jest życie - Jarmuła wydawała się zupełnie nie słuchać pasażerki, choć w istocie chłoneła jej słowa każdym porem swego jędrnego ciała. - Jednego dnia człowiek ma mnóstwo planów, nadziei, a przychodzi jedna wizyta lekarska, bezwzględny werdykt i wszystko się wali.

- Arkady był zdrowy jak koń! I fizycznie, i psychicznie. Bo to, że lubił młode mięsko, to żadna choroba. Kto nie lubi... Aleja chyba zanudzam panią?

-Skądże znowu. To takie dla mnie... inne. Jak człowiek wstaje o 6.00 ima do przebiegnięcia trzydzieści kilometrów lasem, to w ogóle się nie zastanawia, że może istnieć inny świat.

-I może lepiej - wpadła jej w słowo wdowa. - Gdybym miała dwadzieścia lat mniej, chętnie bym się z panią zamieniła. Przynajmniej paru facetom mogłabym fachowo dać po mordzie.

Roześmiały się obie. W międzyczasie dojechały do Anina.

Ukryta wśród świerków wypasiona willa wskazywała, że dyrektor Gusiewicz nie pozostawił byłej żony nagiej i bosej.

- Może wpadnie pani na chwilę? - zaproponowała pasażerka, kiedy Brygida odmówiła przyjęcia stu złotych na benzynę.

- Jeśli już, to tylko na chwileczkę. Wieczorem mam jeszcze trening.

Gdyby zaproszenie nie padło, i tak by weszła, prosząc o lód do nadgarstka uszkodzonego w czasie walki z rojem paparazzich.

Wbrew oczekiwaniom pokoje w rezydencji urządzone z dużym wyczuciem, zdradzającym dobry gust właścicielki... a może tylko solidną pracą architekta wnętrz. Irena wprowadziła gościa do salonu i natychmiast sięgnęła do barku.

- Czego się napijesz? Koniaku czy whisky?

- Niestety prowadzę - wykręciła się Jarmuła - chętnie napiłabym się czegoś zimnego...

- Jest pepsi.

Wdowa, niezrażona brakiem towarzystwa do picia, nalała sobie pół szklanki koniaku i dopełniła ją zmrożoną colą. Już wcześniej Brygida zorientowała się, że samotne popijanie nie jest dla Gusiewiczowej dyscypliną nieznaną.

Z każdym wypitym łykiem gospodyni robiła się rozmowniej sza. Widać było, że od dawna nie miała przy sobie nikogo, przed kim mogłaby otworzyć serce.

I barek. Pani podkomisarz w zasadzie nie przerywała jej monologu, chociaż umiejętne przytaknięcia i równoważniki zdań precyzyjnie sterowały potokiem słów. Miała nadzieję wyłowić z tej pozornie nieskoordynowanej siklawy żalów parę istotnych informacji pozwalających zrozumieć, na przykład w jaki sposób były oficer Służby Bezpieczeństwa dorobił się tak imponującego majątku. Stary Jarmuła nie umierał z głodu, ale w porównaniu z Gusiewiczem był nędzarzem. Agencja reklamowa, o której nikt nie słyszał, nie mogła przynieść aż takich dochodów. Intuicyjnie czuła, że majątek może mieć związek z Czerwonką. Tylko jaki?

Pani Irena upiła się sentymentalnie, nie tracąc nic ze swej gadatliwości. W jej dywagacjach wypłynął wątek wspomnieniowy. Opowiadała, jak będąc cywilną pracownicą „wojskowości”, poznała równie młodego oficera, jak ich miłość od pierwszego wejrzenia

rozkwitła, jak został poczęty Arek Młodszy... I jak macierzyństwo spadło na nią razem z ustrój ową transformacją.

-Tatuś mi mówił - powiedziała Brygida - że aby utrzymać się w tamtych czasach na powierzchni, trzeba było mieć głowę na karku.

- Arek miał dwie! - zgodziła się Gusiewiczowa.

-I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zrobił nazbyt pazerny. No i nie myślał kutasem - Jarmuła nie odezwała się słowem, ale bacznie słuchała. - Jak on wczoraj płakał, jak mi się zalił przez telefon. Że to koniec, że dotarł do ściany, że nie ma wyjścia.

-Zawsze jest jakieś wyjście - skomentowała neutralnie pani komisarz, starając się, aby wdowa przypadkiem nie zmieniła tematu.

-Nie w politycznej mafii, kiedy wychodzi na jaw, że kantowało się tak samo wrogów, jak i przyjaciół... - urwała i w jej oczach pojawił się błysk czujności. - A właściwie dlaczego ci to opowiadam?

-Nie wiem - odparła spokojnie. - Pani mówi, ja słucham. Nie przerywam. Ale właśnie... Gdzie tu jest toaleta?

- Drugie drzwi - gospodyni wskazała korytarzyk biegnący wzdłuż domu i znów sięgnęła do barku.

Parcie na pęcherz policjantka odczuwała już od pół godziny, ale nie chciała zakłócać toku swobodnej wypowiedzi. Teraz pomknęła jak strzała. Po drodze zobaczyła jeszcze jedno drzwi. Załatwiwszy potrzebę, nie spuściła wody, tylko smyknęła na drugą stronę korytarza. Obecnie znajdowała się tu graciarnia - rower treningowy, parasole, stos garderoby... Przedtem jednak mieścił się tu zapewne gabinet pana Arkadego. Chociaż biurko już usunięto, pozostały na ścianach zdjęcia. Same znakomitości! Gusiewicz z Lwem Szwendaną i z Frankiem Typińskim, z prezydentem Aleksandrem Goryczką oraz Jolą Goryczkową. Z dynamicznym prezydentem Warszawy Pawłem Miętusem, z Leszkiem Killerem i z Ronaldem Duckiem... Jednak nie to zaskoczyło ją najbardziej. Nie wierząc własnym oczom, wzięła krzesło i przyjrzała się z bliska. Niesamowite! Na większości fotografii gdzieś z boku, w tle lub na trzecim planie dostrzegała niepozorną postać konsultanta Czerwonki.

„O w mordę jeża!” - pomyślała zaskoczona. Wróciła do toalety, spuściła wodę i po chwili znów znalazła się w salonie. Jej ostrożność wyglądała na zbędną. Gusiewiczowa, mocno podcięta, wpatrywała się tępo w lustro nad kominkiem, jakby szukając w nim odpowiedzi, kim jest ta stara baba ufarbowana na platynowo w modnym kostiumie od Versace?

„Jest moja - pomyślała Brygida - wszystko z niej wyciągnę.”

W tym momencie zaterkotał telefon. Pani Irena odebrała bardzo niechętnie po czwartym dzwonku.

- Jest u ciebie ta policjantka? - rzucił bez wstępu Kaszana i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Daj mi do telefonu!

Z miną myszy złapanej w potrzask Gusiewiczową podała słuchawkę „kickboxerze”

- Co pani wyprawia?! - huknął podpułkownik ABW. - Śledztwa się pani zachciało? Na własną rękę?!

- Kiedy wydaje mi się... - wybąkała Brygida.

-Niech się nic pani nie wydaje! Proszę natychmiast wracać do hotelu i zająć się swoim kolegą, bo fatalnie wpływa na niego samotność.

Ta informacja również była prawdziwa. Nie mogąc doczekać się powrotu swojej koleżanki, Miziak rozpoczął dość gruntowne studiowanie zawartości barku. Poznawał różnice dzielące whisky Black Label od Red Label, porównywał aromat brandy z goryczą ginu, skończył zaś na szampanie i dwóch puszkach piwa.

Po powrocie koleżanki kandydat na kochanka leżał w ubraniu i jednym bucie, rozwalony na owalnym łóżku, chrapiąc jak młot pneumatyczny.

Brygida westchnęła. Ściągnęła mu drugi but, potem marynarkę, z niemałym wysiłkiem przepchnęła rosłe cielsko ze środka na lewą część łóża i nakryła je różową narzutą dla nowożeńców. Potem zajrzała do lodówki. Niestety, zostało w niej jedynie parę batonów i zestaw orzeszków ziemnych. Zrezygnowana napiła się kranówki, przebrała w nocny dres i poszła spać.

*

Piłka nożna była wielką miłością premiera Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Mówiło się nawet, że gdyby nie był żonaty, pewnie by się z nią ożenił. Ronald Duck grał wedle stałego grafiku, naturalnie, jeśli nic nie przeszkodziło, na przykład prezydent Indykiewicz nie zażyczył sobie polecieć do Brukseli, bo wtedy Ronek musiał na złość głowie państwa wybierać się do Bukaresztu albo Sofii jedyną zdolną do lotu maszyną.

A zatem futbolowe spotkania odbywały się we wtorki i czwartki w Warszawie, a w weekendy w Trójmieście. Rzecz jasna, w piłkarską środę prezes Rady Ministrów z gracza przemieniał się w kibica. Można zadać sobie pytanie: kiedy miał czas na rządzenie? Otóż nie miał. Z rządzenia interesował go głównie wizerunek medialny, zresztą nim zajmował się minister Michał Pony, nie tylko z nazwiska podobny do karłowatego konika z Wysp

Brytyjskich. Pracowity, cichy, niepozorny, był idealnym urzędnikiem państwowym, który robił swoje i nie pchał się na świecznik. Doceniła go Służba Bezpieczeństwa PRL-u, werbując Poniego usilnie, chociaż jego wspomniana pracowitość była zarazem wadą. Oficer prowadzący nigdy nie mógł go znaleźć.

Tego wtorku wieczorny mecz „rząd PO kontra klub parlamentarny” przebiegał dla premiera doskonale. Przynajmniej w pierwszej połowie. Kiedy na boisku byli już wszyscy, wbiegł on, tradycyjnie w koszulce znakomitego Brazylijczyka Kaki. Opieprzył drużynę „przeciwnika” za złe rozstawienie i własną za brak uśmiechu na twarzach. Po czym zajął swoją ulubioną pozycję w pobliżu bramki przeciwnika, czekając na podania od zawodowego gracza w drużynie, niejakiego Cezarego Podkuchennego. Gdy je otrzymywał, strzelał i przeważnie trafiał. Kiedy nie trafiał, sędzia odgwizdywał faul na polu karnym i dyktował strzał. Gdy mimo to Ronald chybiał, zmieniano piłkę, a kiedy sędzia miał jakieś wątpliwości

- zmieniano sędziego.

Piłką zaś, jak to piłka, dość często wychodziła na aut, ale dzięki BOR-owcom rzucającym się za nią w pościg, błyskawicznie wracała do gry.

W drugiej połowie na boisko do drużyny klubu parlamentarnego wszedł nowy zawodnik i mecz się ożywił. Strona rządowa miała tym razem trudniej. Zdziwiony Duck musiał ze trzy razy przebiec boisko, by wesprzeć dziurawą linię defensywy, a na koniec, kiedy pracowicie dryblując, znalazł się wreszcie sam na sam z bramkarzem przeciwnika, zaś sędzia nie odgwizdał spalonego, jak spod ziemi wyrósł obrońca, precyzyjnym wślizgiem wybił piłkę, a gdy arbiter gotów był podyktować karnego, syknął do niego: „Chcesz skończyć jak »Fryzjer«?”.

- Grzechu!- premier nie posiadał się ze zdumienia.
- A co ty tu robisz?
- Gram - odparł lakonicznie były wicepremier Grzegorz Detyna.
- Nie powinienes przypadkiem pilnować naszego klubu parlamentarnego?
- Powinienem, ale akurat jest przerwa między sesjami, a najważniejsi gracze i tak są na boisku.

Do końca meczu wynik pozostał niewyjaśniony, a trzy minuty przed czasem, przy stanie 6:6 sędzia ogłosił zamknięcie spotkania.

Ronald w nie najlepszym nastroju udał się do szatni i wszedł pod prysznic. Niestety, nie mógł się rozkoszować strugami aromatyzowanej wody, bo zaraz za nim wtarabanił się do kabiny Detyna.

- Oszalałeś! Poszukaj sobie wolnego natrysku! - zawołał Duck.

- Musimy porozmawiać. A tylko tu nas nie podsłuchają - syknął Detyna.

- Kto mógłby niby mnie podsłuchać? Ja tu rządzę!

-A mało to byłych tajnych współpracowników, agentów służb specjalnych... Inie wiadomo, kto dla kogo pracuje. A lustrację zawiesiliśmy...

- No więc, o co ci chodzi?

- Znasz sprawę Gusiewicza?

- Chyba nadal nie żyje.

-I wiesz, dlaczego to zrobił?

- Podobno kręcił coś na boku i bał się, że to odkryjemy.

- Też. Ale głównie dlatego, że Czerwonka mu uciekł.

- Żebym jeszcze wiedział, kto zacz ten Czerwonka...

-Ależ ty masz krótką pamięć, Ronek! Nie pamiętasz nocy przed decydującym pojedynkiem z Indykiewiczem? - tu pochylił się i nie bacząc na intensywną strugę wody, począł powtarzać wprost do ucha premiera: - „Ducku, musisz; Ducku, musisz...”.

-Czekaj. To...? Cholera!

- Cholera, cholera. Czerwonki nie ma już tydzień. Licho wie, gdzie się podział. Może zabity. Może porwany.

- Ruskie?

-Ruskie to stosunkowo mało prawdopodobne. Ale jeśli przechwycili go czerwoni albo bliźniaki...?

-Nie mów! Indykiewicz nic o nim nie wiedzieli.

- Ale może już wiedzą. Radwan Wróbelki też ma ostatnio taki tajemniczy wyraz twarzy, jakby chciał nam sprawić niespodziankę.

- Myślisz, że mimo przegranych prawyborów mógłby chcieć zawalczyć o prezydenturę na własną rękę?

- Ja nic nie mówię, ale jego żona, Anna Apfelfsoft, już urządziła w ich dworku pokój na wzór Gabinetu Owulacyjnego.

-Niedobrze. Słuchaj, Grzechu, mógłbyś mi namydlić plecy? Głupio, jak tak stoimy...

- A ty mnie. Jak za starych, dobrych, liberalnych czasów.

Pozostali gracze z coraz większym zaniepokojeniem spoglądali na zamknięte drzwi kabiny. Wprawdzie mówiło się, że ostatnimi czasy przyjaźń Grzecha i Ronka jest bardziej niż szorstka, ale być może właśnie doszło do przełomu.

W końcu rzecznik Struś nie wytrzymał i zapukał.

- Zaraz wychodzimy - dobiegł ze środka głos premiera..

-Ciekawe, co oni tam robią... - zastanawiał się głośno poseł Janusz Moczypies, szef komisji Przyjazne Draństwo, jak i inni cierpliwie oczekujący w szatni na powrót lidera.

III.

Sprawa całkiem rozwojowa

ŚRODA

Starszy aspirant Miziak obudził się z kacem tak strasznym, jakby stratowało go stado szalonych krów. Kacowi fizycznemu towarzyszył psychiczny, kiedy zdał sobie sprawę, że obiekt jego marzeń przespał noc u jego boku, poduszka i złożona w kosteczkę pidżamka zachowały jeszcze jej zapach, a on tego faktu w żaden sposób nie zdyskontował.

Rano było za późno na amory. Brygida Jarmuła już się ubrała, a nawet w odruchu miłosierdzia przyniosła partnerowi kawę z automatu.

-No i co, pijaczku? - zapytała, kiedy desperacko wchłaniał w siebie ciemną, wodnistą ciecz.

- Długo kazałaś na siebie czekać! - mruknął.

-Spędziłam z panią Gusiewiczową pracowity wieczór... ale - popatrzyła na Eryka - może byś się umył i ubrał. Cuchniesz jak bimbrownia!

Posłusznie powlókł się do łazienki. Prysznic zrobił mu niezłe, a jeszcze lepiej obserwacja w lustrze swego ładnie umięśnionego ciała. „Nadal jeszcze mogę się podobać” - z dumą pomyślał. Owinął biodra ręcznikiem i wyszedł, aby olśnić Brygidę. Sama myśl o młodej policjantce lekko go podnieciła.

Ta jednak nie była już sama. Obok niej siedział nad wyraz ożywiony podpułkownik Kaszana. Miziak instynktownie wciągnął brzuch. Miało to jednak dramatyczny skutek, ręcznik zsunął się niczym węzowa wylinka i starszy aspirant stanął przed zwierchnikiem w całej swej nieregulaminowej goliźnie. Brygida zaśmiała się i odwróciła głowę.

- Zawsze mówiłem, że legendy o porannych wzwodach funkcjonariuszy są mocno przesadzone - skomentował bezlitośnie Kaszana.

Resztę rozmowy wypełniły konkrety. Dobra chwila minęła, zanim dotarło do prowincjonalnych funkcjonariuszy, że doktryna kierownictwa Agencji Błogostanu Wewnętrznego co do ich udziału w sprawie uległa zwrotowi o 180 stopni.

- Mieli państwo rację, zaginięcie obywatela Czerwonki ma pewien związek ze śmiercią dyrektora Gusiewicza i dlatego chciałbym prosić was o kontynuację śledztwa.

-Nas? - owinięty na powrót ręcznikiem Miziak spoglądał to na Brygidę, to na Kaszanę.

- Dlaczego nas?!

-Kierownictwo uznało, że im mniej osób wie o sprawie, tym lepiej. A wy i tak już wiecie. Poza tym pani podkomisarz dała wczoraj dowód swojej wyjątkowej przenikliwości - w tym momencie Jarmuła skromnie spuściła oczęta. - Zadania są dwa, a właściwie jedno. Ze

względu na dobro państwa trzeba jak najszybciej stwierdzić, co stało się z Alojzym Czerwonką, zlokalizować go, a następnie, jeśli znalazł się za granicą, przywrócić na łono ojczyzny. Oczywiście otrzymacie wszelką potrzebną pomoc. Jak trzeba będzie, dostaniecie śmigłowiec i ekipę anty terrorystów.

- Po pierwsze, najbardziej potrzebujemy informacji - wypaliła Brygida.

- Jakich?

- Chodzi o charakter konsultacji, jakie zamawiał Gusiewicz u Czerwonki. I z kim sam pozostawał w kontakcie.

Kaszana potarł z nagłą poczerwieniałą twarz.

-Tego akurat nie możemy państwu udostępnić. Oczywiście mamy billingi rozmów dyrektora z całą praktycznie czołówką naszej sceny politycznej - w myślach podpułkownika przewinęła się długa lista ViP-ów od Grzegorza Popieralskiego, szefa Lewizny Demokratycznej, przez Pawła Miętusa, lidera Szarych Demokratów, wicepremiera Waldemara Kargula, marszałka Sejmu Gommorrowskiego, ministra Radwana Wróbelki ego po Adama Lipkę z BiS-u, słynnego negocjatora w sprawach poufnych, brzydko pachnących. - Nie sposób jednak ustalić, które z tych rozmów Gusiewicza miały charakter służbowy, a które, rzekłbym... biznesowy. Tym jednak zajmiemy się we własnym zakresie. A wy... Moglibyście za to sprawdzić jedną rzecz. Zastanawiają nas trzy pogawędki odbyte w marcu i kwietniu z amerykańskim biznesmenem z Detroit, Edwardem Kujawą...

-Tym Kujawą oskarżanym o zabójstwo generała policji, którego Amerykanie nie chcą nam wydać? - zareagował Miziak.

- Tym samym. Jest to o tyle dziwne, że od kilku lat nawet ludzie Lewizny omijają go jak zadżumionego.

- Mimo wszystko chciałabym dowiedzieć się czegoś bliżej na temat owych tajemniczych konsultacji - upierała się Jarmuła.

- Ależ pani ciekawska! Nie wystarczy odpowiedź, że konsultacje to są konsultacje?

-Z takimi informacjami niewiele będziemy mogli zrobić. Nie wiedząc nic o charakterze pracy zaginionego, nie możemy szukać jego kontaktów, możliwych powodów...

Kaszana skrzywił się jak człowiek, który podjął decyzję o wyrwaniu zdrowego zęba.

- Mówiąc w skrócie, chodziło o wizerunek medialny. Konsultacje z zakresu PR-u.

- Za taką kasę? - wyrwało się Miziakowi.

- Dobry fachowiec, który może sprawić, że outsider wygra wybory, wart jest każdych pieniędzy.

- A Czerwonka to potrafi?! - zawołali oboje.

-Nic takiego nie mówiłem - Kaszana wyglądał na przestraszonego własną gadatliwością. - W każdym razie jest fachowcem wyjątkowo cennym.

- Kto ma Czerwonkę, ten ma władzę - rzuciła Brygida.

- W dużym uproszczeniu można zaryzykować takie twierdzenie. Ale do rzeczy. Pani Jarmuła od zaraz zajmie się poszukiwaniami w kraju, a pan Miziak za półtorej godziny ma lot do Szwajcarii. Z przesiadką we Frankfurcie - tu wyciągnął do niego bilet.

- Do Szwajcarii? - wybąkał funkcjonariusz.

- Niemiecki znacie?

- No, trochę znam.

- Nie jesteście gejem?

-W życiu!

- Zatem dostajecie za zadanie: maksymalnie zbliżyć się do panny Elwiry Ptasio, ostatniej kochanki Gusiewicza. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że wie coś istotnego na temat losu Czerwonki. Tu macie jej pełne dossier - podał teczkę opatrzoną stemplem „tajne/poufne”.

Miziak wziął ją delikatnie, jakby w środku znajdowało się pięć kilo semtexu.

- A nie lepszy byłby... ten... Jak mu, agent Tomek? - marudził.

-Agent Tomek pracuje dla konkurencyjnej służby, poza tym został zdekonspirowany i dziś rozpoznałoby go każde dziecko.

- A jakie ja mam zadanie? - zapytała Brygida.

- Pani pójdzie ze mną. Przodem - dorzucił szarmancko.

*

Pokój operacyjny mieścił się pięć pięter poniżej poziomu dziedzińca Pałacu Namiestnikowskiego. W latach pięćdziesiątych był planowany jako luksusowy schron przeciwatomowy. Za prezydentury Magistra Wszystkich Polaków ktoś rzucił żartem, że można by tam zrobić fajny burdelik dla ViP-ów, ale przypadkowo obecna podczas rozmowy pierwsza dama postawiła kategoryczne weto, mimo że pomysłodawca twierdził, iż całość dochodów mogłaby zasilić jej fundację charytatywną.

Tego dnia w najściślejszej konspiracji spotkały się tam cztery osoby. Mariusz Piaseczek, do niedawna szef Czerezwyczałki Bez Apelacji, bracia Indykiewiczowie i ich kot.

Wchodząc przez bramę, Piaseczek doznawał szczególnego uczucia, wspominając czasy, kiedy jako młody zadymiarz atakował ów gmach z zewnątrz i obrzucał jajami

zamieszkujących go lokatorów. „Być może już wkrótce nadejdzie czas, kiedy trzeba będzie ponownie wyjść na ulicę” - rozmyślał sobie w marzeniach.

- Coś się dzieje - powiedział Lech Indykiewicz i popatrzył na brata.

- A my nie wiemy, co - dorzucił Jarosław i spojrział na kota.

Kot nie powiedział nic, jedynie łypnął na Piaseczka. Ten rzekł:

-W zasadzie nie mam żadnych oficjalnych informacji, albowiem jestem zdymisjonowany.

- Nieformalnie - fuknął prezydent - i bez mojej parafy.

- Stąd i moje wiadomości mogą być wyłącznie nieformalne. Po śmierci Gusiewicza zaobserwowano znaczny ruch...

- To prawda. Podskoczyła cena złota, a także jaj i cukru na bazarach przygranicznych - powiedział Lech, który czytał wszystkie raporty sporządzane przez jego fraucymer. - Amerykanie mówią również o wzmożonych manewrach militarnych na zachodniej Białorusi.

- Myślałem o ruchu w kierowniczych gremiach Partii Obiecanki - rzekł Piaseczek. - Grzegorz Detyna kapął się wczoraj w jednej kabinie z Ronkiem. I radzili o czymś ważnym.

- O! - krzyknął Jarosław Indykiewicz, równocześnie zajmując się swym palmtopem. Od czasu kiedy nauczył się korzystać z komputera i założył sobie konto, bez przerwy bawił się przelewaniem 50 groszy ze swego konta na konto mamy, z konta mamy, na konto kota... - O!

- powtórzył - to ważne - jako genialny strateg wiedział, że ruch skrzydeł motyla w Pekinie jest w stanie doprowadzić do zapaści na giełdzie nowojorskiej (choć w odwrotną stronę ten mechanizm ostatnio nie działa). - A jak zachowują się tak zwani kandydaci?

-Nie mam już agentów, a jedynie wolontariuszy - odpowiedział Piaseczek. - Z tego jednak, czego udało się dowiedzieć, Radwan Wróbelki widziany był na koniu galopującym wokół swego rancza w towarzystwie dzieci. Odreagowuje przegraną w prawyborach! Natomiast jego żona Anna Apfelfoft udała się do Waszyngtonu. Co się tyczy Wronisława Gommorrowskiego, do wczoraj przebywał z wizytą w Gwinei czy Gujanie... Mój informator jest czujny, ale trochę głupi, więc nie rozróżnia. Inna sprawa, że Gommorrowski też nie rozróżnia. Na ostatniej konferencji zapytany, jak się czuje wśród tych Papuasów, odparł, że jak nietknięta przekąska.

- A ten... Moczypies nie chlapnął niczego na swym plugawym blogu?

- Tradycyjnie oskarżył pana o alkoholizm, a pana o gejostwo, czy może na odwrót. Natomiast w kręgach zbliżonych do służb poza tym mówi się, że powodem samobójstwa Arkadego był jakiś przekręt z kasą, bez wiedzy kumpli.

- A z jakiej on stajni? - dopytywał się Jarosław.

I Kluczyka, Mauzera, Stolorza, Gruzowatego, a może tego od kasyn... Czereśniaka?

-Kumplował się ze wszystkimi, ale działał na własny szczerot. I dlatego jakoś go nie namierzyłem...

- A dziś widać, że było to sztywne jądro Układu - pokiwał głową Jarosław.

- Teraz nie tylko sztywne, ale i zimne - zażartował prezydent, który jak chciał, odznaczał się dużym poczuciem humoru. A kot, który najwyraźniej to zrozumiał, zamruczał z zadowolenia i wskoczył na kolana gościa.

- Szukajcie dalej, Piaseczek, szukajcie dalej, a znajdziecie! - powtórzył Jarosław.

Ostatnie zdanie miało koszmarne następstwa. Inteligentny kot słysząc słowo „piaseczek”, natychmiast wysikał się na spodnie byłego ministra.

*

Starszy aspirant Eryk Miziak po raz pierwszy mógł zakosztować luksusów podróżowania business class. Było to jednak kosztowanie mocno ograniczone, jako że praktycznie cały lot z Warszawy przesiedział, czy raczej przekłęczał w kiblu, rzygając jak najęty. Dopiero po przesiadce poczuł się lepiej i mógł, korzystając, że nikt nie zagląda mu przez ramię, zapoznać się z dossier „kochanicy dyrektora”.

Elwira Ptasio, lat dwadzieścia sześć, od dziecka pragnęła być sławna i bogata. Jeszcze w podstawówce obiecywała koleżankom, że „dupę zedrze, a dopnie swego”. I trzeba przyznać, postępowała konsekwentnie. W wieku czternastu lat została małą miss (tak suchego, jak i mokrego podkoszulka) i nabyła pierwszych doświadczeń seksualnych z macherem tego przedsięwzięcia, byłym pastorem, który mając pięćdziesiąt lat, skonkretyzował swoje powołanie, dotąd realizowane bardziej dorywczo. W wieku piętnastu lat wystąpiła w „Szansie na sukces”, a w wieku szesnastu w „Idolu”. W międzyczasie zgłosiła się na casting do słynnego reżysera Romka Wolańskiego (autora takich obrazów jak „Szajbatown” czy „Fortepianista”), ale ten wybitny znawca nimfetek obciął ją krótkim stwierdzeniem: „Za stara!”.

Została za to drugą wicemiss Podbeskidzia (i Podudzia, jak żartował prowadzący próby konferansjer). Niestety, był to kres jej możliwości. Awans wyżej uniemożliwiała wada wymowy - fatalny sepleń. A kiedy wreszcie się go pozbyła dzięki logopedzie oraz sponsorowi - niebezpiecznemu byczkowi, ksywa Alkapon, niekoronowanemu władcy regionu - okazało się, że nie ma za grosz talentu aktorskiego. Co prawda Alkapon usiłował zmienić tę krzywdzącą ocenę. Urznął nawet łeb ulubionemu labradorowi reżysera Julka

Chuchulskiego i wrzucił mu go do łóżka. Próżno twórca słynnej „Dymisji” twierdził, że nawet teraz jest więcej życia w jego martwym labradorze niż w gangsterskiej kochance.

- Ma zagrać, i chuj! - zakończył negocjacje Alkapon.

No więc znalazła się w obsadzie. W obrazie „Nabank 5” zagrała nagie zwłoki kochanki dyrektora banku zdeponowane w sejfie. „Pięknie położona rola” - można było przeczytać w recenzjach. Zresztą rosyjska mafia wyeliminowała Alkapona z rynku i z tego świata niecały rok później. I wtedy na drodze Elwiry, dorabiającej jako modelka i studiującej coś zaocznie, pojawił się cierpiący na kompleks wieku średniego dyrektor Arkady Gusiewicz.

Miziak sporo wiedział o technikach inwigilacyjnych, jednak ich skala mogła imponować, a skrupulatność zapisów wywołać rumieńce na twarzy czytającego.

„Posunęli Detynę, Zbycha i Mira - mówił pewnego razu Gusiewicz - doigrali się, gnoje jebani. Wiedzieli, że »Ryży« nie da sobie w kaszę dmuchać i dupnął ich tak, że aż w Brukseli klasnęło. Ale mnie nie ruszyli. Ja jestem niezastąpiony. Co, żabko?” (nieartykułowany odgłos).

„Można pozbyć się wicepremiera, ministra, szefa klubu, ale co by zrobili beze mnie, fiuty złamane?” (nieartykułowany odgłos).

„A w twojej sprawie gadałem z bufetową. Będiesz miała swój lokal, laleczko! Cieszysz się? A dlaczego ty mi w ogóle nie odpowiadasz?”

„A jak mam mówić, kiedy trzymam go w buzi?”

Jednak rozmowy na tematy polityczne zdarzyły się rzadko w trakcie ich randek i tylko te znalazły się w protokołach z podsłuchu. Ostatnie spotkanie także zostało utrwalone. I również nie zawierało zbyt wielu treści przydatnych w śledztwie. Arkady kłął, płakał, wściekał się i uprawiał ostry seks ze swoją kochanką, a ta, jak umiała, próbowała go pocieszać. Ale dużo więcej naprawdę trudno było wydedukować. Ze słów Gusiewicza wynikało, że zawalił mu się świat. Że tylko patrzeć, a dobiórą się mu do dupy. Że jak się nie odkręci, to nie pojedzie dalej. Nazwisko Czerwonki nie padało ani razu, ale unosiło się nad monologiem niczym Duch Święty. Było jasne, że Gusiewicz utracił najważniejszy atut, na którym opierał wszystkie swoje rozgrywki, i że nie pojmuje, co się właściwie stało.

„Nawet za tę pieprzoną granicę jechać nie mogę, bo Bird mi nie pomoże, a Kujawa jeszcze łatwiej mnie dopadnie!”

Poza tym przekazał Elwirze mnóstwo informacji na temat posiadanych zasobów, willi, konta i kontaktów z niejakim właśnie Peterem Birdem nazywanym „Kasjerem”. Prosił również o poprawne stosunki z „Juniorem”. „Szmalu starczy dla was wszystkich” - podkreślał. Monolog przeplatał kwestiami o Bogu, historii, kurewskim świecie, zafajdanym

pechu i ludziach, po których nie można było spodziewać się, że wywiną numer, a jednak go wywinęli. Wątek rwał się i płątał, tym bardziej że co cztery słowa w protokole pojawiała się pauza i adnotacja „niewyraźne” albo „nieartykułowany odgłos”.

Samolot wyraźnie tracił wysokość, pojawiła się komenda „zapiąć pasy”. Lądowali w Zurychu.

*

Jak się okazało, szarmancki Kaszana puszczający przodem Brygidę, a także otwierający przed nią drzwi samochodu, należał w świecie zdominowanym przez kobiety do ginącego gatunku prawdziwych mężczyzn.

Docierając do centrum miasta, trafili na manifę. Jej cel nie był do końca jasny - choć transparenty wymowne: „Niech widzi stolica, co może macica!”, „Człowieku, ródź się sami”, „Za przykładem USA skończmy z kultem fallusa!”. W pewnym momencie demonstracja babusów pod przewodem znanej posłanki lewicy odzianej jedynie w skórę (zdartą zapewne z jakiegoś seksistowskiego samca) pochłonęła szczupłą pikietę męską złożoną z dwóch gejów niosących transparent „My też chcemy mieć dzieci”.

„To se urodźcie!” - zaczęły skandować kobiety.

- Jak to się pani podoba? - zapytał podpułkownik pannę podkomisarz.

- Wolność słowa bardzo, demonstrantki mniej - odparła.

- Jest pani feministką, lesbijką czy mężatką?

- Na każde z tych pytań muszę odpowiedzieć „nie!”

Objazdem dotarli w końcu na Rakowiecką, gdzie oddelegowany przez Kaszanę łysol w mundurze zapoznał Brygidę z podstawowymi danymi na temat zaginionego konsultanta. Wiele tego nie było.

Czerwonka w zasadzie nie wchodził w konflikt z prawem (jeśli nie liczyć paru mandatów) i nie był obiektem rozpracowywania przez służby. Na szczęście nie był również dzieckiem z próbówki. Urodził się pięćdziesiąt lat temu w Rychłowie, małym miasteczku na Ziemiach Odzyskanych. Do dziś mieszkała tam jego szwagierka, żona starszego brata, który zginął dawno temu w wypadku samochodowym. Miał również siostrę od lat przebywającą w Chicago, u której parę lat temu złożył wizytę. Żyła też jego matka. Ale co to było za życie? Od lat przebywała w zakładzie dla nerwowo chorych i dawno utraciła kontakt z otoczeniem.

Mimo to podkomisarz Jarmuła postanowiła pojechać do Rychłowa.

- Gdyby się tam pojawił, już byśmy wiedzieli - uprzedził łysol.

- Ale ja nie zamierzam tam badać teraźniejszości, tylko przeszłość - wyjaśniła Brygida. Już wcześniej, podczas rozmowy z podpułkownikiem zorientowała się, że dawno temu Gusiewicz posiadał nad Czerwonką wielką władzę, którą bezwzględnie wykorzystywał, dając mu w stosunku do swych apanaży jedynie ochłapy. - Czy mam uważać, że konsultant odegrał jakąś rolę w zdobyciu przez Gusiewicza majątku? - zapytała.

- Zdecydowaną! - zapewnił ją Kaszana.

Chętnie zapytałaby o więcej konkretów, ale wiedziała, że „w tym temacie” napotka mur.

*

Po południu Ronald Duck spotkał się z szefem ABW Krzysztofem Klośkiem na golfie. Normalnie panowie niezwykle rzadko widywali się w cztery oczy, a polecenia i raporty przekazywał minister Jacek Szeptański, ale przecież aktualna sytuacja daleka była od normalności. Ochrona dyskretnie została dwa dołki w tyle, a obaj panowie pojechali wózkami w głąb matecznika zwanego pozeraczem piłeczek. Wpadło ich tu z kilkaset sztuk i żadna nie została odnaleziona. Możliwe, że znajdowała się w tym miejscu jakaś czarna dziura, którą można było przedostać się na drugą stronę galaktyki albo przynajmniej na znajdujące się w stanie Floryda rancho eksministra sportu Mirosława Pniaka, wielkiego znawcy golfa. W każdym razie z całą pewnością nie znajdowały się tu żadne urządzenia podsłuchowe.

Kłośkiak w krótkich żołnierskich słowach scharakteryzował sytuację i zadania, jakie powierzono Miziakowi („Dobrze!”) i Jarmule („Bardzo dobrze!”). Podał wyniki sekcji, z których wynikało, że w ciągu ostatniego dnia swego życia Gusiewicz wyżył pół litra alkoholu i doprawił się koką.

- Znaczący, nie był w stanie panować nad swymi emocjami? - dopytywał Duck.

- Absolutnie. Mógł na przykład zobaczyć za oknem ómę i wziąć ją za ducha Piłsudskiego.

- Idiota! Taki numer wykręcić nam na parę miesięcy przed wyborami!

- W demokracji zawsze jest przed wyborami albo po - zauważył refleksyjnie Klośkiak.

Premier zmienił temat i dopytywał o Czerwonkę.

Szef ABW przedstawił możliwe warianty jego losu: śmierć, ucieczka, porwanie. Jeśli w grę wchodził ten trzeci, to w wersji: a) bez udziału osób trzecich; b) z udziałem osób trzecich; c) z udziałem osób trzecich krajowych - tu w grę wchodziła opozycja z prawa lub z lewa; oraz d) z udziałem osób trzecich z zagranicy...

- A jaki byłby wariant najgorszy? - przerwał te wywody Duck.

- Gdyby wywieźli go na Wschód.

-Kto?

- Obojętnie kto. Butin, Kukaszenka, Kitajce. Każda opcja jest dla nas fatalna.

- Rozumiem. Czy coś wskazuje na taką możliwość?

- Na razie nie. Musimy też brać pod uwagę możliwy wariant komercyjny.

- To znaczy?

-Że ktoś go przejął, wchodząc w rolę opuszczoną przez Gusiewicza. I teraz on będzie „wypożyczał konsultanta”.

- Słyszałem jednak, Krzychu, że ten Czerwonka bywa użyteczny jedynie po dobroci.

-A czyja twierdzę, że będą stosowali wobec niego przymus? Każdy człowiek posiada parę klawiszy: żądza dominacji, kompleksy, seks, pieniądze, obsesje - które wystarczy tylko umiejętnie wcisnąć.

- Ale jeśli uprowadzono go w celu komercyjnym - przerwał Ronek - to znaczy że można go odkupić?

- Bierzemy pod uwagę, że może pojawić się taka oferta. I powinniśmy być na nią przygotowani.. Tylko to może być duża kwota. Szkoda, że schybił pan Bułkowera i Pniaka. Ci umieli organizować takie sprawy.

- Jak trzeba będzie, to Janusz Moczypies wyłoży z własnej kieszeni. Tylko jeśli zrobili to Ruscy lub Białorusini... AaaL.

W tym momencie Klosiak zorientował się, że jego szef zniknął. Pod Słońcem Peru i Geniuszem Pola Karnego po prostu rozstała się ziemia. Na moment przemknęła mu myśl, że być może słowo stało się ciałem i ma do czynienia z największym aktem dywersji w najnowszej historii Europy. Szczęśliwie z głębi lisiej jamy dobiegł głos.

-Kurwa mać! Krzychu, wyciągnij mnie stąd.

- A nie może szef wygramolić się sam?

- Nie mogę. Wszędzie jest od cholery tych zasranych piłeczek golfowych.

Klosiak błyskawicznie aktywował telefon.

-Alarm różowy, alarm różowy. „Brylant” w zagrożeniu. Podeślijcie nam tu helikopter z wysięgnikiem.

Czekając na wsparcie, Klosiak pomyślał po raz kolejny, że sprawa Gusiewicza i Czerwonki może się okazać nadzwyczaj rozwojowa.

W drodze do Rychłowa Brygida postanowiła odwiedzić swoje rodzinne miasto, skądinaś dość zapyziały Wrocławek, w którym od dłuższego czasu stare walczyło z nowym. To znaczy w przestrzeń opustoszałych hal fabrycznych wdzierały się nowe supermarkety. Walka oczywiście pociągała za sobą liczne ofiary. Ginęli złomiarze polujący na belki nośne - cenny surowiec wtórny, po którego wyrwaniu budowla waliła się im na łby. Nie było też dnia bez udaru serca u emeryta, który trafiwszy do supermarketu, tracił rozeznanie od nadmiaru dóbr (nieostępnych dla jego kieszeni).

Pani podkomisarz potrzebowała ubrań na zmianę, uznała też, że warto byłoby porozmawiać jeszcze raz z Czerwonką. Umówiły się na działkach pracowniczych zajmujących rozległy obszar pomiędzy rzeką a torami kolejowymi. Alojzy miał tam swoją altankę i kilkadziesiąt metrów kwadratowych upraw.

- Co chce tam pani znaleźć? - dopytywała się pani Zofia.

- Gdybym wiedziała, tobym nie szukała - odparła policjantka.

Nie było to do końca prawdą. Szukała świeżo skopanej ziemi, mogącej kryć mogiłę nieszczęsnego konsultanta. Jednak nie znalazła. Zadbanych grządek nikt nie ruszał co najmniej od miesiąca. Zainteresowała się zatem samą altanką. Było to wyjątkowo dobre miejsce, jeśli chciało się ukryć zwłoki. Jednak zerwanie podłogi ich nie ujawniło. Ujawniło natomiast istnienie schowka - metalowej kasetki z zamkiem szyfrowym; Normalnie rozgryzienie kombinacji sześciu cyfr mogłoby zająć lata, ale w tym przypadku wystarczyło ustawić datę urodzenia właściciela i skrytka stanęła otworem.

-Mogą spotkać panią różne nieprzyjemne niespodzianki - ostrzegła Brygida świadoma, co mężczyźni potrafią ukrywać przed łatwowiernymi żonami.

- Już bardziej nic mnie nie zaskoczy! - odpowiedziała Czerwonkowa.

Aliści, w środku, jeśli nie liczyć paru paczek dolarów i euro oraz dysków z filmami pornograficznymi z udziałem dzieci i zwierząt, co dowodziło zainteresowań wysmakowanych, ale wcale nie tak rzadkich, ciekawy był jedynie komplet starannie opakowanych fotografii formatu A4. Zestaw uwiecznionych na nich osób przypominał galerię ze ścian gabinetu Gusiewicza - różnica polegała na tym, że tym razem obok VIP-ów na pierwszym planie pysznił się sam Czerwonka. Były też autografy i dedykacje: „Po prostu dziękuję - Ronald”, „Alojzemu za wielki talent - Lew”, „Z dozą wdzięcznością - Olek”. Daty zapisane ołówkiem na odwrocie dowodziły, że sesje zdjęciowe każdorazowo miały miejsce jeszcze przed ciszą wyborczą.

- Czy pani wiedziała, że to byli jego klienci?

- A skądże! - Czerwonkowa wyglądała na szczerze zaskoczoną - ale w ogóle za polityką nie przepadała. Kiedy przypadkiem włączyłam „Fakty” czy „Wiadomości”, to zaraz syczał przez zęby: „Złodzieje!”, i szybko zmieniał kanał.

- Rozumiem. A mówi pani coś nazwisko Gusiewicz. Arkady Gusiewicz?

- Arek - pani Zofia uśmiechnęła się szeroko - to kolega męża z młodości. Tyle lat, a nigdy nie zerwali kontaktu. Arek zawsze pamiętał, żeby przysyłać kartki na święta, na imieniny...

- To znajomość ze szkoły czy ze studiów? - podpytywała Brygida.

- Tego nie wiem. Chyba nie, Arek był trochę starszy... W każdym razie znali się, zanim doszło do naszego ślubu.

- A jak się państwo poznali?

-Dość zwyczajnie. Znaleźliśmy się w jednym sanatorium w Kołobrzegu. Ja akurat wychodziłam z głębokiej depresji, a on dochodził do siebie po tym strasznym wypadku, w którym zginął jego brat.

- Wypadku? - udała niezorientowanie.

- Zwyczajna młodzieńcza głupota. Byli obaj na ślubie kolegi. I postanowili wracać samochodem. Obaj naprani jak stodoła.

- Kto prowadził?

- Sławek. Na zakręcie drogi zniosło ich na drugi pas, którym gnał motocyklista; potracili go, sami stracili panowanie; rów, drzewo. Arek był w pasach, więc ocalał. Sławek, niestety - trup na miejscu.

- A pani jak wpadła w kłopoty?

- Miałam osiemnaście lat i właśnie zawalił mi się świat. Beznadziejna miłość do nauczyciela chemii. Wpadka i ciąża. Starzy wymusili na mnie aborcję... Nałykałam się prochów. Ledwie mnie odratowali. Kiedy spotkaliśmy się z Alkiem w Kołobrzegu, okazało się, że dwie obolałe dusze pasują do siebie. Bardzo pomógł mi w dojściu do siebie. Potem korespondowaliśmy ze sobą z rok, a na koniec wzięliśmy ślub.

- A Gusiewicz? Był na tym ślubie?

- Oczywiście. Jak miał nie być? Został przecież świadkiem ze strony męża.

Z działki pojechały jeszcze raz do mieszkania Czerwonków. Wchodząc po raz wtóry do pokoju Alojzego, Brygida zwróciła uwagę na niezwykle, panujący w nim porządek.

- Widzę, że niczego pani tu nie ruszała.

-Nigdy niczego nie ruszam. Alek zawsze powtarza, że sam najlepiej orientuje się w swoim bałaganie...

- Jeśli to ma być bałagan...? Zawsze był u niego taki porządek?

Pani Zofia zastanowiła się.

- A wie pani, że nie... Zawsze są jakieś karteluchy, gazety.

- A gdzie są odkładane przeczytane czasopisma?

Wskazała szafkę. Stosik był równy, poukładany chronologicznie. Na wierzchu leżała „Gazeta Wybiórcza” sprzed tygodnia. A więc w poniedziałek rano musiał jeszcze zajrzeć do kiosku. Numeru z wtorku nie było.

- Proszę sobie dobrze przypomnieć - powiedziała z naciskiem Brygida. - Czy kiedy weszła pani do tego pokoju, szukając męża, wszystko było dokładnie tak jak w tej chwili? Żadnej niedopitej herbaty, papierosowych petów? Może grało radio?

- Nie, opuszczone były wszystkie firanki. No i potknęłam się o poduszkę.

-Na podłodze leżała poduszka? Gdzie?

Wskazała środek pokoju. A następnie podniosła spory jasiek, wyrób indyjski, leżący na tapczanie. Brygida go uniosła.

- W którym miejscu leżała poduszka? Może mi pani pokazać? Tutaj?

- Pół metra w prawo.

Policjantka już chciała ją tam umieścić, ale wcześniej uniosła ją do twarzy i powąchała.

- Prasowała ją pani ostatnio?

- Nie - zdziwiła się kobieta. - A dlaczego pani pyta?

-Czuję, jakby ktoś przypalił ją gorącym żelazkiem... Ale nic. Proszę zostawić mnie samą.

Kobieta spełniła życzenie. Na progu jednak odwróciła się do Brygidy i dorzuciła:

- Aha, może to nieważne, ale drzwi na korytarz były uchylone.

- A w korytarzu paliło się światło?

- Rzeczywiście. Paliło się. Dlatego początkowo myślałam, że Alojzy wyszedł na krótko.

Jest dość oszczędny i zawsze wszędzie wyłącza światło.

- Proszę je zapalić, tak jak paliło się wtedy - Jarmuła była wyraźnie zaintrygowana.

Smuga światła padła na przeciwległą ścianę. Brygida zobaczyła własny cień, a gdy popatrzyła nieco wyżej, dostrzegła tuż pod sufitem wcześniej niezauważalny wyraźny symbol

- pentagram.

Podkomisarz Jarmuła wyjechała z miasta o zmierzchu. Nie chcąc pchać się przez centrum, skręciła w ulicę Przyklasztorną. Minęła cmentarz, potem jechała nieutwardzoną Lipową. Wystarczyło jeszcze przeciąć brzozy zagajnik, by znaleźć się na szosie międzywojewódzkiej. Pograżona w myślach omal nie potrafiła podążającego poboczem rowerzysty - oczywiście bez świateł.

Ominęła go szerokim łukiem i prawie natychmiast stanęła. Facet poruszał się na składaku! Wskoczyła z wozu, w momencie kiedy znajdował się na wysokości jej bagażnika. Na widok Brygidy jakby się spłoszył.

- Stać! - krzyknęła - policja!

Ponieważ nie reagował, chwyciła go energicznie, zdarła z siodełka i rzuciła na samochód. Usłyszała jęk i trzask chrząstki nosowej po jej wejściu w kontakt z szybą. Skuła go sprawnie, a następnie obróciła. Facetowi z nosa sączyła się strużka krwi, ale nie wyglądał na przerażonego.

Połączyła się z centralą, pytając, czy nikt nie zgłosił jakiejś napaści na kobiety we wschodniej części miasta. Odpowiedź była przecząca. Obszukała go. Znalazła dowód osobisty z nazwiskiem Jana Lepieszki, lat trzydzieści trzy, zamieszkałego w Inowrocławiu...

- Daleko zajechaliście tym składaczkiem? - zapytała.

- Jestem w odwiedzinach u babci. Mieszka na Przyklasztornej - usłyszała w odpowiedzi.

- To chyba nie jest zabronione - i uprzedzając jej kolejne pytanie, dorzucił: - Skończyły mi się fajki. Jechałem do gospody...

Obszukała go zatem jeszcze raz. Gwałciciel powinien mieć przy sobie kominiarkę i linę, której używał do poduszania. Złapany był jednak czysty.

„Chyba kompletnie świruję!” - pomyślała. Rozkuła go.

-Możecie jechać - rzekła. - I przepraszam, że byłam wobec pana ostra, ale ścigamy niebezpiecznego przestępcę.

Nic nie powiedział, tylko spoglądał na nią, jakby czekając, aż odjedzie. Dopiero gdy ruszyła, sięgnął po rower.

„Wyglupiłam się” - skłęła się w duchu, dodając gazu. Gdyby facet chciał ją zaskarżyć o nadużycie władzy i fizyczną przemoc, miałaby się z pyszna. Jednak nie zapytał jej nawet o nazwisko ani o stopień...

Jej myśli zmierzały już na powrót w stronę Czerwonki, kiedy to, co wcześniej wydało się dziwne, teraz stało się niepokojące. Zazwyczaj ludzie w podobnej sytuacji protestują, awanturują się, a ten Lepieszko... Z wrażenia aż się zatrzymała. I wtedy dotarło do niej, że przeoczyła ważny szczegół. Torebkę przytroczoną do ramy składaka.

Jej nie przeszukała... Zakręciła z piskiem opon. Od spotkania nie upłynęło nawet dziesięć minut, ale po rowerzyście nie było śladu. Zapewne skręcił do lasku, z którego można było wyjechać co najmniej kilkunastoma uliczkami. Szukaj wiatru w polu!

Wyszła z wozu i oświetliła karoserię samochodu Miziaka. Po kontakcie z nosem rowerzysty pozostały na niej kropelki krwi. Zdjęła je delikatnie. Podobnie za pomocą przylepca zajęła się odciskami w miejscu, w którym oparł dłonie.

Jeszcze raz połączyła się z bazą danych. Jan Lepieszko nie był notowany.

Jednak dopiero po pewnym czasie policja dotarła do danych, które uległy zatarciu. Te okazały się równie ciekawe jak wyniki testów DNA. Rowerzysta jeszcze jako małolat trafił do poprawczaka za gwałt na koleżance.

*

Samochód wynajęty w Hertz (przez nieznaną dobroczyńców) już czekał na lotnisku, a GPS doprowadził Eryka Miziaka jak po sznurku do willi Gusiewicza.

Stała ona nieopodal malowniczego Zurichensee w sąsiedztwie rezydencji byłego generała KGB i jakiegoś króla lub księcia z Bałkanów. Sam domek, otoczony niewielkim ogrodem, robił wrażenie opuszczonego. Przez całą drogę starszy aspirant rozważał różne możliwości zbliżenia się do Elwiry Ptasio, tymczasem sprawa okazała się o wiele prostsza, niż przypuszczał. Na ogrodowej bramie wisiała kartka z ogłoszeniem „Ogrodnik potrzebny”, napisanym koślawym liternictwem po niemiecku, co wskazywało, że napisała je sama spadkobierczyni.

Niewiele myśląc, odstawił samochód za rogiem, a następnie zadzwonił domofonem. Jeśli spodziewał się zastać pannę Ptasio pogrążoną w głębokiej żałobie, to nieco się pomylił: jedynym czarnym elementem jej stroju był staniczek widoczny w rozcięciu bluzki.

- Czego?! - rzuciła przez uchylone drzwi.

- Ja w sprawie tego ogrodu, pracy znaczy się.

Zmierzyła go czujnym spojrzeniem.

- Polak?! Zajmowałeś się już ogrodami?

- Od czasu do czasu. Żadnej roboty się nie boję.

Lustracja musiała wypaść pomyślnie, bo wpuściła go do środka domu.

- Od dawna w Szwajcarii? - spytała.

- Dziesięć lat... z przerwami. Rzuciłem okiem na pani ogród, chyba dawno nikt się nim nie zajmował, roboty jest huk. Właściwie cały dom prosi się o remont.

Pokiwała głową.

- Mógłbyś się tym zająć - mój mąż zmarł przedwczoraj. A ja... jestem trochę bezradna.

- Powiedziałem już, że żadnej pracy się nie boję.

- A potrafiłbyś - przyjrzała mu się jeszcze uważniej - potrafiłbyś w razie czego mnie obronić?

- Konkretnie w razie czego?

-Na przykład dzisiaj w nocy ktoś się tu włamał, buszował na dole, a ja bałam się wyjść z sypialni. Wezwałam policję, ale ci nikogo nie zastali. Stwierdzili, że musiałam nie zamknąć drzwi, i wlaź jakiś włóczęga. A wiem, że wszystko pozamykałam.

- Pod moją opieką będzie pani absolutnie bezpieczna.

Nagle w jej rękę pojawił się pistolet.

- Umiesz się tym posługiwać? Zostało mi po Arku.

- Beretta 92 F, kaliber dziewięć milimetrów, piętnaście naboń w dwurzędowym magazynku, niezła broń - wyrecytował.

Musiało to zrobić wrażenie, ale chyba nie wystarczyło. Wskazała na otwarte okno i wielkie ptaszysko, które przysiadło na płocie.

- Jeśli jesteś taki dobry, to zastrzel mi tego gawrona!

- Chce pani, żeby sąsiedzi wezwali policję?

- Tu masz tłumik.

Pół minuty później było już po gawronie, a wyraz twarzy Elwiry wskazywał, że Miziak dostał tę robotę.

- Na początek daję tysiąc franków, bez podatków - powiedziała. - Zgoda?

- Jeśli będę musiał codziennie dojeżdżać z Bazylei, nie wyjdę na swoje.

- A po co miałbyś dojeżdżać? Jest służbówka w suterynie. Tysiąc pięćset, moje ostatnie słowo.

Wyciągnęła rękę. Ucałował ją skwapliwie. Przez chwilę Erykowi mogło się wydawać, że sukces jest w zasięgu ręki. Dotarł do celu, znalazł się wewnątrz domu. Choć nie do końca: pokój służbowy miał wprawdzie osobną łazienkę i wejście od ogrodu, jednak drzwi na parter na noc były zamykane na klucz, a próba ich sforsowania a pomocą wytrychu natychmiast uruchomiłaby aparaturę alarmową.

Zależało mu, by pokazać się z jak najlepszej strony, dlatego zaproponował, że może natychmiast wziąć się do racy. Popatrzyła na niego zdumiona.

- A pańskie rzeczy osobiste? Nie wziął pan ze sobą żadnej walizki...

-Nie wiedziałem, że zostanę od razu zaangażowany. Ale ma pani rację. Pojadę zaraz do Bazylei i przewiozę rzeczy. W trzy godziny obrócę.

- Doskonale. A do pracy weźmie się pan jutro. Tu jest pilot do bramy i klucz do suteryny... Potrzebuje pan taksówki?

- Nie, mój wóz zostawiłem na parkingu dwieście metrów stąd.

Opuściwszy willę, odjechał jak najspieszniej. Nowe bmw z naklejką Hertza nie pasowało do biednego ogrodnika. Zadzwoił do Kaszany. Ten wysłuchał i obiecał, że za trzy godziny ich człowiek postawi mu jakiegoś rzęcha pod dworzec. Kolejną rozmowę chciał odbyć z Brygidą. Ta jednak nie odbierała telefonu. Może była poza zasięgiem. Zorganizowanym rzęchem okazał się dwunastoletni golf. Miziak postarał się, by prędko znalazła się w nim walizka z używaną garderobą i parę książek na tematy ogrodnicze.

Pokręcił się trochę po centrum miasta i powrócił do domu o zmierzchu. W pokoju Elwiry światła były zgaszone, jedynie telewizor rzucał błękitne błyski na szybę. Wprowadzając wóz na posesję, starszy aspirant liczył w skrytości ducha, że być może gospodyni zaprosi go na kolację. Ale się pomylił.

*

Z wyjątkiem funkcjonariuszki Jarmuły, która usnęła snem sprawiedliwej w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, pozostałe osoby dramatu spały wyjątkowo źle. Być może sprawił to front burzowy, który nocą nadciągnął z Ukrainy nad Europę Środkową. Nawet starszego aspiranta Miziaka nękały zwidy w postaci seksualnej orgii z udziałem zaginionego Czerwonki, martwego Gusiewicza i nadobnej Elwiry śpiącej dwa stropy powyżej jego służbówki.

A politycy tej nocy nie byli gorsi od niego, Radwanowi Wróbelkiemu przyśniła się wojna afgańska i trzy talibabki, które zaczęły młodego korespondenta wojennego przy wjeździe do Heratu.

„Bądź pozdrowiony, hetmanie wielki!” - powiedziała pierwsza.

„Cześć i chwała ci, nadkonsulu!” - rzekła druga.

„Witaj, ach witaj, Lwie Lechistanu” - zakończyła trzecia.

Czy był to zły sen, w końcu dwie trzecie proroctwa już się spełniło? Sęk w tym, że ów młody korespondent miał twarz i wąsy Wronisława Gomorrowskiego.

A znak zwycięskiego króliczka, który pokazała talibabka, mógł oznaczać również dwójkę. Czekać aż dwie kadencje? To przekraczało cierpliwość Radwana!

W tym samym czasie marszałkowi Gomorrowskiemu śniły się cyfry. Miliony cyfr dotyczących zużytych nabożów, onuc, menażek, samolotów F-16 i innego sprzętu składającego się na majątek Ministerstwa Obrony Narodowej. Sen nie byłby taki zły, gdyby nie mroczny głos namolnie wcinający się w te wyliczenia i pytający złośliwie: „Co się stało z tym szmałem?”

Bracia Indykiewicze mieli typowy sen parzysty - Jarosławowi przyśnił się Lech, a Lechowi Jarosław. Lech jechał na Kasztance, a Jarosława nieśli dwaj dziarscy spleen doktorzy - Adam Ochot i Michał Skalka. I byłoby bardzo przyjemnie, gdyby nie powtarzające się drogowskazy „Do muzeum, do muzeum!”

Ciekawe zwidy miały tej nocy również Waldemara Kargula, aktualnego wicepremiera i przywódcę ludu polskiego, a także Ochotniczej Straży Pożarnej. Śniło mu się, że wygłasza przemówienie po wybraniu go na premiera po raz trzeci. Wygłasza je z wielką charakterystyczną dla siebie swadą i dowcipem. Co chwila zrywają się oklaski przechodzące w owacje. Problem w tym, że sam nie wie, o czym mówi, i w dodatku nie zna języka, w jakim przemawia. Zanim złany zimnym potem się obudził, dotarło do niego z niemałym zaskoczeniem, że został premierem Mongolii.

Równie przykre przebudzenie zakończone upadkiem z łóżka miał poseł Janusz Moczypies, którego krótko po północy nawiedził osławiony redaktor Jerzy Turban. Były rzecznik generalskiej junty okładał go gumowym penisem i warczał; „Dlaczego mnie małpujesz, zuchu, dlaczego mnie małpujesz i nie płacisz tantiem autorskich!”.

Niezwykle metafizyczne miraże dopadły panią prezydent stolicy Hannę Tango-Winiary. Oto Światłość Wiekuista wystawiła rachunek za oświetlenie stolicy z żądaniem natychmiastowej zapłaty.

Opowiadać można by długo - i o strasznych zmorach Stefana Wiesiołowskiego, żywcem pożeranego przez robaczki świętojańskie, z których każdy był honorowym członkiem Brawa i Spolegliwości; o dramacie wspomnianego już Michała Skalki, który śnił, że jest w Parlamencie Europejskim piłką kopaną przez drużynę mniejszości seksualnych walczącą z ekipą mniejszości religijnych; czy o straszliwych majakach Tomasza Kuny, najprzystojniejszego dziennikarza wszechświata, który w trakcie swego kultowego programu zorientował się, że zgromadzona publiczność składa się bez wyjątku z jego żon i kochanek.

Ze względu na tajemnicę państwową nie możemy przytoczyć snów szefa ABW Kio siaka i jego zastępcy Kaszany oraz z racji na zawarte w nich informacje wrażliwe ujawnić przeżytych nuncjusza, szefowej archiwów oraz ambasadorów ważniejszych mocarstw.

Oryginalnie spało się też redaktorowi Adamowi Pysznikowi, naczelnemu Najbardziej Opiniotwórczej Gazety od Władywostoku po Gibraltar. Wydawało mu się mianowicie, że przebywa w więzieniu, a wspólnie z nim w celi kiblują dwaj zasłużeni generałowie, Wojciech Karuzelski i Czesław Kiszonka. Zrozpaczony tłukł głową w drzwi celi, wrzeszcząc: „Ja rozumiem, dlaczego ja siedzę, ale dlaczego oni, oni, oni...?!”.

Najbardziej dramatyczny sen przytrafił się jednak Ronaldowi Duckowi. Dotyczył reminiscencji z młodości, kiedy dorabiał on czyszczeniem kominów. Oto wdrapał się na największy z możliwych, tak że wyżej było już tylko niebo, anieli i Pan Bóg, w którego od pewnego czasu wierzył, za to zniknęły wszystkie drabiny. Komin natomiast z każdą minutą stawał się jakby bardziej miękki i chybocliwy. Przerażony premier obejmował go oburącz, ale niewiele to pomagało. Prezesa Rady Ministrów obudził dopiero głos żony.

-Ronek, co ci się stało? W twoim wieku... Ale już wstawał dzień nowy, optymistyczny, niosąc ze sobą zwroty akcji, jakich w najśmielszych snach nikt nie mógł przewidywać.

IV.
Umiarkowany postęp
w śledztwie

CZWARTEK

Jechać, nie jechać, jechać, nie jechać, jechać...? - Piotr Magda Boruta stał przed lustrem w zagraconym krakowskim mieszkaniu i przymierzał kapelusze.

- A co będziesz jechał?- gderała żona. - W telewizji zapowiadali, że *budiet nebel*.

Piotr Magda przywykł do tego, że w chwilach ekscytacji jego małżonka Kelly mówi w jednym ze swoich licznych języków ojczystych, toteż ograniczył się jedynie do krótkiego stwierdzenia:

- Ronek zadzwonił do mnie osobiście i poprosił o pilne spotkanie. Jutro!

- Czyżby potrzebował Premiera z Krakowa? *Tiepiel*

- Na razie jeszcze nie.

- To ja bym się nie ruszała. Po tym, jak cię potraktowali.

-Najlepszy byłby melonik - powiedział po dłuższej pauzie. - Nie widziałaś mego melonika?

- Nie widziałam.

Odwrócił się raptownie.

-Nic dziwnego, że go nie widziałaś, skoro akurat masz go na głowie. Ile razy ci mówiłem, żebyś nie brała moich kapeluszy?

- Ale bracia uważają, że jest mi w nich *sehr gut*.

- Od kiedy te bisiory są dla ciebie arbitrami elegancji?

- Tylko nie bisiory, dobrze? Platfusie jeden!

- Ja Platfus. Ja Platfus. Od dwóch lat chodzę bez butów. I przez kogo? Przez twoją miętę do Jarka Indykiewicza. Gdyby nie to...

- Gdyby nie to, daliby ci co najwyżej wiceministra sportu i turystyki.

Tym stwierdzeniem ugodziła go boleśnie. Nic dziwnego, że gwałtownie zdarł jej nakrycie głowy i nałożył na swąłysinę. Potem rzucił zdecydowanie:

- Jadę. I jest to decyzja nieodwołalna.

- *Charaszo*, tylko jeśli znowu przyjdzie ci ochota tarnosić stewardesę, to pod żadnym pozorem nie wołaj potem:

„Ratunku, biją mnie Polacy!”

Dzień spędzony przez Brygidę w Rychłowie wypełniła jej mozolna dłubanina. Podkomisarz odbyła dziesiątki spotkań z rodziną, kolegami i znajomymi Alojzego Czerwonki. Dotarła nawet do jego matki, pensjonariuszki zakładu dla umysłowo chorych. Starsza pani z siwymi włosami nastroszonymi na sztorc wyglądała jak postać z horroru klasy B i wydawała się poruszać, nie dotykając stopami ziemi.

-Ma pani pecha! - powiedziała pielęgniarka, stwierdzając, że pacjentka ma dni gorsze i lepsze. - Bywa, że potrafi, zagadać całkiem przytomnie, odpowiedzieć na najprostsze pytania, kiedy indziej odpływa tak jak dziś.

Jednak Jarmuła, która nie poddawała się łatwo, mimo przeciwwskazań postanowiła spróbować nawiązać kontakt. Upewniła się tylko, czy staruszka nie może zrobić jakiegś krzywdy jej albo sobie.

-Nie powinna - powiedziała pielęgniarka. - Paznokcie obcinamy jej często, a zębów od dawna nie dostaje, więc ani nie ugryzie, ani nie podrapie. Może najwyżej opluć.

Pokrzepiona tą informacją podkomisarz stanęła na rodzę starej Czerwonkowej.

- Dzień dobry pani - powiedziała śmiało.

Ta popatrzyła na nią zasnutymi mgłą oczami i wymamrotała:

- Tele, tele - po czym odwróciła się na pięcie.

Jarmuła jednak znów zabiegła jej drogę.

- Nie wie pani, gdzie mogłabym spotkać pani syna?

- Tele, tele - ten sam mamrot.

- Przecież wiem, że jest z panią w kontakcie.

- Tele, tele - warknęła staruszka i zastygła w pozycji żony Lota.

- Zostanie tak do podwieczorku - oświadczyła opiekunka. Albo dłużej.

- Czy zawsze mówi tylko „tele, tele”?

- Jak kiedy. Miewa takie swoje refreny.

- Rozumiem, że lubi telewizję.

-Wręcz przeciwnie. Nie znosi - roześmiała się pielęgniarka. - Akceptuje jedynie muzykę klasyczną, i to przez radio.

-Rozumiem, siostrze. Jednak gdyby starszej pani trochę się polepszyło, bardzo prosiłabym o telefon o dowolnej porze. To jest mój numer komórkowy - zapisała go na wizytówce.

Ze szpitala Jarmuła wyszła mocno zawiedziona, jej pesymizm pogłębił się, kiedy rozmowa ze szwagierką Alojzego nie dała wcale lepszych rezultatów. Okazało się, że Aldona *secundo voto* Ryciak nie była zupełnie zorientowana w zajęciach szwagra. Utrzymywała

jedynie, że Czerwonka nie mógł zrobić żadnego głupstwa, albowiem jest człowiekiem rozsądnym i odpowiedzialnym. Scharakteryzowała jego stosunki z żoną jako poprawne. Jeśli chodzi o ich wzajemne kontakty, widywali się rzadko, ale zawsze mogli liczyć na siebie.

- Gdyby była taka potrzeba, oddałby dla mnie albo dla moich dzieci własną nerkę! - twierdziła z pełnym przekonaniem. - Inna sprawa, że wskutek fizycznej anomalii posiada trzy.

Pytana o charakter „konsultacji” udzielanych przez szwagra, nie potrafiła powiedzieć nic konkretnego. Raz tylko, kiedy w trakcie jej odwiedzin we Wrocławku wybuchła afera z prezydentem Aleksandrem Goryczką chwiejącym się nad grobami polskich oficerów w Charkowie, i oboje oglądali to zdarzenie w telewizji, Alojzemu wyrwało się stwierdzenie: „I ja pomogłem mu wygrać wybory”, ale nie uznała tego za nic szczególnego. Całe Rychłowo głosowało wtedy na Goryczkę.

Niepowodzenie przyniosła także próba kontaktu z siostrą Alojzego, Eugenią Krawczyk. Po wykręceniu chicagowskiego numeru odezwała się automatyczna sekretarka, informująca po polsku i angielsku, że państwo Krawczykowie przebywają na wakacjach i proszą o nagranie wiadomości. Brygida usiłowała to uczynić, ale okazało się, że skrzynka jest pełna i nie przyjmuje żadnych wiadomości. Na podany przez panią Aldonę adres wysłała więc krótki list informujący o zaginięciu Czerwonki, z prośbą o możliwie jak najszybszy kontakt.

Podobnie niewiele można było wycisnąć z kolegów i koleżanek szkolnych Alojzego. Dopiero Beatka, jego sympatia z klasy maturalnej, powiedziała coś ciekawszego.

- W szkole myśleliśmy, że zostanie świętym albo jakimś prorokiem.

- Dlaczego? Interesowały go może jakieś sekty lub satanizm? - dopytywała Brygida.

- Skądże znowu! - zachnęła się kobieta. - Był katolikiem, człowiekiem głęboko wierzącym.

- A ten symbol? - narysowała pentagram zapamiętany z pokoju Czerwonki. - Czy nie jest symbolem szatana?

- Odwrotnie - Beata się roześmiała - Pentagram zwrócony pojedynczym ramieniem ku górze symbolizuje sacrum, pięć ran Chrystusa, pięć zmysłów, pięć żywiołów...

-Jest pani znakomicie zorientowana! - Brygida nie umiała wyjść z podziwu dla małomiasteczkowej urzędniczki.

- Alek mnie nauczył. Gdy z nim byłem, opowiadał mi mnóstwo o religiach, wierzeniach starożytnych...

- Ale co z takiego świętością?

- Miał taki dar, że ptak z przetrąconym skrzydłem czy pies uderzony przez samochód w jego rękach powracał do zdrowia. Ktoś inny obdarzony podobnymi talentami próbowałby zostać bioenergoterapeutą, ale on... wstydził się swoich umiejętności.

- Był nieśmiały?

-Niezwykle. Wstydził się wszystkiego, od swego imienia zaczynając. Gdybym nie pocałowała go pierwsza, nigdy by się nie odważył...

- Chodzili państwo ze sobą?

- Cztery lata.

- Długo. Aż dziwne, że nie zdecydowaliście się zalegalizować waszego związku.

-Nie składało się. Alek poszedł na studia, ja zaczęłam pracować, więc się rwało... Spotykaliśmy się, potem rozstawaliśmy, to znów do siebie wracaliśmy. Dziś pewnie pani trudno uwierzyć, ale wówczas byłam rozrywkową dziewczyną.

-Nadal jest pani bardzo atrakcyjna!

- Wszystko popsuło się przez ten wypadek, w którym zginął jego brat.

Pojechaliśmy razem na ślub kolegi, ale na weselu poprzątkaliśmy się o jakieś głupstwo.

Ja chciałam się bawić dalej, a on wściekły odjechał z bratem. Samochodem. Mimo że byli obaj mocno wstawieni... Po tragedii nie chciał mnie znać. Tak jakbym to ja była wszystkiemu winna. Później poznał Zofię. Wyjechał.

- Wie pani coś na temat jego życia zawodowego?

-Nic. Podobno nieźle się ustawił. Mnie się powiodło znacznie gorzej. Trzy małżeństwa, wszystkie nieudane. I perspektywa samotnej starości na tym zadupiu.

*

Lew Szwendala, laureat Nagrody Mebla i wielkiej liczby wygranych pisma „Szaradzista”, pracował owego dnia intelektualnie. Zobowiązywało go do tego uczestnictwo w Europejskiej Radzie Mędrców zajmujących się na co dzień problemami nie do rozwiązania. Nie robił tego szczególnie chętnie, ale jak długo można w kółko łowić ryby? Tym razem pracował nad ekspertyzą dla Komisji Europejskiej w temacie żarówek. Jak wiadomo, Bruksela wydała rozporządzenie o zaprzestaniu produkcji tradycyjnych żarówek i przestawieniu się całej Unii wyłącznie na te energooszczędne, które jak wiadomo, miały same zalety z wyjątkiem trzech niewielkich wad: były drogie, często się psuły i świeciły, jakby chciały, a nie mogły. Mimo to wszyscy pogodzili się z decyzją związaną z globalnym

ociepleniem, które wprawdzie, jak wiadomo, było fikcją, ale zainwestowano w walkę z nim zbyt wiele szmalu i autorytetów, żeby można się było teraz wycofać.

Szkopuł, z którym musiał uporać się nasz meblista, nazywał się *lampoczki*, czyli tanie żarówki z Białorusi, które dzięki przedsiębiorczości polskich importerów mogły oświetlić całą Europę. Potrzebna była tylko drobnostka, zgoda właściwego komisarza. Importer radził, żeby dać mu w łapę, Szwendala jednak wolał rozwiązania systemowe - skoro w interesie narodowych lobbystów udało się ogłosić uchwałę, że marchewka jest owocem, a ślimak winniczek rybą słodkowodną, udowodnienie, że białoruska *lampoczka* - produkowana w warunkach niedemokratycznych, składająca się z nieekologicznych metali kolorowych, szkła z piasku rekultywowanego po Czarnobylu i mroźnej próżni - jest żarówką, w ogóle nie będzie problemem. Ostatecznym argumentem miało być przekształcenie słynnego wzoru Lenina „komunizm równa się władza rad plus elektryfikacja”. Po wyrzuceniu „władzy rad” na śmietnik historii zostawała sama elektryfikacja. I *lampoczki*.

- Jestem genialny - ocenił się skromnie Wielki Elektryk.

I nagle zabrzączał komputer, donosząc: „Masz wiadomość”. Szwendala zajrzał do swojej poczty i z zadowoleniem zauważył, że prezes Rady Ministrów zaprasza go na konsultacje w trybie pilnym i liczy na przybycie jutro do Warszawy. Odmailował, pytając, czy nie mogliby się spotkać podczas weekendu w Trój mieście?

„Nie wiem, gdzie będę w weekend” - odpisał osobiście premier.

- Cholerka - mruknął meblista Lew - chyba mamy jakiś poważniejszy kryzys.

*

Jak większość kobiet luksusowych Elwira Ptasio sypiała do południa. Bardzo było to na rękę Miziakowi. Zanim jego chlebobawczyni zdążyła otworzyć swe śliczne oczy (i dokleić sztuczne rzęsy), miał już nie tylko wykarczowanych kilka uschniętych krzewów, ale udało mu się w piwnicy odnaleźć puszkę telefoniczną i zamontować przy niej mały magnetofon rejestrujący wszystkie rozmowy prowadzone za pośrednictwem aparatu stacjonarnego. Koło południa był już mocno zziąjany i jego spocony tors po zdjęciu koszuli lśnił w słońcu.

- Dokonałam dobrego wyboru - pomyślała Elwira, wychodząc na taras w peniuarze, a widząc, z jakim zapalem „ogrodnik” bierze się za kolejny pniak, dodała: - Bardzo dobrego!

O godzinie pierwszej zaprosiła go na południową kawę, przy okazji wypytując o to i owo. Eryk miał już starannie przygotowaną legendę. Wyjechał z powodu dziewczyny,

Szwajcarki w drugim pokoleniu, z którą wziął ślub w Polsce. Afekt był tyle gwałtowny, co krótkotrwały. Rozstali się po trzech latach.

-... A ja zostałem tu jak głupi - zakończył swoją historię. - Bez zawodu, z kiepską znajomością języka... I pomyśleć, że dla Ady rzuciłem studia w Polsce...

- Co pan studiował?

- Prawo.

- No to chyba zawsze można wrócić?

-Wrócić można, ale wstyd. Rodzina myśli, że dorobiłem się tu własnego biznesu... A ja tymczasem żyję z dnia na dzień. I dopiero jesienią to się zmieni.

- Mianowicie?

- Zdałem na studia w Genewie. I jesienią idę na czwarty rok.

Popatrzyła na niego z uznaniem: „Nie tylko nieźle zbudowany, ale wcale nie taki prościuch, jakim się wydawał w pierwszej chwili”.

- Pojedziesz ze mną do miasta na zakupy - zdecydowała.

- Nie ma pani prawa jazdy?

- Mam, ale zawsze lepiej wygląda, kiedy mężczyzna prowadzi pojazd.

Pojazdem był jaguar w kolorze metalik, marzenie każdego automobilisty. Przez pierwsze pięć minut Eryk prowadził go z nieśmiałością furmana, któremu polecono sterować promem kosmicznym.

- Szybciej! Nie bój się! - podkreślała go Elwira - zwierzątko jest bardzo posłuszne.

Na temat zakupów robionych przez blondynki krążą legendy. W wypadku panny Ptasio niesprawdzone. Dziewczyna okazała się wyjątkowo rozsądna. I nieskapa. W dwie godziny ubrała swego „ogrodnika” od stóp do głów, wydając niebagatelną kwotę pięciu tysięcy franków. Kiedy wzbierał się przed przyjmowaniem takich prezentów, powiedziała:

-Daj spokój! Zamierzam przyjmować wielu gości, a mojemu pracownikowi przysługuje odzież robocza.

Sobie kupiła skromną, czarną, jednak w dużym stopniu seksowną sukienkę, ot, w sam raz na wieczorne przyjęcie. Zjedli lunch w przydrożnym bistro i wrócili nad jezioro.

W domu na sekretarce nagrały się trzy wiadomości, wszystkie od niejakiego Birda, z prośbą o oddzwonienie. Zanim wykonała ten telefon, dała do zrozumienia Erykowi, że przyjemności się skończyły i pora wracać do pracy.

Podśluch działał doskonale, toteż starszy aspirant nie uronił ani słowa z dialogu Elwiry i Birda. Dossier tego szwajcarskiego biznesmena o polskim rodowodzie, i „podwarszawskim” akcencie było bogate. Od wczesnej młodości zdążył on już: zarząbać ciotkę albo babkę,

odsiedzieć kilka lat w kraju, prysnąć za granicę, dorobić się tam fortuny, wrócić bezczelnie pod zmienionym nazwiskiem do ojczyzny i dać się przy skrzynie, aby w tajemniczych okolicznościach zostać ułaskawionym przez znanego z dobrego serca prezydenta Goryczkę. Od tego czasu krążyła o Birdzie legenda „Kasjera” i dysponenta bankowych kont wielu działaczy z kraju. Swego czasu minister sprawiedliwości Zbigniew Osierdzie próbował uzyskać informacje o tym szmału od Szwajcarów, ale rząd się zmienił, a szef resortu sam omal nie trafił do pierdła za próbę zabójstwa własnego laptopa, a jego następcy stracili wszelką ochotę do badania tajemnic bankowych, wychodząc z założenia, że w Szwajcarii żaden pieniądz nie śmierdzi.

Rozmowa między Elwirą a Birdem trwała krótko i nawiązywała do jakiejś wcześniejszej, odbytej zanim jeszcze Miziak trafił do willi. Panna Ptasio tłumaczyła, że nie natrafiła na żadne notatki Gusiewicza. A co się tyczy „Alfy”, wie, że ktoś taki był od dawna współpracownikiem jej chłopca, ale nie wie, co się z nim dzieje. I jak do niego trafię.

„Obiecywała pani przeszukać skrytkę bankową Gusia” - naciskał Bird.

„Zrobię to jutro”.

„Doskonale. Niezależnie od tego, co pani tam znajdzie, proszę o telefon. A pojutrze zapraszam panią na imprezkę z przyjaciółmi. Była już pani w Locarno?”

„Nie, nigdy”.

„To proszę czuć się zaproszoną. Mam tam domek i skromny jacheik. Do zobaczenia”.

Eryk poczuł nagły przypływ emocji Gra się rozkręcała.

*

-Nie możesz się teraz wycofać - Paweł Miętus krążył wokół fotela, na którym spoczywał rozwalony Kolesiowski. Postronnemu obserwatorowi mogli przypominać model Ziemi. Pograżona w cieniu planeta i krążący wokół niej pызaty (z każdym rokiem coraz bardziej) Księżyc. - Czy wiesz, ile zainwestowałem? Ile trudności pokonałem? Usiłowali wygryźć mnie z partii, którą za uszy wyciągnąłem ze śmietnika historii, włóczyli po sądach koleżeńskich i powszechnych. Podpuścili na mnie prokuraturę... Aleja wygrałem. Dla ciebie, Andrzeju!

Były minister spraw zagranicznych bąknął pod nosem coś, co równie dobrze mogło być przeczeniem, jak i aprobatą. Wyglądał świetnie, mimo blisko dziesięciu lat, które upłynęły od wyborów, w których przegrał w pierwszej turze z Goryczką. Sam ekstrakt prezydentenkości. Mościcki na XXI wiek!

„Gdybym ja miał taki wygląd, tobym startował co najmniej na prezydenta Zjednoczonej Europy” - pomyślał Miętus.

- Nie wystartuję, jeśli nie będę miał szans - wycedził wreszcie Kolesiowski.

- Ale nie będziesz miał szans, jeśli nie ogłosisz startu w kampanii.

- Błędne koło - zgodził się kandydat Andrzej. - Obiecywałeś mi jednak wunderwaffe.

-I słowa dotrzymam.

- W takim razie, gdzie ona jest?

- Pojawiły się nieoczekiwane trudności. Pośrednik miał wypadek.

- Ale naszą forszę wziął?

-Wziął. Ale pieniądze, Andrzejku, to nie wszystko. Wykonam drugie podejście.

I gwarantuję ci, wygramy w cuglach. Tylko musisz się zadeklarować. Musisz chcieć.

-Najpierw musi chcieć mnie naród.

-Daj spokój z takimi dyrdymałami. Ten naród sam nie wie, czego chce. Postrzega świat przez pryzmat telenowel. I damy mu bohatera godnego najlepszej telenoweli. Carringtona w polskim wydaniu. Ciebie.

- Jestem stary.

- Ojczyzna potrzebuje ojca.

- Ale nie dziadka. Poza tym wiedzą, że nie jestem pracowity.

- Nad Wisłą pracowici tylko odstręczają od siebie.

-No i mam te nieszczęsne haki w życiorysie. Sam je ujawniłem.

-Kto ich nie ma. Szwendałę pokochali dopiero, kiedy okazało się, że był agentem bezpieczeństwa. Andrzejku, powiedz „tak”, a dostaniesz prezydenturę na tacy. A nawet razem z tacą.

- Pokaż mi swojego magika, a wtedy dam odpowiedź.

*

Nie mając tego dnia ochoty na mecz, Ronald Duck postanowił się oddać sprawom piłki bardziej teoretycznie i w tym celu spotkał się z największym znawcą futbolu (południowoamerykańskiego, ale nie tylko), Tomaszem Kołkiem, swego czasu redaktorem pisma „Życie po życiu”, które skutecznie doprowadził do upadku. I to nawet dwa, a może trzy razy. W swoim barwnym życiu dziennikarz zdążył być już nadzieją prawicy, bardem Lwa Szwendały, chorążym „antysalonu” i na koniec oddanym totumfackim Adama Pyszniaka.

Tak naprawdę interesowały go wyłącznie piłka i dziwki, posiadające jedną wspólną cechę: przy odrobinie fantazji obie można było dmuchać.

Tym razem jednak występował w charakterze eksperta. Premier miał bowiem tezę, która sprowadzała się do jednego - mamy w kraju od cholery problemów, które zamiatamy pod dywan, przekładamy na lepsze czasy, poświęcamy na ołtarzu doraźnego sukcesu i dobrego samopoczucia, ale kiedyś, prędzej czy później, będą one musiały wybuchnąć.

- Otóż nie muszą - pocieszał redaktor Kołek - wszystkie bowiem kłopoty, cały nagromadzony gniew społeczny i zawód sprawiony przez rządy Partii Obiecaneek można rozwiązać w jeden sposób - wygrywając Euro 2012.

- Tylko jak tego dokonać, Tomku? - pytał Duck.

- Jaki jest stan naszej piłki, wie każdy.

-Fakt, tu nie pomoże tuzin Bin Hackerów ani innych najlepszych trenerów świata - stwierdził Kołek.

- A gdyby kupić gdzieś całą jedenastkę? - zastanawiał się premier.

- Obawiam się, że przekracza to możliwości naszego budżetu. Gdyby chcieć zrobić coś takiego, minister Jan Vincent Vangoghowski popełniłby publiczne harakiri. Poza tym jakby to wyglądało, drużyna narodowa, a tu sami czarni. Może pomogłyby zmiany w FIFA w temacie regulaminu.

-Wjakim kierunku miałyby pójść? Trzy faule i karny? Tak kiedyś się grało na moim podwórku.

- To ciekawa propozycja - zgodził się Kołek. - Tylko niekoniecznie musiałyby działać na naszą korzyść. Już prędzej liczyłbym na skorzystanie z doświadczeń z lotów narciarskich.

- To znaczy?

-Można by wprowadzić oceny za styl. Powiedzmy, przegrywamy 1:0, ale za sportową postawę, zachowanie na boisku, czystość śpiewu Mazurka Dąbrowskiego, komitet sędziowski dolicza nam dwa punkty i jest 1:2.

- Piękny pomysł, ale na dalszą przyszłość - zasepił się Ronald.

- W takim razie możemy liczyć wyłącznie na cud.

- Cud, mówisz? - i w tym momencie premier postanowił nadać poszukiwaniom Czerwonki najwyższy priorytet.

*

Gust gastronomiczny Elwiry nie należał do szczególnie wysublimowanych. Na kolację wybrała się do pobliskiej pizzerii i zjadła tam ogromny placek z owocami morza (sama, Eryk nie brał podobnego robactwa do ust) i popiła czterema kieliszkami czerwonego wina, co

wprawiło ją w gadatliwy nastrój. Jak się okazało, śmierć Arkadego nie stanowiła dla niej jakiegś szczególnej traumy. Związek z Gusiewiczem traktowała jako rozsądną inwestycję i teraz zamierzała zrealizować zyski.

- Misiaczek był miłym gościem - stwierdziła w pewnej chwili - troskliwym, opiekuńczym, ale nie umiał się bawić. A czym by było życie bez zabawy?

Policjant przytaknął, nie próbując dociekać całej filozoficznej głębi tego stwierdzenia. Tym bardziej że jego głowę zaprzętał pewien plan. Niezbyt uczciwy, ale rokujący duże szanse na powodzenie.

Po kolacji podreptał do swej izdebki. I czekał. Do północy. Potem założył czarny sweter, naciągnął na twarz pończochę i wyszedł do ogrodu. Najpierw przewrócił pojemnik w śmietniku, potem hałaśliwie przedzierał się przez krzaki, a następnie zabrał się do wyważania zamka do garażu.

Okazało się, że Elwira spała czujnie. Zobaczył, jak błysnęło światelko w jej pokoju. Interkom w jego pokoju zawibrował. Pod samym murem, tak żeby nie mogła go dostrzec, pobiegł i przez okno wślizgnął się z powrotem do swej sypialni.

- Słucham! - powiedział rozespanym tonem człowieka wyrwanego z objęć Morfeusza.

-Ktoś obcy kręci się po ogrodzie! - w głosie panny Ptasio pobrzmiwał autentyczny strach.

- Zaraz sprawdzę.

-Nic pan nie będzie sprawdzał. Nie wiadomo, ilu ich jest. Proszę wziąć broń i przyjść do mnie na górę.

Zdążył się przebrać i zamknąć okno. Drzwi na parter były już otwarte. Elwira czekała na schodach.

-Proszę zamknąć za sobą. Zabezpieczę całą piwnicę!

Zauważył, że ma na sobie wyłącznie koszulkę nocną, cienką jak mgiełka. Nie zapalając światła, wyszedł na taras na pierwszym piętrze uzbrojony w spluwę i latarkę. Dłuższą chwilę oświetlał krzaki.

- Nikogo nie ma - zapewnił wystraszoną kobietę.

- Słyszałam hałasy. Widziałam jakiś cień.

- Pewnie bezpańskie koty buszowały w śmietnikach.

- W Szwajcarii nie ma bezpańskich zwierząt. Zadzwonimy lepiej na policję!

- Tylko się ośmieszmy. Proszę zachować spokój, przy mnie nic pani nie grozi.

Drżała. Nalał jej pełny kieliszek koniaku. Wypiła go jednym haustem.

- Proszę również się napić - zaproponowała.

Nie odmówił. Kiedy jednak chciał wracać do suteryny, chwyciła go za rękę. Czuł, że cała drży.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła.

- A kto mówi o zostawianiu?

- Będziesz spał na górze - ultimatywnie wskazała mu kozetkę w salonie. - Dam ci koc i poduszki.

Potulnie skinął głową. Nalał jeszcze po kielichu.

- Czy ma pani powody, by obawiać się kogoś konkretnego? - zaczął i natychmiast skłął się w duchu, że mówi jak policjant. Elwira była jednak zbyt zdenerwowana, by to zauważyć.

- Osobiście nie naraziłam się nikomu, ale Arek miał swoje tajemnice, i wielu osobom zależy, by się do nich dostać.

- No to wystarczy je oddać.

- Oczywiście. Ale nie za darmo. I nie mów mi „pani”, Eryku. Mam na imię Elwira.

- Jest mi trochę głupio.

- Ale nieśmiały! A będzie ci łatwiej, jeśli wypijemy bruderszaft?

-No...

Były rytualne gesty, zgięte ręce, picie do dna, wreszcie pocałunek. Spodziewał się rytualnego cmoknięcia. Nie docenił jej. Pocałowała go w usta i nie poprzestała na muśnięciu ust. Przywarła mocno rozchylonymi, wilgotnymi wargami. Błyskawicznie wysunęła koniuszek języka, skłaniając go, aby szerzej otworzył usta. Uległ jej atakowi, ale po kilkunastu sekundach odsunął się delikatnie.

- Chyba powinniśmy już spać - powiedział. - Ja jeszcze obejdę cały dom. Chociaż jeśli nawet do ogrodu zakradł jakiś włóczęga, dawno go spłoszyliśmy.

- Masz rację - zgodziła się i wyszła.

Wytrzymała kwadrans. Kiedy przyszła do niego ponownie, była całkowicie naga.

I zdecydowana.

- Zawsze śpisz w ubraniu? - zapytała, unosząc koc.

Mruknął coś jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. Nie otwierał oczu, chociaż czuł, jak rozpina mu guziki, ściąga spodnie, całuje po brzuchu...

Miziakowi wydało się, że śni. Jego ekszona była bardziej niż pruderyjna. Obowiązki małżeńskie wykonywali po ciemku, szybko, bez żadnych gier wstępnych ani końcowych. Również kilka innych panienek, które zaliczył w biegu, nie mogło się równać z panną Ptasio. Przez następne pół godziny czuł się bohaterem filmu pornograficznego. Bojąc się, że przedwcześnie eksploduje, przewrócił ją na wznak i wszedł energicznie, wywołując u niej

radosne pomruki. Pierwszy raz był krótki, ale Elwira nie pozwoliła mu zasnąć. Wzięła się za niego ponownie. On nie pozostał dłużny, w efekcie przyjęli znaną wszystkim figurę zwaną z francuska *soixante neif* podążając gorliwie ku szczytom rozkoszy. Finisz był tradycyjny.

I równoczesny.

-Tego mi było trzeba - powiedziała Elwira tonem, jakim pracodawca zwykł chwalić solidnego pracownika. Potem obróciła się na pięcie i poszła do swego pokoju.

V.
Cała prawda o Czerwonce

PIĄTEK

Miziak trochę bał się tego poranka, nie wiedząc, czy może spodziewać się od swej chlebodawczyni podwyżki czy dymisji. Wiadomo - kobiety są nieobliczalne. Dlatego skoro świt zerwał się z kanapki, doprowadził do ładu całe pomieszczenie i poszedł pracować do ogrodu. Nie napracował się wiele.

O dziewiątej dobiegł go srebrzysty głos Elwiry.

- Śniadanko!

Czyżby seks zmniejszał jej zapotrzebowanie na sen? Zastanawiał się, jak wydarzenia ostatniej nocy wpłyną na charakter ich wzajemnych stosunków. Okazało się, że wcale. Elwira zresztą powiedziała mu wprost, między jednym a drugim chrupiącym rogalikiem.

- To, że mnie przetrząnąłeś, nie daje ci żadnej władzy nade mną.

- Wiem. Jestem tu tylko ogrodnikiem.

-Itak niech zostanie. A jeśli nadal będziesz grzeczny, co pewien czas pozwolę ci na małe figielki.

Myślał, że jest to kolejne zaproszenie do alkowy, ale się rozczarował. Panna Ptasio miała bardzo napięty dzień. Wizyta w banku na Bahnhofstrasse w Zurychu, później fryzjer, a potem się zobaczy.

Spotkanie ze skrytką Gusiewicza zajęło jej około kwadransa. Wróciła bardzo podniecona.

-Wiesz, jakie tam są klejnoty? - powiedziała niemal oszołomiona. - Wzięłam tylko ten drobiazg - otworzyła puzderko zawierające naszyjnik.

- Rozumiem, że to nie jest podróbka? - zapytał, wpatrując się w połyskujące diamenty.

- Gdyby było to gówno z Jablonexu, Arek nie trzymałby go w bankowym sejfie.

- A nie uważasz, że bezpieczniej by było, gdyby tam został?

- Pewnie tak. Ale jutro wybieram się na przyjęcie. Potem wróci na swoje miejsce.

Na końcu języka miał uwagę, że zdumiewa go jej lekkomyślność. Na jakiej podstawie zaufała nieznanemu mężczyźnie, wpuściła go do domu, dała mu broń, ciało, a teraz zdradza mu swe bogactwa. Przecież mógł być bandytą albo wynajętym skrytobójcą. Ale zamiast tego zadał inne pytanie:

- To wszystko, co tam znalazłaś?

- Wzięłam jeszcze pamiętnik Arka. Ktoś chce go kupić i mam nadzieję, że dobrze zapłaci

- pękata kopertę wsunęła do schowka. - Teraz masz wolne, Eryku. Idę do fryzjera i trochę

czasu mi to zabierze. Będziesz miał co najmniej dwie godziny wolnego. Jak skończę, zadzwonię. Masz komórkę?

-Nie.

-W takim razie zadzwonię do samochodu dokładnie za dwie godziny i powiem, jaka jest sytuacja.

- Doskonale. Będę czekał na telefon.

Oczywiście nie zamierzał nigdzie się ruszać. Miał ciekawsze zajęcie. Szybko znalazł miejsce na jednym z parkingów nad jeziorem, po czym wyciągnął ze schowka kopertę, a z niej wydobyl gruby, gęsto zapisany brulion. „Mój pamiętnik” - napisał na pierwszej stronie Gusiewicz.

Pierwszych czterdzieści jeden stron nie zawierało rewelacji: standardowa opowieść o dzieciństwie, młodości, początkach pracy w SB, w której znalazł się przez naturalną kolej rzeczy, z racji uwarunkowania rodzinnego - ojciec był partyzantem Armii Ludowej, matka kadrówką w różnych instytucjach państwowych. Arkady miał sporo szczęścia, nie trafił bowiem do pionu zajmującego się zabijaniem ludzi, a można powiedzieć, że przeciwnie - ich rozśmieszaniem. Istniała taka specjalna komórka, zajmująca się zbieraniem krążących dowcipów, a także rozpowszechnianiem własnych, dyskredytujących osoby lub środowiska uznane przez Polskę Ludową za wrogie. Inna sprawa - pod koniec lat osiemdziesiątych żadne żarty nie mogły uratować upadającego systemu. Gusiewicz doskonale świadomy nastrojów społecznych uzmysłowił sobie to dużo wcześniej niż inni koledzy, toteż zawczasu zaczął się zastanawiać, jak ułożyć swoje życie, gdyby rzeczywiście za sprawą Michała Korbaczowa miało dojść do prawdziwych zmian w Obozie Pokoju i Socjalizmu.

Jednak naprawdę pasjonująca lektura zaczęła się od strony czterdziestej drugiej:

Sam los chciał, aby nasze ścieżki splotły się ze sobą. Ale stało się. Nie ja byłem reżyserem pierwszej sceny. Wtedy, kiedy umarłem, kiedy wraz z moim motorem wyleciałem w powietrze, przeturlałem się po asfalcie i trafiłem do rowu, moja dusza opuściła ciało i z wysokości kilkunastu metrów przyglądała się temu, co działo się dalej. Kierowca wygramolił się z samochodu. Był cały, choć cholernie zszokowany. Zwymiotował i nie wiem, dlaczego zamiast sprawdzić stan swego pasażera, jak lunatyk ruszył w moim kierunku. Był mocno pijany, ale równocześnie nadzwyczaj skoncentrowany. Widząc moje bezwładne ciało, ujął je oburącz. Począł powtarzać: „Żyj, o Boże, powtarzam: żyj!”. Poczulem gigantyczny przypyływ energii. Wlatała się ona we mnie, uzdrawiając połamane kości i pęknięte organy... Czy był to cud? Tak, energetyczny cud. Jeszcze chwila, a otworzyłem oczy.

Mój wybawca (jego nazwisko, Alojzy Czerwonka, poznałem nieco później) siedział na skraju drogi kompletnie wyczerpany. Był bledszy od własnej koszuli.

- Pomóc panu? - zapytałem poruszony.

Nagle wrócił do rzeczywistości. Poderwał się i wołając: „Mój brat, mój brat! ”, pobiegł do owiniętego wokół drzewa samochodu. Sławomir Czerwonka był, niestety, martwy. Tak martwy, że żadna siła nie była go w stanie wskrzesić. Zresztą jego brat właśnie pozbył się całej posiadanej mocy. Dlatego wszelkie próby reanimacji nie miały szans.

- Już mu nie pomożesz - powiedziałem, asystując jego zabiegom. - Pomyśl raczej o sobie.

- Nic mi nie jest.

- Poza tym, że jesteś pijany i prowadząc samochód, doprowadziłeś do śmierci człowieka.

Wreszcie dotarło do niego.

- Poniosę odpowiedzialność - stwierdził z zupełną rezygnacją.

- Pięknie. Tylko co ci z tego przyjdzie, że trafisz na parę lat do pudła, gdzie jacyś git ludzie przekalibrują twoją uroczą dupkę na rozmiar haubicy?

Nie odpowiadał. Ciągnąłem dalej swoją rolę Mefistofelesa.

- A pomyślałeś o swoich rodzicach? Chcesz, aby za jednym, zamachem stracili dwóch synów?

-Ale co ja mogę zrobić? - ukrył twarz w dłoniach.

- Przesadź brata za kierownicę, a ja zaświadczę, że to on prowadził w chwili wypadku.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

- Dlaczego pan to robi?

- Z wdzięczności - odparłem. - Uratowałeś mi życie. Byłem martwy, a ty przekazałeś mi ogromny zastrzyk swojej energii. Robiłeś to już kiedyś?

- Dla zabawy, podczas meczu. Kiedy kolegom wyjątkowo zależało na wygranej.

- No to bierz się do roboty.

Po chwili trup Sławka znalazł się na miejscu kierowcy. Nad samochodem unosił się ciężki odór benzyny sączącej się z pękniętego baku.

- To nic nie da - powiedział Alojzy. - Najgłupszy policjant przy wizji lokalnej domyśli się, jak było. Miejsce obok kierowcy jest tak zmasakrowane, że pasażer nie miał prawa przeżyć...

- Dlatego zeznasz, że spaleś na tylnym siedzeniu. Poza tym wystarczy podpalić wóz.

Wręczyłem mu zapalki.

- Nie, nie zrobię tego! - zawołał, drżąc cały.

- Pośpiesz się, ktoś tu jedzie, za wzgórzem widziałem światła.

No więc zapalił te zapalke, a potem wybiegliśmy obaj na drogę, aby machając rękami, zatrzymać nadjeżdżającego kierowcę.

Czerwonka nie wiedział jednego. Cały czas miałem ukryty w rękawie miniaturowy aparat fotograficzny. Zrobiłem mu tej nocy mnóstwo zdjęć. Okazał się niezwykle fotogeniczny.

Pierwsza zagadka, hak, jaki miał Gusiewicz na Czerwonkę, przestała być tajemnicą. Mniej jasne było dla Miziaka, jak esbek zamierzał wykorzystać swego „niewolnika”. Choć... Arkady był niezłym psychologiem i już dość dawno orientował się, że istotą powodzenia w każdym interesie jest wiara we własne możliwości i siła przekonywania. Ponieważ cały czas prowadził dyskretną obserwację Czerwonki, dowiedział się, że w sanatorium nieprawdopodobnie pomaga ludziom. Pozbawia samobójców dążeń do samozagłady i przywraca melancholikom chęć do życia. Jednym z pierwszych sukcesów była podświadoma terapia zaaplikowana przyszłej żonie.

Wkrótce Gusiewicz odnowił znajomość z Alojzym, a nawet został świadkiem na jego ślubie. Wobec obojga małżonków przedstawiał się jako dziennikarz Polskiej Agencji Prasowej, oczywiście współpracujący z opozycją, choć posiadający różne użyteczne kontakty... Kiedy Alojzy przeniósł się do Wrocławka, funkcjonariusz również poprosił o służbowe przeniesienie. Już wtedy zaczął przyprowadzać do Czerwonki ludzi potrzebujących więcej wiary w siebie. Zazwyczaj wystarczało jedno spotkanie, a panowie osiąkali sukces, zaś majątek Arkadego znacząco wzrastał. Czerwonka też dostawał prezenty za wysiłek, tak że wkrótce mógł przestać pracować.

Niedługo po pierwszych wzmiankach o Okrągłym Stole zorientowałem się, że zmiany, które nas czekają, oznaczają fantastyczny sezon dla możliwości Alojzego. Postanowiłem zafundować sobie próbę generalną. Pod koniec listopada 1989 roku zapowiedziano emisję na żywo telewizyjnej debaty między Lwem Szwendalą a liderem komunistycznych związków zawodowych Fredem Słodzikiem. Zdaniem resortu przywódca nielegalnego związku nie miał żadnych szans. Opinia Czerwonki pokrywała się z moją, choć nie ukrywam, kibicował on liderowi NSZZ „Solidność

- Szkoda, że polegnie! - wzdychał

- A gdybyś mu pomógł? - rzuciłem z głupia frant.

-Ja? Wjaki sposób?

-Mam pewne kontakty w telewizji...

Zawiozłem Czerwonkę do Warszawy. Urządziłem wszystko tak, że spotkał się ze Szwendalą na schodach, tuż przed pojedynkiem i mocno chwycił go w ramiona.

- Musi pan zwyciężyć - rzekł z całą mocą.

Potem osłabł i pewnie by padł, gdybym się nim nie zajął.

Co było dalej, wszyscy wiedzą. Szwendala po prostu unicestwił Słodzika. Czerwonka upił się z radości. Wymogłem na nim, żeby nikomu nie zdradził swojej roli.

- Nie wiadomo, kto chciałby cię wykorzystać - ostrzegłem. Choć jedyny, który mógł go wykorzystać, nazywał się Arkady Gusiewicz.

Pierwszą prawdziwą forszę zarobiłem od niejakiego Pięciobulwy, szemranego biznesmena z Pomorza. Startował do Senatu przeciwko człowiekowi „Solidności” i gotów był dać wiele za wygraną.

Czerwonka nie bardzo chciał mu pomóc. Ale przekonałem go, że miejscowy kandydat związku to Żyd, mason i kosmopolita. Że przy pomocy SB wślizgnął się w zdrowe szeregi kandydatów, którzy zrobili sobie zdjęcie ze Szwendalą...

Uwierzył mi, w efekcie senator Pięciobulwa stał się w tej kadencji jedynym w izbie niższej człowiekiem spoza listy opozycji, a ja zarobiłem pierwsze wielkie pieniądze.

„Jeśli Gusiewicz nie łże, wypadaloby całą najnowszą historię Polski napisać na nowo” - pomyślał Miziak, przewracając kolejne kartki.

Prawdziwym wyzwaniem stały się pierwsze wolne wybory prezydenckie. Wiedziałem, że przy pomocy Czerwonki możemy w nich zdrowo zamieszać. Oczywiście bez cudów. Czy ktoś nieznany mógłby się zmierzyć z pierwszym niekomunistycznym premierem lub legendarnym przywódcą z podziemia? Wydawało mi się to nieprawdopodobne, choć z drugiej strony jak miałem zażądać kasy od niezłomnego konfederata Leszka Sikulskiego czy obnoszącego się ze swoją lewicową niezależnością Włodzimierza Cichoszewicza. A inni? Dopiero po dłuższym czasie wypatrzyłem niezależnego kandydata z Kolumbii Franka Typińskiego. Wprawdzie miał już swoje wsparcie w postaci żony, indiańskiej szamanki o rozkosznym imieniu Graciella, ale nie sądziłem, by mogła ona stanowić w czasie jego kampanii prawdziwą podporę, jako że amerykańskie ptaszki ćwierkały, że lał ją często i systematycznie.

Udało mi się trochę dowiedzieć o jego kontaktach i sponsorach, których miał tylu, ile paszportów trzymał w czarnej teczce. I ustaliłem opłatę za wejście do drugiej tury. W tym miejscu zderzyłem się czołowo z Alojzym.

-Nie będę popierał jakiegoś podejrzanego typu przeciwko legendom „Solidności”! - wolał silnie wzburzony.

- Oczywiście, szanuję twoje zdanie, chociaż uważam, że zablokowanie premiera Tadeusza Małopolskiego reprezentującego żydokomunę i grubą kreskę, jak i powstrzymanie Adama Pysznika jest samo w sobie posunięciem chwalebny.

- Może i jest, ale beze mnie.

To prędzej czy później musiało się zdarzyć. Trzy dni później przyleciał do mnie błady i roztrzęsiony.

- Ktoś widział i sfotografował nasz wypadek! - krzyczał, wyciągając zdjęcia i anonim ułożony z literek wyciętych z gazety (nie macie pojęcia, jaka to głupia robota). Jakiś lajdak żądał 100 milionów złotych w zamian za negatywy. W dobie inflacji nie było to wiele, ale wystarczyło, żeby przerazić Alojzego.

Udałem zdumienie. A następnie stwierdziłem, że dzięki moim kontaktom w nowych władzach postaram się coś z tym zrobić. Przetrzymałem go dwa dni w niepewności, a potem opowiedziałem bajeczkę o gajowym, który był świadkiem kraksy.

- Naprawdę chodzi mu tylko o pieniądze - tłumaczyłem.

- Cały problem to wygrzebać głupie 10 tysięcy dolarów.

- A skąd niby miałbym zdobyć taką zawrotną sumę?

- Franek Typiński gotów jest dać nawet więcej. Tylko za pierwszą turę...

- Ale w drugiej wygra Szwendala?

- Oczywiście. Vox populi, vox Dei.

Nie byłem tego taki pewien. Kolumbijczyk Typiński jako „ojciec narodu”, całkowicie ode mnie zależny, to był cud... Tak kombinowałem, dopóki nie spotkałem się z szoferem i totumfackim Szwendalą, niejakim Mietkiem Wachmistrzowskim. Ten skądś już wiedział, że pomagam Typińskiemu. Szmalu dać nie mógł, ale obiecywał mi liczne apanaże po zwycięskich wyborach...

Czerwonka dostał negatywy (a ściśle mówiąc, ich kopie) i wywiązał się ze swego zadania, Typiński idąc jak burza, powalił Małopolskiego, który przez dłuższy czas nie mógł pojąć, co się właściwie stało, a w drugiej turze...

Pamiętam ten kluczowy moment, Typiński udawał się na konferencję. Miał ze sobą słynną czarną teczkę z kwitami na Szwendalę (jako na tajnego współpracownika SB, pseudo Ciulek), do pełnego szczęścia brakowało mu tylko krótkiego seansu wzmacniającego z Alojzym. Zazwyczaj memu geniuszowi wystarczyło parę minut, aby najbardziej nawet

miękką charyzmę przemienić w stop irydu z platyną. Typiński, tak jak było umówione, wpadł do pokoju i... zastał mnie.

- Gdzie konsultant? - zapytał, spoglądając obłądnie.

- Zachorował - odparłem - ale z pańską siłą przekonywania sobiepan radę i bez niego.

Nie dał. Dziennikarze roznieśli go na strzępy.

Zwycięstwo Szwendaly stało się formalnością.

Czerwonka nie był aż tak głupi, na jakiego wyglądał, i chyba domyślił się mojej roli.

Nadal współpracowaliśmy, ale o przyjaźni nie mogło być mowy. Z drugiej strony chyba polubił swoje honoraria, a i rola demiurga najnowszej historii też mu odpowiadała.

Miziak musiał się śpieszyć, dlatego dalszą część pamiętnika jedynie przekartkował. Inna sprawa, że każda strona mogłaby zainteresować zarówno historyka, jak i prokuratora - ileż spraw stało się jaśniejszych. I wygrana Aleksandra Goryczki ze Szwendalą zakończona słynnym „Panu to ja mogę nogę podać” (poszło tym łatwiej, że Alojzy stracił już sentyment do swego idola). I osławiony oscylator spółki FartB, i koncesja telewizyjna dla stacji Polkabel, mimo że w kolejce stali kompetentniejsi i bardziej zasłużeni nadawcy. Podobnie dzięki dyskretnej pomocy Czerwonki poseł Paweł Miętus mógł wygrać w kasynie sto dwadzieścia osiem razy z rządu, a chłopski trybun, minister rolnictwa w rządzie Jarosława Indykiewicza, Andrzej Trądzik, umknąć w ostatniej chwili z siedel zastawionych przez ministra sprawiedliwości Zbigniewa Osierdzie.

Gusiewicz przy pomocy swego szamana nie tylko nagradzał, ale też potrafił skarcić. Tak było z premierem Leszkiem Killerem, który wszedł w konflikt z Goryczką i żądał licznych usług od Gusiewicza, ale nie chciał za nie płacić.

Wystarczył impuls wysłany przez Czerwonkę z towarzyszącym mu grymasem ust, aby helikopter wiozący premiera i jego rzecznikę Aleksandrę Dawidowską runął na ziemię w podwarszawskim lasku.

Ostatni sukces miał miejsce przed paru laty. Kiedy do roztrzęsionego Ronalda Ducka, przekonanego, że po raz kolejny przyjdzie mu polec z braćmi Indykiewiczami, zawitał Czerwonka.

„Nie pójde na debatę, nie pójde” - płakał Ronek. Łapki w piąstki zaciskał, nóżkami tupał...

„Pójdiesz i zwyciężysz” - powiedział spokojnie Alojzy. Po czym ujął ryżą głowę lidera Partii Obiecanek w ręce i zaczął powtarzać: „Ducku, musisz; Ducku, musisz!”.

Duck posłuchał. Poszedł i wygrał...

Zadzwoił telefon. Fryzjer dokonał już swego dzieła, toteż Elwira wzywała swego kierowcę. Mógł jechać. Zapis o wyborach, zwycięskich dla Partii Obiecanek, kończył wpisy w brulionie...

Ale Miziakowi nie potrzeba było więcej. Wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Poza jednym. Co się stało z Alojzym Czerwonką?

*

Wbrew oczekiwaniom chlebobawczyni Eryka nie zafundowała sobie na głowie rajskiego ptaka. Uczesała się skromnie, ale szykownie, doskonale zdając sobie sprawę, że tylko brzydkie kobiety próbują szokować mężczyzn ekstrawagancją. Piękne mają pełne zaufanie do swej urody, którą najwyżej dyskretnie podkreślają.

Po odwiezieniu jej do domu Miziak postanowił wyrwać się do miasta, twierdząc, że musi nabyć trochę nasion do ogrodu. W istocie zamierzał skontaktować się z Brygidą. Wiedział, że wreszcie w ich wzajemnej rywalizacji wysunął się na czoło. Toteż gdy Jarmuła z entuzjazmem zapoznała go z wnioskami, sugerując ściszym głosem, iż „konsultacje” Czerwonki mogą mieć związek z jego paranormalnymi zdolnościami, cynicznie jej wysłuchał, nie przerywając, po czym dobił ją krótkim „wiem o tych zdolnościach”, a następnie wyliczył najważniejsze wypadki „utwardzania charyzmy”

- A skąd się o tym wszystkim dowiedziałeś? - wystękała na wpół ogłuszona.

-Dorwałem pamiętniki Arkadego - rzekł, nie wglębiając się w okoliczności ich pozyskania. O tych opowie przy piwie kolegom z komisariatu.

-I wiesz, jak go odnaleźć?- zapytała, przytomniejąc.

-A ty?

- Badam różne ewentualności - odparła ogólnikowo. - Jednak biorąc pod uwagę twoje dokonania, pewnie już wiesz, gdzie go szukać...

- Jeszcze nie. Ale spróbuję wycisnąć to z Elwiry.

Kolejny telefon wykonał do Kaszany. Podpułkownika nie poraziły wiadomości o katalogu osiągnięć Czerwonki. Jeśli nawet nie znał wszystkich szczegółów, zachowywał się tak, jakby był obecny przy większości wydarzeń. Nalegał tylko, żeby informacje na ten temat nie przedostały się na zewnątrz.

- To dotyczy najżywotniejszych interesów naszego państwa - podkreślił. - Jego prestiżu na arenie międzynarodowej.

- Rozmawiałem na ten temat tylko z podkomisarz Jarmułą.

- Trudno - skomentował Kaszana. - I tak macie oboje jedno zadanie: odnaleźć „konsultanta” albo przynajmniej dowiedzieć się, w czyje ręce trafił.

*

Ronald Duck nie przepadał za konsultacjami. To znaczy, rozumiał ich znaczenie dla politycznego wizerunku, zapraszał więc do siebie rozmaite osobistości w rodzaju profesora Władysława Kasperczyńskiego, i wysłuchiwał z namysłem jego rad i uwag o „dyplomatołkach”. Jednak zaraz po wyjściu potrafił skwitować uczone wywody weterana polityki: „Ale nabredził stary pierdzieli”, wywołując niezmienną radość wśród współpracowników.

Jego stosunek do Lwa Szwendały był inny, owszem podzielał zdanie Pyszniaka, że jest to prostak, bufon, egoista, który nigdy nie przestał być tym małym cwaniaczkiem spod Płocka, co z jednej strony podlizywał się księdzu, a z drugiej sikał do chrzcielnicy; i biegał na zebrania ZMS-u, ale potrafił też ze sztachetą w dłoni rozgonić potańcówkę w remizie. Równocześnie wiedział, że dawny lider „Solidności” był jak znak firmowy na świecie - nawet peruwiańscy peoni, niewiedzący, gdzie leży Polonia, a tym bardziej, kim jest premier Duck, znali nazwisko Szwendały - Czerwonego Kapturka i Tomcia Palucha w jednym, ludowego geroja, który pokonał smoka, zagryzł wilka i (co prawda na krótko) został władcą swoich rodaków.

Poza tym były prezydent miał intuicję (teraz co prawda posługiwał się nią dużo rzadziej niż kiedyś) i Ronek chciał z niej skorzystać.

- Czy nie czuje pan prezydent, że tu coś śmierdzi? - zagaił, przyjmując Lwa w swoim gabinecie.

- Szambo wywaliło! - stwierdził fachowo Szwendała.

-Myślałem w sensie metaforycznym, znaczy przenośnym! - poprawił się szybko, wiedząc, że Wielki Elektryk nie lubi obcych wyrazów, chyba że podczas rozwiązywania krzyżówek.

- A kiedy nie śmierdziało? Może jak ludzie się umyli i wypowiedali przed pielgrzymką Ojca Świętego... Ale mów, Ronek, konkretnie, co ci leży na wątrobie, kto ci świnię podkłada?

- Ktoś ukradł nam Czerwonkę.

- Wirusa tej choroby i może wybuchnąć światowa pana-damia?

-Naszego szamana! Alojzego Czerwonkę! Chyba pan wie, o kim mówię...

- Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. W tej sprawie Mietek wszystko załatwił. Ale jak go wywaliłem, to się ten szaman obraził. Polazł do Goryczki i pomógł mu nieuczciwie wygrać... A teraz co z nim?

- Zniknął. Podejrzewamy, że mógł go ukryć któryś ze sztabów kandydackich.

- Nie za wcześnie?

-Kto pierwszy, ten lepszy. I jestem ciekaw, co w tej sprawie mówi intuicja pana prezydenta.

- W jakim temacie?

- W temacie sprawcy. Na przykład „Indyki”. Mogli go ukryć?

- Chętnie by go wzięli, gdyby to umieli zrobić.

- To prawda. Mam zresztą zamiar wy badać rzecz u źródła. Ale jeśli nie oni, to kto?

- Może Miętus z Kolesiowskim, może czerwoni? Szaman wymaga niezłej kasy.

- A Waldi? - zapytał Ronald - mój wicepremier?

- Miły chłopiec, ale okropnie skąpy. Jak to chłop. Z płockiego.

-Kto może jeszcze być zainteresowany? - głośno zastanawiał się lider. - Może Romek Graczych? Ma ogromną ochotę wrócić do gry. Nawet wstąpiłby do naszej Partii ObiecaneK, tyle, że co najmniej na wiceprezesa.

- Graczych? - Szwendala zastanawiał się przez chwilę. - Nie, nie. Religia mu zabrania tego rodzaju metod. A jakby ojciec dyrektor Radia Gloryja się dowiedział, że korzysta z usług szamanów, toby klątwę na niego rzucił.

- Kiedy Graczych już dawno wypadł z łask ojca Maślaka!

- Ale trafił jedynie do czyścica, nie do piekła, i zawsze może wrócić.

- Tylko jak?

- Jako praktyk powiem tak: członków nie ma. Elektoratu też. Ze wszystkiego pozostał mu wzrost. A u nas - tu wymownie popatrzył na Ducka i siebie - za wysokimi nie przepadają.

*

Brygida Jarmuła z trudem tłumiała wściekłość. Nie dość, że jej śledztwo utknęło, to jeszcze temu niedojdzie Miziakowi udało się dotrzeć dalej niż jej. Ina próżno tłumaczyła sobie że „głupi ma szczęście”. Zresztą Eryk tak całkiem głupi nie był. Brakowało mu może zawodowej pasji, owego żaru... ale kto wie, może właśnie teraz, dzięki jej pomocy, ten żar w sobie rozdmuchał.

Wróciwszy wieczorem do Warszawy, postanowiła spotkać się ze swoją przyjaciółką, Magdą. Być może nitka prowadząca do kłębka kryła się w gąszczu plotek towarzyskich. Po przeanalizowaniu wszystkich okoliczności miała nieomal stuprocentową pewność, że Czerwonkę porwano. Przy okazji wykluczyła ewentualność, że szaman nie żyje. Nawet w Polsce trudno by znaleźć głupca zarzynającego kurę znoszącą złote jajka. Oczywiście porwanie mogłoby zostać dokonane w dwóch celach. Aby skłonić Czerwonkę do współpracy z porywaczami albo uniemożliwić jego współdziałanie z przeciwnikiem. Zakładając taką ewentualność, uprowadzenia musieliby dokonać ludzie Partii Obiecanek, a ci przecież nalegali na śledztwo. Z drugiej strony trudno wyobrazić sobie braci Indykiewiczów wykorzystujących szamana, choć z drugiej strony biorąc pod uwagę aktualne notowania we wszystkich rankingach, mogli liczyć jedynie na cud. Gorzej byłoby, gdyby za porwaniem stał ktoś z zagranicy. Jakieś wpływowe państwo i agencja wywiadowcza... Wtedy sytuacja byłaby bardziej niż skomplikowana.

Stąd sugestia wyrażona wobec Kaszany, z którym Brygida spotkała się późnym wieczorem, aby jego służby sprawdziły, czy ktoś z osób podpadających kontrwywiadowi nie kręcił się tamtej niedzieli w rejonie Wrocławka. Proponowała sprawdzenie taśm ze stacji benzynowych, punktów kontroli radarowej, pogadankę z drogowką. Sama też zamierzała jeszcze raz się rozejrzeć w okolicy domu Alojzego Czerwonki.

- Pomyśleliśmy o tym już wcześniej - stwierdził podpułkownik, ale policjantka wyczuła, że kłamie. Później próbował zaprosić ją na kolację. Wykręciła się zmęczeniem i bólem głowy. Tak naprawdę jednak chciała mieć jak najwięcej czasu na rozmowę z Magdą.

*

Wizyty Ronalda Ducka w Pałacu Prezydenckim miały od dawna ustaloną dramaturgię. Dochodziło do nich zwykle w sytuacji, w której obaj mężowie stanu gotowi byli pozabijać się nawzajem, ale odbywały się zwykle w atmosferze konsensusu. Ronald, który jak nikt umiał rozindyczyć Lecha Indykiewicza, potrafił go również rozbroić z wdziękiem psotnego studenta.

Tego dnia prezydent wahał się, czy w ogóle przyjąć premiera. Kobieciny z jego kancelarii naszykowały taki stos wycinków, inwektyw, wycieczek osobistych dokonanych w ostatnim czasie przez Ronka i jego dwór, że nawet święty wpadłby w furję. Czarę goryczy przelała sprawa ostatniej podróży na Wschód, kiedy Ronek po prostu odmówił Indykiewiczowi

użyczenia samolotu, twierdząc pokrętnie, że jest niesprawny, wskutek czego prezydent, jego świta i generalicja musieli tłuć się w tę i nazad na uroczystości rocznicowe pociągiem.

Nic więc dziwnego, że Indykiewicz oczekiwał Ducka naładowany elektrycznością niczym Jowisz Gromowładny czy może raczej niczym butelka lejdejka. Jednak po otwarciu drzwi, do których klamki ledwie sięgał, zamiast wilczych oczu zobaczył rozbijające spojrzenie pięćdziesięcioletniego chłopca, który rzekł miękko:

-Dzień dobry, panie profesorze. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Pozwoliłem sobie przynieść drobny upominek, w postaci bibliofilskiego wydania „Doktora Faustusa” Tomasza Manna, z odręczną adnotacją doktora Goebbelsa. „Do spalenia!”

Cały gromowładny potencjał ulotnił się z delikatnym sykiem.

„Co ja poradzę, że lubię tego urwisa” - przemknęło Indykiewiczowi.

W dodatku Duck uderzył w jego najczulszą strunę. Z kim innym poza bratem mógł pogadać o Mannie? Przecież nie z pełniącym obowiązki przywódcy „Solidności” Januszem Oładkiem (przezywanym przez posła Moczypsa „Pośladkiem”). Raz wspomniał mu coś o „Czarodziejskiej górze” i spotkał się z życzliwym zrozumieniem, ale po kwadransie monologu zorientował się, że związkowy trybun myśli, iż „Czarodziejska góra” to kryptonim oznaczający kancelarię premiera.

Kamerdyner bezszmerowo podał obu panom kieliszki czerwonego wina.

-Table rond z 1989 roku - powiedział prezydent, spoglądając pod światło. - Niezły rocznik.

- Widzę, że nie masz uprzedzeń do tego wydarzenia jak twoi doradcy?

- Siedziałem wówczas pod stolikiem związkowym i uważam, że nie ma czego się wstydzić. I jak?- zapytał, widząc, że Ronek pochłonał duszkiem zawartość kielicha.

-Obleci! - to powiedziawszy, premier dolał sobie do pełna, nie czekając na kamerdynera.

-Z czym przybywasz? - zapytał prezydent, opuszczając nieznacznie gardę. Jak dotąd spotykali się wyłącznie w sytuacjach kryzysowych, gdy cała Polska słuchała TKN24, czekając na komunikat o wybuchu wojny domowej.

-Tak sobie wpadłem. Pogadać. Jak się miewa brat? Jak szanowna mamusia? Co z kotem?

-Na pewno tak sobie pogadać? Myślałem, że porozmawiamy o zbliżającej się kampanii.

- A co tu gadać? Wronek wzięli się z Radwanem potargali przyjacielsko. I wygrała nasza poczciwa maruda. Chcieli prawyborów, to je mieli.

- Tyle że połowa twojej partii uznała, że nie ma wyboru, i nie głosowała.

-Nie głosowała, bo znajduje się w Irlandii, ale mocno trzymała kciuki!

- Społeczeństwo mówi, że i tak zgłosisz się sam za pięć dwunasta. „Dla ojczyzny ratowania!”.

- W życiu! Przecież dobrze wiem, że z tobą nie wygram.

Indykiewicz łyknął komplement gładko, a Duck ciągnął dalej:

- Jestem zdania, że powinien wygrać najlepszy. Jak na boisku, czysto, ładnie.

Powiem ci coś, czego nie mówiłem nikomu: do dziś mam kaca po pojedynku, który stoczyłem z twoim bratem. To nie była czysta gra.

-Myślisz o tej młodzieży hałasującej w studiu podczas debaty? Rozmawiałem o tym nieraz z Jarkiem. Nie ma ci tego za złe. Jeśli ma jakieś pretensje, to wyłącznie do siebie.

Uważa, że jako polityk powinien był przewidzieć taką sytuację, nie dać się sprowokować, a w ostateczności wyjść ze studia. Wygrałeś zasłużenie.

Donald odetchnął. „Nie wiedzą nic o roli Czerwonki w zwycięstwie podczas tej debaty. A zatem i teraz go nie mają. To bardzo zawęży krąg poszukiwań” - zaczął się zastanawiać.

Wrócili do tematów ogólnointelektualnych. Ronek pochwalił się, że też przeczytał w ostatnim roku jedną książkę. Jednak druga półkula jego mózgu (lewa) nie potrafiła pozbyć się obaw... A nuż w sprawę Czerwonki wdała się jakaś frakcja BiS-u, a prezydent nie został poinformowany o przedsięwzięciu? Z tajnego raportu wynikało, że kontakty z Gusiewiczem utrzymywał Adam Lipka, wiceprezes partii zwany „Negocjatorem Tysiąclecia”. Na jego temat krążył żart, iż gdyby z ramienia Amerykanów zajmował się negocjacjami w sprawie kupna Manhattanu i Alaski, to dziś królowa brytyjska byłaby Indianką, a Klondike należałoby do Chińczyków. Żart nie był pozbawiony racji, w końcu kto inny jak nie Lipko wsławił się nocnymi rokowaniami z posłanką Samowolki Renią (Cham)Burger; i gdyby TKN24 nie pośpieszył się z publikacją nagranych z ukrytej kamery materiału, tajne rozmowy mogłyby się skończyć nawet wrobieniem ówczesnego premiera Jarosława Indykiewicza w nieślubne dziecko działaczki Anety Szewczyk.

Podobnym sukcesem zakończyły się negocjacje Lipki z Lewizną Socjaldemokratyczną w sprawie radia i telewizji, które tylko dzięki samoograniczeniu się działaczy LSD nie doprowadziły do objęcia kierownictwa Radiokomiteu ponownie przez redaktora Jerzego Turbana.

„Tak, jeśli szamana Czerwonkę porwał nawet Lipko, to i tak nic groźnego z tego dla nas nie wyniknie” - uspokoił się premier.

Dwie godziny i sześć butelek później dał się posłusznie zanieść do limuzyny. Po drodze koniecznie chciał przejść na „ty” z niosącym go BOR-owcem i oświadczył się

odprowadzającej go do drzwi pani Małgorzacie Obwarzanek. Krzyknął również do dziennikarzy kłębiących się za bramą: „Bez komentarza!”.

Indykiewicz miał zdecydowanie lepszą głowę. O własnych siłach dotarł do sypialni.

- Czego chciał od ciebie ten trampkarz? - zapytała pani Maryla, żona prezydenta.

-Nie mam pojęcia, ale było bardzo przyjemnie. Bardzo!

*

Magdalena Cholewko w najmniejszym stopniu nie przypominała bohaterów ze wszystkich kolorowych gazet, które wydawała ongiś, wydaje obecnie lub będzie jeszcze wydawać. Aż trudno uwierzyć, że pnąc się po szczeblach kariery, zawdzięczała tak wiele zakochanym w niej mężczyznom. Cóż, w przeszłości, niezbyt zresztą odległej, była wiotką inteligentną sarenką, na której widok w każdym samcu odzywał się instynkt łowiecki. Jednak dziesięć lat później sarenka zmieniła się w hipopotama. Nie tracąc zresztą nic z inteligencji, energii, a nawet swoistego wdzięku.

Obie panie umówiły się w knajpeczce, którą najlepiej definiowała sama nazwa „Do przesyta”. Dookoła szumiały sosny, stwarzając wspólnie ze staromodnym wnętrzem niepowtarzalny klimat dawnego podwarszawskiego letniska.

Brygida zastanawiała się, jak wyciągnąć maksimum informacji, nie zdradzając meritum sprawy, które musiała zachować w tajemnicy? Na szczęście Magda Cholewko programowo nie interesowała się polityką. To znaczy w wydawanych przez nią periodykach można było przeczytać, jakie bryczesy nosi Radwan Wróbelki, co je kot Jarosława Indykiewicza, lub czy uda się wydać Olę Goryczko za księcia. Ale nic ponadto. Co i tak nie chroniło jej przed kłopotami. Po fotoreportażu „Kto będzie następną żoną redaktora Kuny?”, ilustrowanym fotografiami z kolacji, którą spożył on w towarzystwie krytyka filmowego Tomasza Krabika, inne brukowce ochoczo podchwyciły temat pod hasłem „Dwóch Tomków w jednym domu”.

I państwo Kunowie wytoczyli kilka procesów. Cholewko jednakże wyszła z nich obronną ręką. Zapłaciła jedynie bez mrugnięcia okiem ćwierć bańki odszkodowania, dodatkowo poświęcając głowy własnego dziennikarza i fotoreportera, którzy wylądowali na bruku.

W stosunku do Jarmuły pozostała starą przyjaciółką i zapytana o rolę magii w wyższych sferach, z ochotą zasypała policjantkę mnóstwem mniej i bardziej błahych informacji. W końcu do niedawna wydawała również „Aurę magii”, periodyk poświęcony właśnie tym zagadnieniom. Brygida dyskretnie usiłowała skierować ją w stronę szamana, ale najwyraźniej wydawców i czytelników „Aury” w pewnych kwestiach obowiązywała zmowa milczenia,

w dodatku ściśle przestrzegana. Trochę farby Magda puściła jedynie (przypadkiem, wspominając, że polityczny watażka Andrzej Trądzik jakiś rok temu chlapnął dziennikarzowi, iż o podsłuchu w Ministerstwie Rolnictwa i walizce z milionową łapówką nie dowiedział się z żadnego przecieku, lecz od szamana przestrzegającego go przed prowokacją.

- Opublikowaliście ten materiał? - zdziwiła się Brygida.

- Mieliliśmy zamiar, ale Trądzik odmówił autoryzacji i zabronił wspominać o tym magiku.

- Sam zadzwonił w tej sprawie?

-Nie... Czekaj. Nawet się zdziwiłam, bo Trądzik był już dawno poza rządem, a zadzwonił osobiście dyrektor Gusiewicz z kancelarii premiera.

Brygida musiała użyć wszystkich sił, aby powstrzymać okrzyk tryumfu.

- Masz może namiary na tego szamana?

- Żadnych! - odparła Magda i próbowała przejść do innego tematu.

Podkomisarz zmieniła taktykę. Po serii banalnych kwestii na tematy różne zapytała o poszukiwanie osób zaginionych w dziwnych okolicznościach.

- Przecież to ty jesteś z policji?

- A jak policja nie daje sobie rady?

-No to jest jeszcze stowarzyszenie Itaka, rozmaici jasnowidze...

- Znasz może jakiegoś?

Cholewko pogrzebała w sfatygowanym kajeciku i po chwili podała numer komórkowy.

- Bardzo mi pomogłaś - powiedziała Jarmuła. - Zabrałam ci mnóstwo czasu. Chyba będę się zbierać.

- Może przenocujesz u mnie, mieszkam niedaleko - zaproponowała, robiąc sarnie oczy: to jedno zostało jej z dawnych czasów.

- Może innym razem.

Z samochodu zadzwoniła do jasnowidza o nazwisku chyba najbardziej dalekim od tajemniczości - Kowalski. Wyglądało na to, że połączenie udało się jej od razu.

- Pan Kowalski? - zapytała.

Kilkanaście sekund trwała cisza - po czym zabrzmiał głos tak aksamitny jak zasłony w buduarze kurtyzany:

- Witam panią serdecznie, pani Brygido.

- Co, co... - wykrztusiła zdumiona. - Skąd pan wie, kto dzwoni?

- Znam swój fach i staram się zawsze wiedzieć, z kim mam do czynienia. Niestety, możemy spotkać się dopiero w poniedziałek. Aktualnie przebywam za granicą. Czy godzina dwunasta w południe pani odpowiada?

- Jak najbardziej.

- W takim razie serdecznie zapraszam. Mam gabinet na trzydziestym dziewiątym piętrze hotelu Marriott.

VI.

Poplatane tropy

SOBOTA

Szaleństwa seksualne poprzedniej nocy tym razem powtórzyły się w wersji umiarkowanej. Nie znaczy to wcale, że Elwira Ptasio znudziła się po jednej sesji swoim jurnym „ogrodnikiem”. Po prostu dbała, żeby łózkowa gimnastyka nie zniszczyła zanadto jej pięknej fryzury. W efekcie załatwili to szybko na stojąco, a Miziak zrozumiał, że obok grabienia trawników, spulchniania grządek i rąbania drew do kominka zadowalanie chlebodawczyni weszło na stałe w zakres jego obowiązków.

Do Tesynii wyjechali około jedenastej, kierując się na południe. Poranek starszy aspirant wykorzystał do zamontowania w torebce Elwiry miniaturowego urządzenia nadawczego. Przewidywał, i słusznie, że nie zostanie zaproszony na jachtowe party, a był niezwykle ciekaw rozmów panny Ptasio z Peterem Birdem i jego gośćmi. Autostrada ominęła Zug, pozostawiła na uboczu malowniczą Lucernę i posuwając się skrajem jeziora Czterech Kantonów, przecięła samo serce Helwecji, gdzie na łączce Rutli przedstawiciele trzech kantonów leśnych dali początek Konfederacji Szwajcarskiej. Minęli bez zatrzymywania miasteczko Aldorf sławne z konfliktu Wilhelma Telia ze starostą Gesslerem, kiedy to mistrz kuszy zestrzeliwać musiał jabłko z głowy własnego syna.

Wkrótce pochłonęły ich wielokilometrowe tunele pod przełęczą św. Gotharda.

A potem nieoczekiwanie oślepiło ich słońce. Nagle znaleźli się w świecie europejskiego południa. Wiosna w mgnieniu oka przeszła w pełne lato. Autostrada pędziła teraz na śmiałych estakadach ponad przepaścistą doliną, w której szalała na kamieniach rzeka Ticino, wezbrana od śniegów topniejących w górach. Za Bellinzoną znów na moment zagłębili się w góry, lecz zaraz potem rozwarła się przed nimi rozległa przestrzeń szmaragdowego Lago Maggiore.

Elwira umówiła się z Birdem w kawiarni hotelu Dell'Angelo położonego przy Piazza Grande. Przybyli kwadrans przed czasem. Poprosiła swego kierowcę, aby wysadził ją kilkaset metrów wcześniej. Zamierzała się przejść po sklepach.

- A ja - zapytał Eryk - co mam zrobić ze sobą?

- Zaparkuj gdzieś samochód i bądź pod telefonem. A, zapomniałabym: kupiłam ci wczoraj komórkę. Prawda, że ładna?

- Piękna!

Ustawił wóz na tarasie powyżej hotelu, w miejscu, które gwarantowało doskonały odbiór podsłuchu, choć na razie był to głównie chrzęst damskich akcesoriów wewnątrz torebki, kroki Elwiry na trotuarze, warkot samochodów, a w końcu bicie zegara na wieżyczce.

Chwilę potem panna Ptasio weszła do restauracji.

-Punktualna jak zegarek - usłyszał męski głos. Towarzyski mu odgłos odsuwanego krzesła, parę zdawkowych uprzejmości, a następnie zamawianie *caffè latte*.

- Arkady wiele mówił o pani urodzie, ale z pełną odpowiedzialnością twierdzą, że jej nie doszacował - powiedział Bird, po czym bezzwłocznie przeszedł do konkretów: - Ma pani to, o co prosiłem?

- Nie uzgodniliśmy jeszcze ceny.

- Musiałbym zobaczyć, aby ocenić wartość.

- To komplikuje sprawę. Kiedy oddam dokumenty, może pan uznać, że nie ma powodu, by płacić.

- Jestem dżentelmenem.

- A ja wiem, że we współczesnym biznesie nie ma miejsca na dżentelmenerię.

„Cwana gapa” - pomyślał Miziak, Bird musiał dojść do tego samego wniosku.

-Powiem jasno - rzekł biznesmen. - Ustaliliśmy z Arkadym określoną prowizję za usługę. Wpłaciliśmy zaliczkę. I jestem gotów zapłacić drugą ratę. Pięćdziesiąt tysięcy na rękę.

- O ile wiem, miało być pół miliona.

- To prawda, ale nie wymagamy od pani, aby zorganizowała całość operacji, przekonała szamana, opłaciła go i tak dalej. Płacimy jedynie za kontakt z nim.

Dowiedzieliśmy się już tego, czego przez lata Gusiewicz strzegł tak zazdrośnie, nazwiska Alojzego Czerwonki i miejsca jego zamieszkania. Wiemy też, że zniknął. Chcemy do niego dotrzeć. To wszystko.

- Muszę się zastanowić. Poza tym chciałabym rozmawiać ze zleceniodawcami, a nie, pan wybaczy, pośrednikiem.

- Ja się nie obrażam. Rozumiem też, że może potrzebować pani nieco czasu.

O dwudziestej spotkamy się na przystani przy bulwarze Giuseppe Motta.

- Oczywiście. Zatem do zobaczenia.

*

Waldemar Kargul, prezes Partii Siermiężno-Ludowej, miał kłopoty. Nie za duże. Ot, na miarę swego wicepremierostwa. I nie chodziło bynajmniej o to, że nazajutrz po zawarciu kontraktu gazowego z Rosją „na wieczne czasy i jeden dzień dłużej” odkryto w Polsce gigantyczne złoża gazu, pozwalające ogrzać i oświetlić połowę galaktyki, ani o to, że minister finansów Jan Vincent Vangoghowski znów zaczął majstrować przy KRUS-ie, argumentując,

iż większość rodaków wkurza, że rolnicy opłacani przez Unię Europejską - po to, by przypadkiem czegoś nie uprawiali - praktycznie nie płacą podatków i składek ubezpieczeniowych.

Zmartwienie Waldi Kargula, prezesa również Ochotniczej Straży Pożarnej, wywoływał niewykonany plan gaśnictwa w pierwszej połowie bieżącego roku. Długa zima i wilgotna wiosna sprawiły, że większych pożarów było jak na lekarstwo, co odbijało się na niedostatku premii, nagród i odznaczeń wśród strażackiej braci. Dawniej zawsze można było liczyć na piromanów. Statystyki powiadają, że na dziesięć tysięcy strażaków przypada jeden podpalacz, który celowo zaproszy ogień, tylko po to, żeby następnie ofiarnie, z narażeniem życia go gasić. BiS jednak w trakcie swych krótkotrwałych rządów piromanów wyłapało, a następni jakoś się nie kwapili. Nawet w osobistej wsi Waldemara ktoś do statuy patrona strażaków przywiesił tabliczkę z napisem „Święty Florian rzucił palenie!”.

Od lat cała działalność Kargula opierała się na prostej zasadzie - wszelkie sprawy dzielił na te, które można załatwić, i na te nie do załatwienia. Zajmował się wyłącznie tymi pierwszymi. Teraz jednak zwyczajnie nie mógł olać problemu. Tym bardziej że nawet powódzie angażujące dorocznie jego strażaków jakoś nie dopisały tej wiosny, być może zbierając siły na lato.

„Wszystko przez ten efekt cieplarniany i globalizację” - mrucał wkurzony wicepremier, stukając w laptopa i czytając prognozy pogody.

Bo co mógł zrobić? Puścić w kraj legion dziewczynek z zapałkami, licząc, że co dziesiąta coś zaproszy? To byłby grzech! A poza tym skąd brać takie dziewczynki? Jedyne, co kołatało mu się w głowie, to opowieści babci i prababci o czarownicach, które sobie tylko znanym sposobem potrafią sprowadzać burze, obowiązkowo z piorunami. Tylko gdzie takich szukać?

Jedyny człowiek, który pewnie by sobie z tym poradził, Arek Gusiewicz, nie żył. Wicepremier skonsultował się ze swoim społecznym doradcą, specjalistą od obyczajów ludowych, ale ten nie miał pojęcia, o co chodzi. Podzwonił po kolegach z klubu, ale na hasło „czarownica” tylko jeden wyraził żal, że jego teściowa już nie żyje, bo „wiedźma była z niej straszna!”.

Zrezygnowany wklepał w wyszukiwarkę słowa - „czarownice, burza, usługi” i ku jego najwyższemu zdumieniu wyświetliło się pół tuzina ofert. Najbliższa Warszawy spółdzielnia pracy Horpyna mieściła się, niestety, w Puszczy Białodziurskiej.

„A może by pojechać tam osobiście i trochę się przewietrzyć” - pomyślał Waldemar Kargul.

Piotr Magda Boruta nie był sentymentalny, jednak wkraczając do gmachu dawnego Urzędu Rady Ministrów, poczuł dziwne ssanie w dołku. Czy była to nostalgia, czy może zaszkodziła mu kolacja? Raczej to pierwsze. W końcu minęło półtorej dekady, chociaż jemu wydawało się, że dopiero wczoraj był wszechwładnym panem tego gmachu i przy okazji całego kraju, jako że premier Hanna Tłuszczka pozostawiła wszystkie nici w jego młodych rękach.

„*To se już na wrati*” - szeptał mu wewnętrzny głosik, choć inny usiłował go kontrować: „W polityce wszystko jest możliwe”. Ale jak? Cały dzień czekał, aż go wezwie Ronald, którego przez długie lata uważał za chłystka, i nie mógł sobie darować, że go zlekceważył i nie wyautował, kiedy mógł. Bo przecież były czasy, kiedy mógł wiele. A teraz bez zaplecza, bez jakiegokolwiek frakcji mogącej go poprzeć, znienawidzony przez Indykiewiczow, pogardzany przez kolegów z PO, którym zbyt długo okazywał wyższość - był po prostu sam. Nawet podupadająca gazeta rezygnowała z jego usług jako felietonisty.

Siedział w pokoju hotelowym, przebierając nogami w oczekiwaniu na wezwanie od premiera. Nie nadchodziło. Pod wieczór nie wytrzymał, zadzwonił do kancelarii i dowiedział się, że zostanie przyjęty dopiero następnego dnia.

Zastanawiając się, jak spędzić wieczór, długo przeglądał swój kalendarzyk. Nie miał wielu przyjaciół w tym prowincjonalnym mieście, które z niejasnych powodów zostało kiedyś stolicą. Większość dawnych znajomych musiał wykreślić sam, z kolei inni jego wykreślili. W zupełnej rozpaczycy odnalazł podobnego sobie towarzysza niedoli, Kazika Robercikiewicza, który nie powinien cisnąć słuchawką po pierwszych słowach, mimo że kiedyś ich wspólne rozmowy na temat koalicji PO-BiS zakończyły się spektakularnym fiaskiem.

O dziwo Kazik przebywał w Warszawie i też wyraźnie czekał, aż ktoś mu zaproponuje jakąś robotę w rządzie, banku albo przynajmniej jakimś ogólniaku. Ucieszył się z telefonu Boruty. Po czym zaprosił go do wynajętego apartamentu.

- Przypadkowo jestem sam - powiedział, - Izolda wyjechała na dwa dni do rodziny.

Humanistę Borutę drażniło używanie tej zmaskulinizowanej formy pięknego imienia Izolda, którą jako pierwszy wprowadził Tadeusz Boy-Żeleński, tłumaczący „Żywot Tristana i Izoldy” Josepha Bediera. Piotr Magda zawsze zastanawiał się, czy przypadkiem supermen Kazik, szalejący podczas swego krótkotrwałego premierostwa na młodzieżowych prywatkach nie jest przypadkiem kryptogejem jak wielu działaczy nieistniejącej już Chrześcijańskiej Unii Jedności. Ale chyba był to fałszywy trop. Wieczorek u Kazika okazał się w najwyższym

stopniu irytujący, zgrywający młodzika Robercikiewicz (pewnie gdyby miał włosy, zrobiłby je na żel albo cukier) potrafił mówić tylko na jeden temat. Posadził Borutę na zabytkowym fotelu, na którym wystający drut kłuł go w siedzenie (Izold wypatrzyła ten mebelek na targu staroci przy Nothing Hill), poczęstował starymi ciasteczkami (Izold sama je upiekła!) i pozbawioną smaku owocową herbatą (Izold kupiła ją w Lalmie!)

Z odrobiną złośliwości Piotr Magda zapytał Robercikiewicza o jego starą rodzinę, na co ten odparł z rozbrajającą szczerością, że mężczyzna powinien co pewien czas pozbywać się starej żony jak wąż skóry.

„Ty gadzie!” - pomyślał z podziwem podszytym lekką zazdrością Boruta.

Najgorsze, że gospodarz nie miał nastroju do kombatanckich rozważań, w których stronę ciągnął Premier z Krakowa, i nie chciał spekulować, co by było, gdyby PO-BIS się udał i gdyby wspólnie szarpnęli cugłami, dokończyli lustrację, przeprowadzili dekomunizację oraz dokonali reform na miarę Sejmu Czteroletniego (oczywiście bez zakończenia Targowicą). Słowem, przeszli do historii przez wielkie H, pozostawiając w tyle wszystkich Indyków, Ducków i Gommorrowskich...

- Izold uważa, że stało się, co się miało stać - zamknął temat „atrakcyjny Kazimierz” - byłem za dobry na to towarzystwo. Choć nie oznacza to, że w każdej chwili nie mogę wrócić do gry.

- W jakim charakterze?

- Na początek kandydata na kandydata.

-Przecież nasza partia miała już dwóch kandydatów prezydenckich. I wybrała mniejsze zło.

-Fakt, miała dwóch! I żadnego poważnego. Radwan, niestety, dość szybko skompromitował się przez swoje gadki.

- To prawda, nie potrafi trzymać języka za zębami.

-Dorzućmy do tego niejasne kontakty z zagranicą i żonę, amerykańską felietonistkę... Polacy nie zaakceptowałyby nigdy pani Apfelsoft jako Matki Polki.

-Został sam Wronek. Inna sprawa, że Bronisław lepszy jest jedynie, kiedy milczy i zgrywa arystokratę i myśliwego.

- Ekologicznego.

- Co to znaczy?

- Miłośnika zwierząt, który chodzi na polowanie bez broni i pozwala, żeby to zwierzęta polowały na niego.

- No i taka deklaracja dała mu parę punktów w sondażach.

-Na razie. Jestem przekonany, że jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem kampanii wyciągną mu jego dawne konszachty z generalicją. Znajdą teściów...

- W Wehrmachcie?

-Gorzej, wUB. Dlatego już dziś jestem przekonany, że gdy Ronek zrozumie, że jego protegowani nie mają żadnych szans, sięgnie po tego, kto gwarantuje mu bezapelacyjny sukces.

- Po ciebie?

- Oczywiście. To wynika z prostego równania... Wierzysz mi?

- Nie ośmieliłbym się dyskutować z byłym nauczycielem matematyki.

-Jestem wszechstronnie przygotowany, popularny, nawet żonę wyłoniłem pod kątem roli pierwszej damy.

- Robiłeś w tej sprawie jakiś casting?

- Nie masz pojęcia, jak szeroki. Pierwsza dama nie może być wydrą ani kaszalotem...

Fascynująca rozmowa ciągnęła się do późnej nocy.

*

Następnego dnia Boruta udał się do kancelarii premiera. Strażnik przy wejściu go wylegitymował. Piotr Magda chciał mu przywalić z główki, ale zorientował się, że kiedy był tu bogiem, młody funkcjonariusz jeszcze koszulkę w zębach nosił.

Idąc korytarzem, nie mógł pozbyć się wspomnień - oto w tym miejscu podjął decyzję o inwigilacji prawicy, a po tych schodach gonila go pani premier Tłuścicka, okładając torebką po głowie. Piękne czasy.

Ronek dawnego przyjaciela i mentora przyjął w saloniku recepcyjnym. Wyglądał na przemęczonego, a może tylko skacowanego. zaproponował kawę i krówkę. Boruta pomyślał, że chodzi może o śmietankę do kawy prosto od szwajcarskiej fioletowej Milki, tymczasem premier proponował popularne cukierki z Wilanówka, które trzymał dla gości w głowie Budynia - dość paskudnej rzeźbie stanowiącej nagrodę przyznawaną osobom aktualnie znajdującym się na fali przez redakcję tygodnika „Wyprost”.

- Mam problem, w którym tylko ty możesz mi pomóc - powiedział premier.

- Czyżby brakowało ci doradców? - Premier z Krakowa udał zdziwienie. - Masz ich tylu, młodych, asertywnych...

- Ćwierć- i półdurni. Bardzo mi ciebie brakuje! - dodał Duck i zabrzmiało to tak, jakby to Piotr Magda złośliwie opuścił Ronka, a nie został przez niego porzucony. - Żal mi tych naszych rozmów o antyku...

- Zawsze interesował cię los złych cesarzy - pokiwał łysą czaszką krakus. - Jakoś nigdy w rozmowie nie udawało się nam dojść do tych dobrych.

- Sprawowanie władzy zawsze jest testem na zdolność do okrucieństwa. Wiele nauczyłem się od ciebie, Piotrusiu.

„Nie wątpię, nauczyłem cię zabijać i sam zostałem zabity” - pomyślał Boruta, ale wołał nic nie mówić, tylko słuchać.

- Pamiętasz sprawę szamana? - kontynuował Duck.

-Co nieco z dawniejszych czasów. Wiem, że pomógł ci wygrać z Jarkiem... Chcesz ponownie go wykorzystać w tych wyborach?

-Na pewno przydałby się nam w kontekście Euro 2012. Masz pojęcie, gdybyśmy wygrali... chociaż jeden mecz. Nie sadzę natomiast, żeby był nam potrzebny do wyborów prezydenckich. Jedyne człowiek, z którym mógłby przegrać Gommorowski, to ja. Istnieje wszakże pewne ryzyko, że byłby w stanie wykorzystać potencjał szamana ktoś z naszych przeciwników. Jeśli faktycznie jego umiejętności są tak duże, jak mówią, mogłoby to na jesieni skończyć się dużą niespodzianką.

-I nie masz możliwości przeciwdziałania? Nie wierzę.

- Sęk w tym, że szaman zniknął. Próbuje dowiedzieć się, kto za tym stoi. I nic. A przecież może się okazać, że znalazł się za granicą. Masz pojęcie, jakimi konsekwencjami by to groziło...

- Zależy, za którą granicą.

-Zapominasz, Piotrze, że dziś dla nas istnieje praktycznie jedna. I jeśli ci sąsiedzi mają naszego szamana, nie sadzę, żebyśmy mogli go odkupić.

-Wszystko zależy od tego, czy posiadamy jakiś chodliwy towar, na wypadek gdyby miało dojść do barteru...

„Baterię patriotów” - chciał powiedzieć Ronek, ale ugryzł się w język.

- Nie znalazłoby się w pierdlu jakichś paru szpiegów na wymianę? - pytał dalej Boruta.

- Ostatniego wypuścił Radwan Wróbelki, jeszcze za poprzedniego rządu. - zauważył premier.

-Fakt. Ale na twoim miejscu postarałbym się, żeby coś się znalazło. Przecież jacyś szpiegowie u nas działają.

-Podobno mamy pod obserwacją tysiąc dwustu trzydziestu ośmiu potencjalnych agentów ze Wspólnoty Nieodległych Państw i podejrzewam, że jeszcze trzy razy tyle takich, 0 których nie mamy pojęcia, ale przecież nie możemy ich, ot tak, przymknąć! Butin by mi tego nigdy nie wybaczył.

- W takim razie, co ja mógłbym zrobić w tej sprawie?

-Przydałby mi się ktoś, kto popatrzyłby na to globalnie. Kwestia jest delikatna. A ty jesteś specjalistą od znajdowania igły w stogu siana. W końcu kto najlepiej działał w komisji śledczej w sprawie Lwa Ronina. Ty...

-I Zbyszek Osierdzie.

- Zostawmy Osierdzie w spokoju, bo zawału dostanę.

-Chyba nie myślisz o powołaniu kolejnej komisji śledczej? Działają już co najmniej cztery i telewizja nie ma kiedy ich transmitować.

- Tylko że wszystkie są do dupy! I mają coraz gorszą oglądalność. Komisja wyciskowa jakoś nie może dać wycisku BiS-iom, komisja w sprawie posłanki Bidy nie może udowodnić tak prostej rzeczy, że nóż, którym się pchnęła, naostrzył osobiście prezes Indykiewicz. A komisja ruletkowa... Ech, gdyby nie nasz kochany Mirek Kukuła, który wali opozycję po łapach, gdy ta chce zabrać głos, dawno mielibyśmy się z pyszna.

- Obawiam się, że powód braku sukcesów tych komisji leży gdzie indziej.

-No?

-Komisje śledcze służą zazwyczaj badaniu przestępstw rządu przez opozycję, a nie przestępstw opozycji przez rząd.

-Piotrusiu Madziu, nie pozwalaj sobie - Ronald żartobliwie pogroził mu palcem. - Potrzebuję komisji, która przykryje ewentualne kłopoty związane ze zniknięciem szamana, I tylko tyle.

- Tylko czym miałyby się zajmować taka komisja?

-Ty to najlepiej wymyślisz. Przeprowadzisz. Zwycięzysz. A potem... Wrócisz do gry. Brakowało mi ciebie. Wiesz, co to za koszmar, spędzić trzy lata wśród ćwierć- i półinteligentów?

- Ciągłe nie wiem, jak miałbym się do tego zabrać. Przecież nawet nie jestem posłem.

- Nie szkodzi, zostaniesz ekspertem i będziesz grał moimi marionetkami zza kulis. Wiem, że bardzo to lubisz.

Na moment twarz Boruty przybrała błogi wygląd. Faktycznie to lubił. A od czasu, gdy stracił posadę felietonisty, poza sprzątaniami, gotowaniem i innymi zajęciami domowymi nie miał nic do roboty.

- Rozważę to.
- Świetnie, masz czas do poniedziałku.

*

Po dotarciu na przystań w Locarno Elwira Ptasio nie kryła rozczarowania. W długich rzędach stały małe łódki, motorówki, na których można było wybrać się na ryby albo spędzić noc pod gołym niebem, ale żadna z nich nie nadawała się na bankiet. Jednak zaraz na małej motorówce pojawił się odziany w jasny garnitur Peter Bird i wskazując oświetloną rżęsiście jednostkę, zakotwiczoną nieco dalej od wybrzeża, przypominającą pełnomorski jacht, powiedział:

- Serdecznie panią zapraszam na pokład.

Wsiadła i po chwili tylko pienisty kilwater wskazywał kierunek jej eskapady.

Miziak obserwujący (i słuchający) z brzegu szybko zdjął słuchawki. Ryk silnika omal nie uszkodził mu bębenków.

-Wyższe sfery, psiakrew! - parsknął do siebie, chociaż jeszcze nie miał pojęcia, jak w istocie wysokie.

Jednak już pierwsze zdania, które padły na pokładzie, uświadomiły mu, w jakie towarzystwo trafiła jego chlebobawczyni. Zaraz rozpoznał trudny do pomylenia z jakimkolwiek dźwiękiem na świecie chrapliwy dyszkant Józefa Keksego, żyrardowski akcent Leszka Killera czy wręcz stworzoną do prawienia komunałów, gładką nowomowę byłego prezydenta Goryczki.

Trudno dociec, jaki cel przyświecał Birdowi, gdy zapraszał dziewczynę na podobne party. Zamierzał ją olśnić, podbudować swoją pozycję wobec prominentów polskiej lewizny, a może miał od kogoś z nich zamówienie na apetyczną blondynkę?

O tym jednak Miziak nie miał szans dowiedzieć się na bieżąco. Elwira zostawiła torebkę w kabinie, toteż do Eryka dobiegały tylko stłumione wybuchy śmiechu, szmer rozmów, z nakładającą się muzyką. Statek wziął kurs na południe. Nie chcąc stracić kontaktu, Eryk podążał brzegiem jego śladem, mając nadzieję, że nie przyjdzie mu jechać aż do Włoch.

Mikrofon aktywował się zaledwie parę razy. O 20.30 w kabinie Bird przez chwilę naradzał się ze swymi gośćmi. Miziak zorientował się, że mówią o Majdzińskim, bezbarwnym funkcjonariuszu partyjnym, namaszczonego na prezydenckiego kandydata.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał biznesmen.

Prędzej czy później znajdę wam tego szamana, a on zrobi z Majdzińskiego banię z charyzmą.

-Lepiej żeby prędzej - westchnął Keksy. - Bez jego pomocy Juruś nie wygrałby nawet castingu na parkingowego.

-Nie rozumiem, czemu go wytypowaliście - powiedział Killer. - Mamy tyle prawdziwych osobowości.

- Ale on przynajmniej nikomu nie przeszkadza - wyjaśnił Goryczko.

O 21.10 ktoś dorwał się do torebki panny Ptasio i dobre dwadzieścia minut kartkował papiery Gusiewicza. Koło 22.00 do kabiny wpadła jakaś parka i przez dziesięć minut uprawiała seks. Sposób oddychania i jęki wskazywały, że musi to być jakaś inna dziewczyna, młodsza od Elwiry. Kwadrans później ktoś wymiotował pod drzwiami.

Koło 23.00 sternik dokonał zwrotu i statek skierował się w stronę portu w Asconie. Eryk czekał na nadbrzeżu. Goście wysiedli, trzech czy czterech dżentelmenów i ze dwie rozbawione modelki. Z niepokojem stwierdził wśród nich brak Elwiry...

Usłyszał wreszcie, jak wchodzi do kabiny po torebkę.

- Proszę się tak nie śpieszyć, odwożę panią do Locarno - powiedział Bird. - Na razie musimy jeszcze porozmawiać. Zresztą już odbiliśmy od brzegu.

- Nie bardzo jest o czym. Wasze warunki są nie do spełnienia.

- Pozostaje jeszcze kwestia pobranej zaliczki. Pół miliona to kupa forsy.

- Nie ja ją kwitowałam, tylko Arek.

Z głosu Birda wyparowały resztki uprzejmości.

-Nie pogrywaj ze mną, laluniu! - warknął. - Albo dogadamy się po dobroci i wskażesz mi miejsce pobytu tego Czerwonki, albo szybko skończymy z uprzejmościami!

- A jeśli nie znam tego miejsca? Jeśli sam Arek nie wiedział, co się z nim stało?

- To masz problem, a ja trochę roboty. Szkoda będzie takiej pięknej buźki.

Miziak spodziewał się szamotaniny i krzyków, ale Elwira zaskoczyła go podobnie jak Birda. Szczęknął bezpiecznik.

- Cofnij się, łachu, albo przestrzelę twój bebech.

Bird zaniemówił. Dziewczyna szarpnięciem otworzyła drzwi na pokład. Peter chyba chciał za nią pójść, ale ostrzegła krótkim:

- Ani kroku!

Eryk przez noktowizyjną lornetkę zobaczył cień Elwiry na pokładzie. Statek wyszedł już na kilometr w jezioro i wygaszono na nim całą iluminację.

Torebka musiała zostać w kabinie, bo odgłosy znów były oddalone. Rozległ się huk wystrzału, ktoś przesadził reling i skoczył do wody. Zaraz pojawiły się trzy postacie na rufie, a gdzieś po minucie reflektor począł przeczesywać wodę. Echo kilku strzałów dotarło do Miziaka, jako że dźwięk znakomicie niósł się po powierzchni Lago Maggiore.

Znów akcja przeniosła się do kabiny.

-Postrzelił mnie ten kurwizjon - jęczał Bird. - Pomóście nałożyć mi opaskę na udo, zanim się wykrwawię.

- Znajdziemy ją, szefie - uspokajał jeden z goryli.

-Nie ma czasu na szukanie, musimy stąd spływać. Strzały mogły zaalarmować policję. A ona... Nawet gdyby była mistrzynią pływacką, ma minimalne szanse. Woda jest lodowata i za nic nie zdoła dopłynąć do brzegu. A nawet jeśli jakimś cudem dopłynie do brzegu, wiadomo, gdzie jej szukać. Lepiej wieście mnie do lekarza, zanim skonom.

Eryk zatrzymał wóz i zbiegł na skraj wody. Zanurzył dłoń. Rzeczywiście o tej porze woda spływająca z topniejących śniegów i lodowców nie zachęcała do kąpieli. Co robić? Kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł ośrodek sportów wodnych. Niewiele myśląc, podbiegł w jego kierunku.

*

Grzegorz Detyna nigdy nie pogodził się z utratą roli „pierwszego po Ducku”. Niedawne były przecież czasy, kiedy najbliżsi utwierdzali go w przekonaniu, że to on jest właściwym szefem Partii obiecanków, a Ronaldzik - trampkarz, to jedynie leniwa kukielka, która działa na jego rozkaz dopiero po mocniejszym szarpnięciu nitek. Sprawa zaginięcia Czerwonki wydała mu się idealnym sposobem powrotu na utracone miejsce.

Znając Ronka, wiedział, iż lider, z gwarancją pewnego zwycięstwa, dałby się przekonać, że tylko on nadaje się na Ojca Ojczyzny, i wróciłby do prezydenckiego wyścigu, pozostawiając w rękach Grzesia partię, rząd i klub parlamentarny wraz ze wspaniałymi rokowaniami na przyszłość.

Zdawał sobie sprawę, że kwestia odszukania szamana na własną rękę będzie trudna. Za Alojzym węszyły służby byłego resortu Detyny i jeszcze paru innych szperaczy. Ale były wicepremier doskonale zdawał sobie sprawę, jak bardzo służby te są niewydolne, skorumpowane i niefachowe. Najprostszy kamuflaż - zmiana nazwiska lub adresu sprawiał, że obywatel RP stawał się dla władz nieosiągalny. Oczywiście istniały dwa pionki działające wedle innych zasad - media z wszędobylskimi dziennikarzami i mafia. W tym przypadku

wybór miał niewielki. Żurnaliści byli ostatnimi, z których usług chciałby skorzystać. A świat przestępczy? Istniało duże ryzyko przy bezpośrednim kontakcie. Gdyby go przyłapano na podobnym spotkaniu? Co prawda od czasu odwołania Mariusza Piaseczka nie bardzo kto miał przyłapywać, jednak w polityce nigdy nie wiadomo. Duck niby był przeciwnikiem państwa policyjnego, ale kwity i haki na każdego chciał mieć.

Dlatego z biznesmenem Ryszardem Czereśniakiem umówili się na starym cmentarzu we Wrocławku, na który w dzieciństwie wybierali się razem zbierać orzechy, nie zważając, że wyrastają one z kwater niegdysiejszych mieszkańców, i kto wie, jakie nieciekawe geny mogły być zawarte w smakowitych jądrach.

Z doklejonymi wąsami i w kretyńskim bereciku czuł się niefajnie, a całe wieki minęły, od czasu kiedy jechał na rowerku składaku. Jednak opuszczając wóz, wiedział, że na rowerze, z doskonałą znajomością terenu staje się obiektem absolutnie niemożliwym do inwigilacji.

Detyna nie bał się duchów. Do zjawisk nadprzyrodzonych miał stosunek krytyczny, mimo że wiara w cuda była istotnym elementem oficjalnego programu jego partii. Mimo to czuł się trochę nieswojo. W końcu na podobnym cmentarzu rozpoczęła się „afera ruletkowa”, która umożliwiła Duckowi wielkie przemeblowanie gabinetu. Miał jednak nadzieję, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce, a najbezpieczniej jest w leju po bombie.

Skąd u Czereśniaka brała się taka predylekcja do nekropolii? - nie wiedział. Może jego dziadek był grabarzem? Dodatkowo zdenerwował go błędny ognek unoszący się nad mogiłami. Jednak gdy się zbliżył, ognek okazał się końcówką papierosa, którym zaciągał się Czereśniak.

- Musisz palić?! - przywitał go Detyna.

-Cmentarz to jedno z niewielu miejsc, na których jeszcze wolno, więc korzystam z okazji.

-Witamy się bez podawania rąk - uprzedził Detyna. - Gdyby nas ktoś filmował, spotkaliśmy się przypadkiem.

- O co chodzi?

- O tego człowieka - wręczył Czereśniakowi zdjęcie szamana. - Mówiłeś mi kiedyś, że znasz takich ludzi, którzy potrafią znaleźć każdego.

- Znam jednego takiego. Po tym, jak urwało mu nogę w akcji, obsługuje u mnie wyciąg krzeselkowy. Ale zachował kontakty... Aten koleś? - odczytał nazwisko zapisane na odwrocie - wisi ci kasę?

- Wisi czy nie wisi, nieistotne. Trzeba go odnaleźć!

- Żywego czy umarłego?

-Bardziej przydałby mi się żywy. Chociaż martwy to też jakaś gwarancja, że nikt inny go nie wykorzysta.

-Dobra, ale przysługa za przysługę. Moja córka szuka jakiejś miłej, lekkiej, wysokopłatnej roboty...

- Rady nadzorcze spółek Skarbu Państwa są już poza moim zasięgiem.

- A tam, spółki! Trzeba ją wkręcić do „Tańca z gwiazdami” czy czegoś w tym rodzaju. Problem jest taki, że śpiewać nie umie, a tańczy jak słoń.

- Spróbuję pogadać z młodym Mauzerem z TKN-u. Ale niczego nie gwarantuję.

Rozstali się pośpiesznie. Czeresiak po prostu zniknął, a Detyna popedałował w kierunku znajomej dziury w parkanie. Znalazł się już na zewnątrz, kiedy rozbłysły reflektory, przyszpilając go niczym ćmę. Przez megafon huknęło:

- Zatrzymać się. Ręce do góry!

Co miał zrobić? Niechętnie postąpił zgodnie z poleceniami. Tylko tego brakowało, żeby telewizja nakręciła, jak były minister spraw wewnętrznych stawia opór aktualnej władzy. Aliści już po chwili zorientował się, że funkcjonariusze to ani ABW, ani CBA, a jedynie zwykła policja, która wzięła go za poszukiwanego kryminalistę.

-Zatrzymaliśmy podejrzanego, dokładnie przypomina poszukiwanego gwałciela - zakomenderował dowodzący przez radiostację.

-Panowie! - zawołał - zaszła jakaś pomyłka. Nazywam się Grzegorz Detyna i jestem byłym wicepremierem. Zarechotali. Różne w życiu bzdury słyszeli, ale żeby jakiś menel kursujący na rowerku po ich zadupiu podawał się za dygnitarza tej miary, tego jeszcze nie było. Na wszelki wypadek dowódca zapytał:

- Macie jakieś dokumenty tożsamości?

-Oczywiście! - i w tym momencie przypomniał sobie, że celowo zostawił wszystko w samochodzie.

- Mam w wozie. Stoi zaraz za laskiem.

- A gdzie kluczyki?

-No... - i znów teraz dopiero zorientował się, że dla bezpieczeństwa ukrył je pod zderzakiem.

-Na komisariat! - rzucił dowódca. - Tam się będziecie tłumaczyć, Lepieszko.

-Ale ja muszę wracać do Warszawy - szarpał się coraz bardziej wściekły. - Mam immunitet poselski. Jestem szefem klubu. Co za imbecyle! - szamotał się jeszcze bardziej, ale w końcu oberwał pałą i zwiotczały został usadzony w radiowozie.

W ośrodku sportów wodnych w Asconie nie było żywej duszy, a co się tyczy sprzętu?...

I owszem, nie brakowało łodzi (bez silników) i kajaków (niestety bez wiosła). Eryk znalazł wreszcie rower wodny, pozostawiony bez kłódki i łańcucha (dziwny kraj!) i z niemałym trudem zepchnął go na wodę.

Jacht zdołał już odpłynąć, ale wcześniej znalazł punkt na przeciwległym brzegu i teraz mógł traktować go jako dozór. Rower skrzypiał potępieńczo, lecz posuwał się do przodu. Po jakichś dziesięciu minutach dzięki księżycowej poświacie dostrzegł ciemny punkt na wodzie, który mógł być głową Elwiry. Przyspieszył. Dziewczyna musiała dobrze osłabnąć, bo prawie się nie poruszała.

- Trzymaj się, płynę do ciebie! - zawołał. Nie miał pojęcia, czy do niej to dotarło. Znajdował się już jakieś pięć metrów od niej, kiedy głowa zniknęła. - Cholera!

Niewiele myśląc, szczupakiem skoczył w toń. Przez chwilę czuł się jak oliwka wrzucona do dobrze zmrożonego alkoholu.

Potem było jeszcze zimniej. Mimo to trzema uderzeniami ramion dotarł na miejsce. Dostrzegł jasne włosy pogrążające się w głębi. Zanurkował.

Dziewczyna była bezwładna, nie pomagała ani nie stawiała oporu. Z ogromnym wysiłkiem wciągnął ją na rower i począł robić sztuczne oddychanie. Zaskoczyła gdzieś po minucie. Mimo że wieczór był umiarkowanie ciepły, cała dygotała. Popedałował do brzegu. Tam wziął ją na ręce i zaniósł do samochodu, w którym włączył ogrzewanie na ful. Szybko ściągnął z niej mokre łachy i otulił kocem.

Z niemałym zaskoczeniem odkrył w jej pasku nie tylko drugi, miniaturowy pistolet, ale również mały magnetofon.

- Kim ty jesteś, Elwiro - wyszeptał.

Otworzyła jedno oko.

- Koleżanką po fachu - mruknęła.

-AB W?

- Kontrwywiad wojskowy. Z AB W przecież przystali ciebie.

- Wiedziałaś?

-Domyśliłam się. Nasze służby niechętnie współpracują ze sobą.

- Kiedy na to wpadłaś?

-Na samym początku. Nie myślisz chyba, że wpuściłabym do domu przypadkowego człowieka, nie mając pewności, że może stanowić dla mnie wsparcie.

- Zawieźć cię do szpitala? - zapytał, widząc, że jej trzęsionka nie ustępuje.
- Nie ma takiej potrzeby, daj mi aspiryny, wódki i zabierz mnie do domu.

*

Prezydent stolicy Hanna Tango-Winiary od dawna nie miewała religijnych wizji. Pogodziła się z tym. Czasy, kiedy była mistyczką i dzięki swym objawieniom potrafiła za sprawą Ducha Świętego dostosowywać kursy Narodowego Banku Polskiego do trendów światowych, dawno minęły. Inna sprawa, że i do kościoła chodziła rzadziej, głównie z okazji pogrzebów zasłużonych warszawiaków. Nocami śniły jej się rzeczy zdecydowanie bardziej prozaiczne - dziury w jezdniach, deweloperzy rywalizujący o coraz bardziej atrakcyjne działki.

Także teraz, odmawiając litanie, zwracała się do Opatrzności zazwyczaj w konkretnych sprawach. Już nie prosiła o łaskę terminowego ukończenia drugiej linii metra czy o pieniądze na obwodnicę, tylko o rzeczy bardziej realne. Na przykład z końcem marca prosiła o wskazówkę, kto ma wygrać prawybory w Partii Obiecanek, w której powołano ją na szefową jury - Radwan Wróbelki czy Wronisław Gomorrowski - ale i tu czuła, że nawet jeśli zabrzmi głos z góry, usłyszy co najwyżej: „A co się mnie pytasz, zapytaj Ronalda, on ustala wyniki”.

Ta noc jednak różniła się od wszystkich innych. Krótco po północy zbudziła się ze świadomością, że ktoś jest w jej mieszkaniu. Złodziej? Od czasu rezygnacji z modelu państwa policyjnego BiS-u przestępczość znowu wzrastała. I nie było dnia, żeby jakiemś prokuratorowi nie ukradziono bezcennego laptopa z dowodami w śledztwie. Tydzień wcześniej w sądzie wojewódzkim skradziono togę sędziowską razem z insygniami. Rekord bezczelności pobili jednak złomiarze z Kobyłki, którzy natknąwszy się na pijanych policjantów śpiących w radiowozie, nie tylko postanowili oddać do składnicy felgi z kołpakami, zderzaki i policyjne kajdanki, ale nawet guziki nieprzytomnych funkcjonariuszy.

Jednak tym razem nie byli to złodzieje, złomiarze czy inni złoczyńcy. Na oknie w przedpokoju siedział anioł. No... aniołek. Był rozmiaru dużego gołębia, a może małego dziecka.

- Idą ciężkie czasy - powiedział, spoglądając boleściwie na panią Hanke.
- A które były lekkie?- odparła dla podtrzymania dialogu, zastanawiając się, czy piła coś przed snem.

-Jednak czasy, które nadchodzą, będą wymagały wielkiej odwagi i wyjątkowego samozaparcia.

- Wytrwam! - zadeklarowała pani prezydent.

- Los może zgotować ci wiele cierpień i przykrości

-Wytrzymam! - odparła, w głowę zachodząc, co takiego może się zdarzyć. Atak terrorystów na Pałac Kultury, zawalenie mostu Północnego czy zatopienie Wisłostrady.

- Niewykluczone, że trzeba będzie zaryzykować życie.

- Znaczą się, ogłoszą referendum na temat mego odwołania? Przedterminowe wybory.

Męczeństwo?

Ale anioł tylko skrzydłami poruszył i przez pancerną szybę przeniknął na zewnątrz, pozostawiając panią Tango-Winiary w głębokiej niepewności i nocnej bieliźnie.

VII.

Spore komplikacije

NIEDZIELA

Po obiecującym początku reszta nocy przebiegła właściwie nudno. Starszy aspirant odmówił spełnienia polecenia Elwiry w sprawie ich powrotu do domu pod Zurychem. W stanie pokąpielowym podróż przez pół Szwajcarii równała się samobójstwu. Po krótkiej dyskusji wynajęli pokój w skromnym pensjonacie o nazwie Villa Daniela w północnej części Locarno. Przez pewien czas rozgrzewali się nawzajem, po czym usnęli. Z bronią pod poduszką. Jednak Peter Bird uznał zapewne, że panna Ptasio nie żyje, toteż nikt nie zakłócał ich snu.

Rankiem obudzili się bez żadnych szczególnych dolegliwości, ale zarazem bez specjalnej ochoty na seks. Dziewczyna udała się wziąć prysznic, a Eryk bezzwłocznie zadzwonił do Brygidy. Wspomnił o fiasku misji na statku, a także maksymalnie oględnie, kim naprawdę jest Elwira.

-Nie sędzę, żebym dowiedział się czegoś więcej. Wszyscy szukają tego Czerwonki, ale nie mają najmniejszego pojęcia, gdzie się podziewa. Ptasio też nie wie. Najchętniej jeszcze dziś wróciłbym do Wrocławka.

- Nie żartuj!

Miziak jednak mówił absolutnie serio. Po nocnej kąpieli miał dość zabawy w Jamesa Bonda. Elwira z chwilą okazania się pracownicą konkurencyjnych służb straciła dla niego większość ze swej atrakcyjności, a poza tym stęsknił się już za swoją chłopczycą z komisariatu.

-Z kim rozmawiasz? - zapytała jego chlebobawczym, wychodząc z łazienki. Ubrana była w obszerny szlafrok, ale nie zadbała, żeby związać go solidnie.

Szybko przerwał rozmowę.

- Z narzeczoną - wypalił bez namysłu. Zauważył jej pogardliwe skrzywienie ust.

-Nie wiedziałam, że policjanci miewają narzeczone. Zawsze myślałam, że jeśli nie są kawalerami lub rozwodnikami, mają w domu grube, nieapetyczne żony.

- To jest dopiero sprawa rozwojowa - wymamrotał. Nie mógł przecież wyznać, że Jarmuła nic nie wie o jego afekcie.

- Kochasz ją? - w głosie Elwiry zabrzmiał delikatny wyrzut.

-Nie wiem, ale...

- Cóż, każdy ma jakieś życie. Ja moje już przesrałam.

Chciał zaprzeczyć, ale nie dopuściła go do głosu.

- Słyszałam, że chcesz wracać do Polski?
- Wydaje mi się, że w obecnej sytuacji nie pozostaje mi nic innego.
- Rozumiem. Chciałabym jednak, żebyś poświęcił mi jeszcze dwa dni, góra trzy.
- Chodzi o ogród?

-Pieprzyć ogród! Na razie będę musiała na jakiś czas opuścić Szwajcarię. Chciałabym, żebyś zawiózł mnie do Bazylei i tam pomógł przy pewnej drobnej operacji...

- Czemu nie.
- ...Obciążonej pewnym ryzykiem!
- Kłopoty to moja specjalność - odpowiedział po chandlerowsku.

Zjedli śniadanie w pokoju i ruszyli na północ. Panna Ptasio najwyraźniej nie miała ochoty spowiadać się ani ze swych planowanych działań, ani z dotychczasowego przebiegu służby, do której musiała trafić całkiem niedawno, zapewne w czasach, kiedy po rozwiązaniu Wojskowych Służb Inwigilacyjnych kontrwywiad wojskowy powołano praktycznie na nowo. Miziak podejrzewał, że w sferze jej zainteresowań znajdował się handel bronią i kontrakty energetyczne, ale nie próbował wypytywać kochanki zbyt nachalnie. Zorientował się jedynie, że Gusiewicz chyba do końca nie wiedział, z kim się związał. Z drugiej strony Elwira także nie miała pojęcia o jego biznesach.

- W sprawie interesów Arek nie był zbyt otwarty!

Zapytał o Czerwonkę.

Jak twierdziła, dowiedziała się o nim całkiem niedawno, wcześniej pojawiał się w rzadkich wzmiankach jako „szaman”, pozbawiony imienia i nazwiska. Nie miała pojęcia, co się z nim stało i jak go szukać.

- Arkady też nie wiedział i dlatego się zabił - powiedziała nagle.

-Nie rozumiem. Taki był do niego przywiązany?

-Nie udawaj głupszego, niż jesteś - skarciła go. - Arek w ostatnich czasach trochę zwariował i zrobił się strasznie pazerny. Chciał się wycofać z polityki, ale przedtem wykonać deal życia. - To znaczy?

-Zamierzał wziąć zaliczki od wszystkich głównych sił politycznych za wypożyczenie szamana. A potem dać nogę.

- Myślisz, że to mogło się udać?

-W połowie już mu się udało. Zebrał zaliczki od wszystkich. Nie jestem pewna co do BiS-u... Może ktoś od nich negocjował bez zgody samych bliźniaków. Wiem, że gadał z Adamem Lipką. A co do reszty... Zapłacili.

- I zamierzał wykołegować wszystkich?

-Jeśli idzie o polityków, chyba tak. Chociaż wobec jednego kontrahenta zamierzał się wywiązać z zobowiązania.

- Kogo masz na myśli?

- Edwarda Kujawę - powiedziała po chwili wahania. - Tego biznesmena z Detroit.

- Nie będziesz chyba twierdzić, że poszukiwany listem gończym facet, w opinii publicznej z góry uznany za inspiratora mordu na generale policji chciał kandydować na prezydenta RP?

- On potrzebował czegoś innego.

- Czego mianowicie?

-,Charyzmy niewinności". Arek twierdził, że szaman mógł tak naładować Kujawę, że ten mógłby bezpiecznie przyjechać do Polski, gdzie każdy sędzia, prokurator, a także opinia publiczna uznałoby go za niewinnego.

-Piękne! Zdumiewa mnie jednak, że Gusiewicz był skłonny współpracować z takim typem.

- Był niezbędny, aby pomóc Arkowi w cichej przeprowadzce na Zachód. Pół roku to wcale nie tak dużo czasu na przygotowanie nowej tożsamości, przelanie szmalu, sprzedaż posiadanych nieruchomości. Misio parę razy wspominał o nowym życiu, jakie mieliśmy wspólnie zacząć na Seszelach albo na Samoa...

-W takim razie nie mogę pojąć, że posiadając taki skarb jak Czerwonka, nie kazał go pilnować jak żrenicy oka.

- Ależ kazał. Szaman miał cały czas opiekuna.

-Dlaczego w takim razie ów opiekun zawiódł w decydującym momencie? Nie uchronił Alojzego?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, kto nim był.

- A kto może wiedzieć?

- Myślę, że powinni mieć na niego namiary w Argusie, bo przecież płacili wszystkim współpracownikom Arkadka.

*

Dawno, dawno temu Adam Pysznik w przerwach między kolejnymi odsiadkami chadzał w niedzielne przedpołudnia do kościoła, zwłaszcza gdy w repertuarze była msza za ojczyznę. Męczył się trochę wśród śpiewów, kadzideł i anachronicznych obrzędów, tak kłopotliwych dla duszy światłego Europejczyka, ale miał również radochę, obserwując, kto przychodzi do

świętyni, kto klęczy w pierwszych ławach, drepce do konfesjonau i rozdziawia usta, przyjmując sakrament. Jakież to było fascynujące, obserwować, jak posypią sobie głowy popiołem niegdysiejsi funkcjonariusze partii, zasłużeni działacze organizacji ateistów i wolnomyśliciele, nawróceni kapłani katedr marksizmu i leninizmu, podróżnicy sławiący kolejne zwycięstwa socjalizmu w krajach Trzeciego Świata. Wśród obecnych nie brakowało czerwonych harcerzy, eks-ZMP-owców i „komandosów”, a nade wszystko dzieci gorliwie usiłujących zmasać winy swych ojców i starszych braci - oprawców UB, sędziów i prokuratorów. Wyglądało to naprawdę budująco. Zwłaszcza że on sam był wtedy tak kochany przez ten tłum tłoczący się w kruhcie i na zewnątrz kościoła - przez tych niedzielnie domytych robole i biedainteligenciaków w garniturkach wyciągniętych na tę okazję z naftaliny. Wszyscy oni gorliwie rozczapierzali paluchy w znaku zwycięstwa, skandowali: „Nie ma wolności bez solidności!”.

A przecież cały czas wiedział, jaki żywioł kryje się pod ową ławą, tak trafnie zdefiniowaną przez innego, też zdolnego Adama, przed półtora wiekiem: prymitywny nacjonalizm, ciasnota umysłowa, zaduch mazowieckiego dworku i plebanii, a przede wszystkim nie do końca uświadomiona tęsknota za stosami, pogromami... A jeśli nawet czasem takie obawy żywił na wyrost, pozostawała mu jedna oczywista pewność - ów motłoch otrzymał suwerenność i pełną świadomość, nigdy na niego i jego kolegów nie zagłosuje.

I dlatego kiedy ksiądz mówił: „Módlmy się za nieprzyjaciół naszych”, gorliwie włączał się w modlitwę. Bo jako niewierzący mistyk przeczuwał, że nastanie taki dzień, kiedy owi nieprzyjaciele wymienią z nim znak pokoju (a przy okazji bruderszaft), stając się ludźmi honoru i najlepszymi sojusznikami w walce o świetlaną przyszłość. Ale jako się rzekło, była to odległa przyszłość.

Dziś, w niedzielne popołudnie, Pysznik zamiast do nieodległej Świątyni Rozpaczności udał się do willi redaktora Turbana, charakteryzującej się pięknym krytym basenem, nad którym zebrała się śmietanka towarzyska.

Towarzystwo zanurzone w gorącym i bulgocącym jacuzzi było małe, ale dobrane: Oliwia Mazut w skąnym bi-kini w kolorowe stokrotki, Tomasz Kuna w wesołych bermudach, pilnie uważający, żeby nie zmoczyć swej legendarnej czupryny, i sam gospodarz zazwyczaj pogodny, ale dziś lekko zafrasowany.

Bo i było czym się frasować. Coś się działo, a on nie wiedział, co. Pysznik tylko krótką chwilę myślał, że ich rozbawi anegdotką, jak to wszechwładny do niedawna Grzechu Detyna,

wzięty za gwałciciela, został aresztowany przez własnych funkcjonariuszy i znajduje się na dołku we Wrocławku.

- Ale chyba już go puścili? - dopytywał się Kuna.

I skoro wiadomo, kto zacz...

-Jeśli go puszcza, to nienienieprędko. Ludzie Ronka powiedzieli miejscowym, żeby za bardzo się z tym zwalnianiem nie śpieszyli, skororo oficjalnie tożsamość zatrzymanego nie została oficjalnie ustalona i zachodzi niebezpieczeństwo, że to jakiś aferyzista... - tu redaktor Adam zaśmiał się głośno, ale pozostałym jakoś nie było do śmiechu.

- Zupełnie nie wiem, co myśleć o aktualnej sytuacji - wzdychała tak zazwyczaj dobrze poinformowana Oliwia Mazut. - Sprawa Gusiewicza została wyciszona. Jego żonę odcięto od świata. Dostała z AB W zakaz udzielania jakichkolwiek wywiadów. Moi informatorzy w policji twierdzą, że służby kogoś szukają, ale nie wiedzą, kogo.

- Podejrzewam, kogo - sapnął Turban - ale też nie mogę o tym mówić.

- Ttty? - zdziwił się Pysznik. - Przyj aj aciołom nie powiesz?

-Nie będziemy rozmawiać o ludziach, których oficjalnie nie ma. A w dodatku po raz pierwszy od dwudziestu lat sytuacja w tym kraju zrobiła się kompletnie nieprzewidywalna.

Zaciekawiło ich to jeszcze bardziej, ale Turban w tym momencie zanurkował.

*

Kolejny telefon do Brygidy Eryk wykonał z parkingu w pobliżu Berna, wykorzystując moment, gdy jego pasażerka udała się do toalety.

- Nie ma mowy, żebym dziś przyleciał - powiedział ze smutkiem w głosie. - Może uda mi się we wtorek albo w środę...

- A co zostało z prac w ogródku, gracowainie? - zapytała z przekąsem, jakby domyślała się charakteru jego usług.

- Nic z tych rzeczy. Elwira prosi mnie o koleżeńską przysługę.

-Elwira! Nie wiedziałam, że jesteście po imieniu. Szybki jesteś!

Nie potrafił się zorientować, czy w jej słowach brzmi podziw, czy odrobina zazdrości, tak czy owak zrobiło mu się przyjemniej na duchu. Wrócił do podstawowego tematu, wspominając o ochroniarzu, który miał pilnować Czerwonki, ale nie upilnował.

- Pani Ptasio twierdzi, że w Argusie muszą mieć jego dane.

- Zaraz tam pędzę!

- Spokojnie. Myślisz, że Argus działa w niedzielę?

-Masz rację - zmartwiła się. - Wynika z tego, że będę miała pracowity poniedziałek: jasnowidz, ochroniarz... I wszystko bez ciebie.

- Ja też tęsknię za tobą - wyznał impulsywnie.

- A czyja powiedziałam, że tęsknię? - zakończyła rozmowę Brygida.

*

Tymczasem kolejne godziny upływały, a Grzegorz Detyna daremnie próbował wydostać się z aresztu. Bez rezultatu. Zresztą jego sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Najpierw siedział w pojedynczym pomieszczeniu. Aliści zamiast czekać na szczęśliwe zakończenie, non stop domagał się rozmowy z komendantem, potem ze swoim adwokatem, a na koniec z urzędującym szefem MSW. Miało to tylko ten skutek, że trafił do zbiorowej celi.

- Nie wiecie, kim jestem - wołał, idąc korytarzem.

- Drogo mi za to zapłacicie!

- Tylko bez pogroźek. A co do waszej tożsamości, sprawdzamy ją - odpowiadał klawisz.

- Rzeczywiście, jedno jest pewne: nie jesteście poszukiwanym gwałcicielem Lepieszka.

- Wszystkie moje dokumenty są w samochodzie za lasem.

- Bardzo ładne tłumaczenie. Tyle że nasi ludzie nie znaleźli tam żadnego samochodu.

- Jak to? Tam musiało stać moje nowiuteńkie audi.

- Ani śladu. Nawet kłamać trzeba umieć, obywatelu.

-No to może ktoś je ukradł. Rany boskie, w bagażniku był mój laptop. Zaraz. Podam wam numer rejestracyjny...

- Kolega zajmujący się kradzieżami wozów przyjdzie do pracy w poniedziałek.

-Jezus Maria! Mam tu siedzieć do poniedziałku? Przecież widać, że zaszła ewidentna pomyłka...

-To wyjaśnimy - przyjaznym pchnięciem wprowadził go do zbiorowej celi. Miejsce wyglądało nieprzyjemnie. Siedziało tu kilku ponurych facetów, jakich dotąd Detyna widywał jedynie w listach gończych: morderca teściowej, dwóch złodziejasków, bandzior przywieziony po rozróbie z dyskoteki i atletyczny alfons. Na ich widok Grzechu poniechał głośnego domagania się swoich praw i powoływania na immunitet. Wiedział aż za dobrze, że gdyby kryminaliści zorientowali się, kim jest, miałby przechłapanie.

Kiedy wchodził do celi, dyskotekowy chuligan rzucił mu pod nogi ręcznik. Świadom obyczajów więziennych wytarł w niego buty (pepegi pozbawione sznurówek). Niechętnie dali mu miejsce na pryczy opodal kibla.

Ciągle żywił nadzieję, że lada moment koszmar się skończy. Ale godziny mijały, a on tkwił między przedstawicielami świata przestępczego. Z wolna zaczęły kiełkować w nim podejrzenia, że padł ofiarą jakiejś koszarnej prowokacji i z woli Ronka zostanie tu na dłużej. Zbliżający się wieczór napawał go nieklamana trwogą, tym bardziej że współwięźniowie, w miarę jak za oknem ciemniało, spoglądali na niego coraz łakomiej. Dopieroż byłyby tytuły w „Super Excesie”: »Były wicepremier przecwelonny w areszcie we Wrocławku!»

*

W Bazylei śmierdziało. Trochę za sprawą Renu, który w ostatnich dniach wylał, a trochę z powodu awarii systemów oczyszczających w miejscowych zakładach chemicznych Sandos lub Ciba Geigy. Okazało się, że panna Ptasio miała tu małą, przytulną garsonierę na Sommergasse nieopodal Kanenfeld Platz. Przynajmniej do niej fetor nie docierał, a przeciwnie, po zamknięciu okien unosił się tam dyskretny zapach kobiecości. W garsonierze stał tylko jeden tapczan i Miziak zastanawiał się, czy znów stanie się on areną erotycznych harców, na które, co tu kryć, utracił już ochotę. Myślał o Brygidzie. Myślał tak intensywnie, że wcale nie zdziwiłby się, gdyby jej fantom wszedł nagle do pokoju. Nic dziwnego, że tylko jednym uchem słuchał Elwiry przedstawiającej swój plan.

- Nie będę bezpieczna, jeśli nie załatwię Birda. Nie wiem, czy się orientujesz, że ten ptaszek czuje się bezpiecznie tylko w Szwajcarii. Na obszarze Unii jest ścigany europejskim nakazem aresztowania.

- Tu jednak nakaz nie obowiązuje.

- Niestety. Wystarczy jednak, że ten aferzysta przekroczy granicę i znajdzie się poza Republiką Helwecką. Wtedy każdy może go capnąć.

- Nie przypuszczam, by Bird okazał się takim idiotą i wiedząc już, z kim ma do czynienia, dał się schwytać jak dziecko w zasadzkę - zauważył Miziak.

- Wszystko jest kwestią przynęty - odparła piękna agentka.

Z automatu ulicznego koło dworca zadzwoniła do szwajcarskiego biznesmena.

- Widzę, że żyjesz, suko! - warknął na powitanie - ale długo nie pożyjesz!

- To się jeszcze okaże. Na razie zamierzam panu zaproponować korzystny interes.

- Interes?
- Tak jest. Moja wolność i umorzenie długów w zamian za szamana.
- Wie pani, gdzie on jest? - ton gwałtownie się zmienił. Zrobił się prawie uprzejmy.
- Będę to wiedzieć w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin i wtedy zadzwonię do pana. A przy okazji: jak nóżka?

-Nie najgorzej. Kula nie uszkodziła kości ani tętnicy.

- Staralam się.

-A pani, jak słyszę, nie przeziębila się podczas zimnej kąpieli? - dla odmiany w jego głosie zabrzmiała szczerza troska.

-Absolutnie nie! Jako młoda miłośniczka sportu przez pewien czas należałam do klubu morsów. A więc proszę przyjechać do Bazylei w poniedziałek rano. Zadzwonię do pana na komórkę.

Rozstali się nieomal w przyjaźni.

*

Im bliżej było ciszy nocnej i wyłączenia świateł, Detyna odczuwał narastającą trwogę. Wszelkie nadzieje na to, że koszmar się skończy i do prowincjonalnych imbecyli dotrze fakt, że on to on, rozwiały się. Nie udało mu się nawet uzyskać pojedynczej celi, mimo że błagał o nią usilnie.

„Gdyby regulamin na to zezwalał, przenieśliśmy was do pomieszczenia dla kobiet” - powiedział klawisz.

Propozycja wydawała się atrakcyjna, ale tylko w pierwszej chwili. Gdy uświadomił sobie, co by się stało, gdyby do kolorowych tygodników dotarły fotografie z nim pośród miejscowych kurew, stanął mu przed oczyma żalony los senatora Krzysztofa Pleśniewicza, i stracił wszelką ochotę. A tak na pryczy koło kibla oczekiwał na zgaśnięcie świateł wśród coraz bardziej lepkich spojrzeń współtowarzyszy niedoli, którzy zaczynali rozbierać go wzrokiem.

„Boże, pomóż! A załatwię „orliki” w każdej parafii” - modlił się bezgłośnie. Czy szczerze? W każdym razie jego błagania zostały wysłuchane.

O 21.55 pojawił się naczelnik więzienia w towarzystwie komendanta miejscowej policji i prezydenta miasta (sam Detyna zrobił tego fagasa burmistrzem). Przepraszając za zaistniałe niedogodności, wypuścili go na wolność ku wielkiemu niezadowoleniu pozostałych kryminalistów.

- Dzięki Bogu, odnaleziono pański wóz i dokumenty - powiedział komendant.

- Aż tak sprawnie działa tu policja? - zdziwił się Grzechu.

-Mieliśmy obywatelskie doniesienie. Audi znalezione zostało w złodziejskiej dziupli.

- Czereśniak je wytropił - szepnął mu do ucha ojciec miasta. - Jest wobec ciebie niesłychanie lojalny. Tak jak ja.

- Zastaliśmy wóz w stanie nieco zdekompletowanym, ale fachowcy twierdzą, że przy niewielkim wysiłku blacharzy będzie jak nowy - kontynuował policjant.

W swojej limuzynie prezydent poczęstował Detynę koniakiem, a następnie zawiózł na kolację do małego lokaliku otwartego specjalnie dla nich, którego właściciel gotowy był przychylić nieba, łącznie z paroma anielicami pracującymi tej nocy kompletnie gratis. Był zaskoczony odmową.

Przed udaniem się na spoczynek Grzesiowi udało się jeszcze wyciągnąć z prezydenta miasta, że polecenie o szczególnym traktowaniu i upierdliwych procedurach wobec niego przyszło z samej góry.

- Zapłacisz mi za to, Roniek - szeptał, zasypiając.

Jego nowy plan krystalizował się coraz bardziej i wymagał jedynie odnalezienia szamana Czerwonki. Kiedy to się stanie, Grzechu zagra w sposób, o jaki nikt go nie posądza. Załatwi „twardą charyzmę” Lechowi Indykiewiczowi. Niemożliwe? Dla tego magika nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli w 1995 roku wmówił społeczeństwu, że obły konus, półmagister, komuszy aparatczyk posługujący się nowomową to wszechstronnie uzdolniony szczupły, wysoki blondyn, Europejczyk, patriota, abstynent i antykomunista. O ile prościej zatem przyjdzie zrobić z Indykiewicza współczesnego Napoleona, konserwatystę i socjalistę w jednym, strażnika tradycji i rzecznika postępu, protektora Kościoła oraz love parad. Tak, tak, Czerwonka sprawi, że ludzie zapomną nawet, że Indykiewicz ma brata bliźniaka, małolaty będą na jego widok sikać w majty, a emigranci wrócą z Irlandii, specjalnie żeby znaleźć się w lokalu wyborczym. Kurwa, ale będzie ubaw! W dodatku nie chodziło tylko o pogębienie Ronalda. Kiedy po przegranych wyborach powędruje na śmietnik historii, kto zastąpi go na czele partii i rządu? No kto, koteczki?

-Dajcie mi punkt podparcia, a wysadzę twój układ - zamruczał, wpadając w objęcia Morfeusza. - Kto to powiedział? Arystoteles, Arystofanes, Arystokrates czy może Aleksy Wołoszyn?

Nie potrafił się zdecydować.

Aleksy Wołoszyn, genialny polski astronom, profesor uniwersytetu w Turoni i Uniwersytetu Stanowego w Stamford (Peniswanii), od lat żelazny kandydat do Nagrody Mebla we wszystkich możliwych kategoriach, nie lubił, kiedy go porównywano z Mikołajem Kopernikiem. Zwłaszcza od czasu, kiedy połączone siły Instytutu Gałka i Kurtyka na podstawie zachowanych akt dowiodły, że tak zwany Kopernik był po pierwsze kobietą, matką trójki nieślubnych dzieci, a po drugie potrójnym szpiegiem - Rusi, Cesarstwa Narodu Niemieckiego i Watykanu. W dodatku rzekome odkrycie systemu heliocentrycznego było zwykłą kradzieżą. Sławetny schemat jako pierwszy nakreślił pewnie pruski ciura na ścianie latryny w zamku olsztyńskim, a schwytany na gorącym uczynku wypierał się tego, twierdząc, że narysował jedynie nieudolny obraz żeńskich organów rodných. Takie analogie niepomierne obrażały Wołoszyna, który owszem, był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, ale tylko własnego państwa. A w dodatku nikomu nie zaszkodził.

Zresztą w obecnej chwili miał inne kłopoty - od pewnego czasu doświadczał uczuć, które ludzie prości zwykli nazywać ambiwalentnymi. Z jednej strony rozpierała go duma ze świeżo dokonanego odkrycia, stanowiącego niewątpliwą przewrót w nauce, z drugiej po prostu się bał. Bywał!

Mało kto wie, że tajną pasją profesora były wiedza tajemna, astrologia, parapsychologia i nekromancja. Nie kto inny jak on na marginesie innych prac odkrył tajemnicę słynnego Trójkąta Bermudzkiego, sprzedał ją za dobre pieniądze i natychmiast zapomniał o sprawie.

Ostatnie odkrycie miało jeszcze większy ciężar gatunkowy. Otóż astronom rozszyfrował Kod Nieba, tajemnicę wszech czasów zapisaną w gwiazdach nie wiadomo, kiedy i przez kogo. Udało mu się udowodnić, że jeśli poczynając od Syriusza, najjaśniejszej gwiazdy nieba, podążać ruchem konika szachowego z gwiazdy na gwiazdę, traktując ciała niebieskie jako kropki i przerwy między nimi jako kreski, powstaje tekst zapisany alfabetem Morse'a. Dlaczego akurat takim? Gdyby przyjąć, że zapis stworzył sam Wszechmocny, który wie wszystko, sprawa byłaby prosta tak jak dokonanie w 1832 roku przez Samuela Morse'a i Alfreda Vaila odkrycia alfabetu, później niezwykle użytecznego w telegrafii. Jednak Wołoszyn jako członek postępowej elity nie mógł tak po prostu wierzyć w Boga. Zostawiwszy tę kwestię na późniejsze badania zajął się samym tekstem, który jak się okazało, sporządzony był po aramejsku, czyli w języku, w którym na co dzień rozmawia ze sobą Trójca Święta, z niewielkimi jednak wstawkami greckimi. Ponieważ nie wszystkie gwiazdy udało się odkryć, tekst był mocno dziurawy i na dobrą sprawę udało się odszyfrować z niego tylko pierwsze zdanie, które brzmiało: „Koniec świata nadchodzi. Pokuty, pokuty!”.

Wstrząśnięty tą zapowiedzią profesor usiłował zainteresować nią kogokolwiek, kościoły wszelkich wyznań (odpowiedzieli mu jedynie mormoni, twierdząc, że o końcu świata wiedzą i bez niego) oraz kręgi naukowe, CIA, a nawet samego Buraka Obejmę. Ten jednak ustami swego doradcy naukowego odpowiedział, że obecnie zajęty jest reformą służby zdrowia, walką o pokój i globalnym ociepleniem, może więc poświęcić się sprawie dopiero w swojej drugiej kadencji.

- Ale jeśli przepowiednia okaże się prawdziwa, w ogóle może nie być drugiej kadencji! - zawołał do telefonu Wołoszyn.

- Żarty, tak szybko Republikanie się nie pozbierają.

„Biada Trojom, które nie chcą słuchać swoich Kasandr!” - pomyślał zatrwożony profesor.

Właściwie jedynym człowiekiem, który okazał odrobinę życzliwego zainteresowania przepowiednią, był przyjaciel astronoma, redaktor naczelny Adam Pyszniak, który obiecał zamieścić wywiad z profesorem w „Dużym Fermencie”, cotygodniowym dodatku do „Gazety Wybiórczej”. Oczywiście kiedy czas i miejsce na to pozwolą.

Owej nocy, kiedy Grzegorz Detyna niespokojnie przewracał się z boku na bok, słynnemu naukowcowi udało się odczytać jeszcze jedno ze słów z Kodu Nieba. Tym razem sporządzone po grecku brzmiało: *desinteria*. Czyżby chodziło o zapowiedź rychłej światowej epidemii owej choroby, która w rejonach Turonia nazywana jest po prostu czerwonką?

VIII.

Poszukiwania i niespodzianki

PONIEDZIAŁEK

Pierwszy dzień nowego tygodnia rozpoczął się dla Brygidy od wizyty w agencji Argus. Mimo imponującej nazwy siedziba przedsiębiorstwa Gusiewicza (czy też jego syna) okazała się niewielką kanciapą w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych na ulicy Chełmskiej. Zajmowała zresztą tylko połowę pomieszczenia. W drugiej mieściła się agencja statystów i sądząc po chichotach, dokonywano w niej akurat naboru do filmu erotycznego.

-Nieczynne - powiedziała na widok Jarmuły sekretarka zajęta plotkowaniem przez dwa telefony komórkowe naraz.

- W takim razie co pani tu robi?

- Pilnuję sprzętu.

Na widok policyjnej legitymacji okazała się bardziej rozmowna. Po pięciu minutach Brygida wiedziała wszystko o ochroniarzu. Wincenty Boczek, lat czterdzieści osiem, były funkcjonariusz ZOMO, zamieszkiwał we Wrocławku vis-à-vis bloku Czerwonki.

Niestety, pod należącym do niego telefonem stacjonarnym nikt się nie zgłaszał. Jarmuła zadzwoniła do Zofii Czerwonkowej. Ta odebrała natychmiast.

Oczywiście znała pana Wincentego.

- To taki uczynny sąsiad - twierdziła. Chętnie wykonywał drobne naprawy, opiekował się naszym mieszkaniem podczas urlopu. Tak, oczywiście miał klucze...

- Widziała go pani od czasu swego powrotu do domu?

- A wie pani, że nie.

Na prośbę Brygidy pofatygowała się do mieszkania naprzeciwko. Niestety, nikt nie otwierał. Listy dosłownie wysypywały się ze skrzynki, a sąsiedzi twierdzili, że pan Boczek wyjechał na wakacje. Dokąd, nie powiedział. W każdym razie zabrał ze sobą dużą walizkę. Chociaż nie tak dużą, żeby zmieścić w niej czyjeś zwłoki.

„Przynajmniej nie zniknął ani nie rozwiął się w powietrzu” - pomyślała Jarmuła. Według Czerwonkowej sąsiedzi widzieli go odjeżdżającego taksówką. Kiedy to było? W tamten feralny poniedziałek, najpóźniej we wtorek. Listy w każdym razie nie były wybierane ze skrzynki od środy. A zatem cokolwiek natchnęło Boczka do gwałtownej chęci podróży, miało miejsce już po zniknięciu szamana.

Pani podkomisarz podziękowała Czerwonkowej za fatygę, obiecując, że jeśli nie dziś, to najpóźniej jutro wpadnie do Wrocławka i z pewnością ją odwiedzi.

Do hotelu Warriott dotarła za. pięć dwunasta. Wjechała na trzydzieste dziewiąte piętro. Jasnowiedz już na nią czekał. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać Stefan Ossowiecki, gdyby żył. Mógł mieć równie dobrze siedemdziesiąt lat, jak i sto dwadzieścia trzy. Wystarczy wyobrazić sobie starego jaszczura przebranego w wytworny, staromodny garnitur z muszką w grochy. Do starczej sylwetki i pomarszczonej twarzy, pełnej brodawek i plam, nie pasowały jednak młode oczy, choć Brygida odniosła wrażenie, że są to oczy węża.

- Witam panią podkomisarz jak najuprzejmiej - posiedział, cmokając ją w rękę. - Czym mogę pani służyć?

- Zajmuje się pan odnajdywaniem osób zaginionych - zaczęła z marszu.

- Czasami próbuję ludziom pomóc - sprostował - daję pewne sugestie i niekiedy okazują się one trafne.

-Niezwykle pan skromny. Słyszałam o bardzo dużej skuteczności. Na ile jest ona wyliczana: osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt procent?

- To, niestety, tajemnica firmy, ale jak pani widzi, nie umieram z głodu. Może trochę truskawek albo winogron...? - wskazał na kosz z owocami pyszniący się na stołku.

- Dziękuję. Czy moglibyśmy przystąpić do rzeczy...?

- Oczywiście, proszę za mną.

Następne pomieszczenie nie przypominało bezosobowego hotelowego wnętrza. Panował w nim półmrok jak w ciemni fotograficznej, a skojarzenie to potęgowała jeszcze czerwona poświata padająca wąskim snopem na trójnog w głębi.

„Numery dla naiwnych - pomyślała Brygida - do kompletu brakuje jedynie kryształowej kuli i czarnego kota”.

- Kota nie posiadam - odezwał się Kowalski - alergia na sierść. Ale zdaje się, że ma pani do mnie jedno bardziej osobiste pytanie?

- Tak - przyznała zaskoczona. - Od paru dni zachodzę w głowę, w jaki sposób domyślił się pan, kim jestem, gdy zadzwoniłam po raz pierwszy? To była magia czy telepatia?

-Ani jedno, ani drugie. Kiedy wyświetlił się pani numer komórkowy, natychmiast włączył mi się komputer. Posiadam niezbyt legalnie dość kompletną bazę danych naszych obywateli i ich telefonów, toteż w sekundę ustaliłem pani tożsamość. Zauważyła pani, że rozmowę podjąłem z pewnym opóźnieniem?

- Zauważyłam.

- Ot i cała tajemnica.

- Chodzi mi o tego człowieka - wyciągnęła fotografię Czerwonki.

Kowalski wbił w nią wzrok tak intensywnie, że Brygida nerwowo czekała, kiedy z papieru zacznie unosić się dymek, a sama fotografia ulegnie zwęgleniu.

-Dziwne, bardzo dziwne - powiedział po dłuższej chwili pan jasnowidz. Obejrzał zdjęcie pod światło, wziął lupę. Potem zgasił ostatnią żarówkę i przez dobrą minutę oboje trwali w kompletnej ciemności. Gdyby nie starczy astmatyczny oddech, podkomisarz mogłaby się obawiać, że jasnowidz zniknął.

W końcu znów zapaliło się światło. Kowalski z fotografią w ręku milczał zadumany.

- Proszę mi powiedzieć: on nie żyje? - zapytała Brygida.

Nastąpił energiczny przeczący ruch głową.

-Nie potrafię tego powiedzieć. Chociaż równocześnie nie mam najmniejszych powodów, by sądzić, że przebywa w świecie duchów.

- A więc?

- Po prostu go nie ma.

- Tutaj?

- Nigdzie go nie ma.

- Jak to możliwe? Miał pan jakieś podobne przypadki?!

- Wyłącznie gdy mnie pytano o bohaterów literackich lub postacie nierealne.

- Zatem sugeruje pan, że ten mężczyzna nigdy nie istniał?!

-Nie... Czuję jego ślad. Miły, ciepły człowiek, tyle że... Wygląda na to, że nie ma go ani w świecie żywych, ani zmarłych.

- A jaka jest trzecia możliwość. Duża odległość...?

-Raczej nie. Chociaż może taki efekt nastąpiłby, gdyby znajdował się w pomieszczeniu silnie ekranowanym, nieprzepuszczającym promieniowania biologicznego...

- Są takie miejsca?

- Mogą być. W ośrodkach parapsychologicznych kilku mocarstw. Być może taki efekt zapewniłby również pobyt w batyskafie na dnie oceanu...

- A gdybym panu powiedziała, że ten pan wykazywał spore uzdolnienia parapsychologiczne?

-Wcale bym się nie zdziwił. Potencjalnie kryje się w nim wielka siła, chociaż zastanawiające jest, że nigdy o nim nie słyszałem, a znam prawie wszystkich kolegów po fachu.

-Nie afiszował się ze swymi umiejętnościami.

- Zdarza się - jasnowidz znowu popadł w zadumę.

-I to wszystko, co może mi pan powiedzieć?

-Na razie wszystko. Gdyby mogła pani mi zostawić to zdjęcie, byłoby znakomicie. Kiedy wyczuję jakieś kierunkowe fluidy, dam pani znać. Oczywiście nie przyjmę od pani żadnego honorarium.

„Stary hochsztapler” - pomyślała Brygida i postanowiła go sprawdzić. Żałowała, że nie dysponuje fotografią Boczka, ale zamiast tego wyciągnęła swoje zdjęcie z kolegami z komisariatu i wskazała na nim Miziaka.

-Atego typka potrafi pan zlokalizować? Zabrało to Kowalskiemu mniej czasu niż wyszukiwarce Google Earth znalezienie określonego domu na konkretnej ulicy w ustalonym kraju. Nie otwierając oczu, powiedział z pełnym przekonaniem:

- Znajduje się około 1500 kilometrów od nas. W towarzystwie urodziwej blondynki. Jeśli ma pani z nim kontakt, proszę go uprzedzić, że za dwie godziny czeka go duże niebezpieczeństwo.

*

Miziak świadom był tego zagrożenia. Dlatego nie zdziwił się, kiedy Elwira wyciągnęła z szafy kevlarową kamizelkę kuloodporną.

- Wkładaj! - nakazała.

- Fatalnie w tym się czuję - marudził.

-Nie ma dyskusji, wkładaj! Zrobisz się trochę bardziej korpulentny, ale o to chodzi...

Zaraz pojawiła się skrzyneczka z przyborami do charakteryzacji i Eryk pojął, do czego zmierza panna Ptasio.

Do Birda zadzwoniła koło jedenastej. Znajdował się już w Bazylei i nie ukrywał swego podniecenia.

-Nawiązała pani kontakt z szamanem? - zapytał niezwykle zainteresowany.

- Tak. Możemy się spotkać za godzinę.

- Znakomicie. Spotkajmy się w hotelu...

Przerwała mu.

- Ależ panie Bird. Jestem panu życzliwa, co nie znaczy, że naiwna. Muszę być pewna, że nie wykręci mi pan jakiegoś numeru.

- Ma pani moje słowo.

- Bardzo mnie to cieszy, z kilku powodów chcę jednak, aby do spotkania doszło w miejscu publicznym.

- Co pani proponuje?

- Dworzec kolejowy.
- Basel SBB?
- Lepszy będzie Badischer Bahnhof. Czerwonka przyjedzie z Niemiec.
- Jest gotów do współpracy?
- Do negocjacji - sprostowała.
- Jakich negocjacji? - zirytował się - wzięliście już szmal.
- Arkady wziął zaliczkę i nie wiem, co z nią zrobił. Potrzebna będzie reszta, w sumie niewielka dopłata...

- Niewielka, pół miliona?
-Za wyłączość. Arkady pertraktował z innymi kandydatami. Atak wykreuje wyłącznie waszego Majdzińskiego.

Peter Bird przełknął ślinę.

-Nie sądzę, abym mógł się postarać o taką kwotę, jaką pani wymieniła. Poza tym potrzebuję gwarancji, że znowu nie wytniecie mi jakiegoś numeru.

-Najlepszą gwarancją będzie szaman w waszych rękach. Sądzę, że godzina dla takiego biznesmena jak pan to wystarczająco dużo czasu, aby odwiedzić bank...

-Dwie godziny!

- Dobrze, niech będą dwie godziny. Spotkamy się o 13.00 w hali kasowej dworca.

- Do zobaczenia.

Rozmowa zakończyła się konkretnie. Miziak wyglądał na zaniepokojonego.

- Chyba za szybko zgodził się na twoje propozycje - ocenił. Nie sądzisz, że szykuje dla nas jakąś paskudną niespodziankę?

- Sądzę! Ale my również szykujemy sporą niespodziankę dla niego.

*

Czym mogłaby oficjalnie zajmować się komisja śledcza przykrywająca sprawę zaginionego szamana? Piotr Magda Boruta spędził nad tym problemem całą noc i nie wymyślił nic aż do rana, kiedy w kiosku nabył najświeższe wydanie „Wybiórczej” wraz z „Dużym Fermentem”, w którym zapowiadano, że już za tydzień ukaże się obszerny wywiad z Aleksym Wołoszynem. Profesor miał zdradzić przedziwne relacje między nauką przez wielkie N a paranaukowymi spekulacjami dotyczącymi „końca historii”.

To wszystko zaciekało Premiera z Krakowa. Nie tyle sam astronom, którego prywatnie uważał za kapusia, ale możliwość zainteresowania opinii publicznej zjawiskami

paranormalnymi. Ostatnio prasa brukowa, na czele z kloacznym „Never” redaktora Jerzego Turbana, opisywała całą serię niewytłumaczalnych i budzących niepokój społecznych zjawisk, wobec których władze wykazywały zastanawiającą obojętność.

Tak, to jest myśl! Komisja sejmowa zajmująca się kręgami w zbożu, kosmitami czy anomaliami magnetycznymi nie tylko odwróciłaby uwagę od istotnych problemów kraju, ale co ważniejsze, zakryłaby rozpoczęte już na pełną skalę poszukiwania szamana Czerwonki. Piotra Magdę tak zafascynował ten pomysł, że podreptał do biblioteki publicznej, w której znajdował się rozszerzony dział gazet „i czasopism”, zapominając zabrać którykolwiek ze swoich słynnych kapeluszy. Miało to tę dobrą stronę, że kompletnie nierozpoznany dotarł on na Koszykową i tam pogrążył się w lekturze.

*

Dwa ciemne mercedesy podjechały na parking koło dworca. Wysypała się z nich piątka oprychów o wyglądzie praskich żulów przebranych w garnitury od Armaniego i skupiła się wokół Birda, wysokiego, dystygowanego mężczyzny wspierającego się na laseczce.

-Wiecie, co macie robić. Przejąć facia, a babę załatwić! - stwierdził bardzo dosadnie. - Oczywiście nie tutaj. Za dużo policji, kamer, świadków. Kiedy wyjdzie z dworca, pójdziecie za nią...

- A jeśli wsiądą razem do pociągu? - zapytał ryży Kuno.

- Wsiądziecie za nimi. Kto będzie pilnował wyjścia na niemiecką stronę dworca?

- Rudi.

- Znakomicie. Teraz walizka!

- Jest, szefie - podali mu niechętnie nesaser z forszą. Ale było to konieczne. Jeśli zechcą przeliczyć... Później i tak odbierze się ten szmal.

- Kuno i Zeman idą za mną. Oczywiście nie za blisko...

O godzinie 13.00 w kraju ludzi pracowitych i zdyscyplinowanych na dworcu było pustawo, toteż Elwira natychmiast spostrzegła kuśtykającego „Kasjera”. Dwóch łysych osiłeków podążało za nim, zachowując kilkunastometrowy dystans.

Przywitali się bez podania rąk.

-Mógłby pan skłonić swych oprychów, aby nie podchodzili za blisko - powiedziała dziewczyna.

Bird gestem nakazał swym ludziom, aby pozostali na miejscu, w którym się znaleźli.

- Gdzie Czerwonka? - zapytał.

- Zaraz będzie. Pociąg ma parominutowe opóźnienie. Widzę, że ma pan walizeczkę.
- Dotrzymuję swoich zobowiązań. Chce pani przeliczyć gotówkę?
- Nie teraz. I nie tutaj. Przeliczymy w toalecie.
- Damskiej czy męskiej? - zapytał niesłychanie konkretnie Bird.
- Wejdziemy w trójkę z Alojzym do kibla dla inwalidów.

Tak rozmawiając, doszli do peronów. Pociąg z Karlsruhe znajdował się już na miejscu.

-Jest! - zawołała Elwira, machając intensywnie. Z ostatniego peronu odmachał jej jakiś mężczyzna.

- Czerwonka! - Bird aż spocił się z wrażenia. Nie miał wątpliwości, że to upragniony szaman; ta staromodna marynarka w pepitkę, rogowe okulary, siwa grzywa włosów.

- Niech podejdzie do nas - polecił.

-Spokojnie. My podejdziemy do niego. Tylko rozważnie. Jest dość płochliwy i jak zobaczy pańskich ochroniarzy, gotów jest uciec.

Biznesmen przyznał jej rację. Był tak zaaferowany widokiem szamana, że nie zauważył nawet, jak przekracza białą linię biegnącą wzdłuż stacji. Granica unijno-szwajcarska nie miała zasieków i strażnic, ale mimo wszystko ciągle istniała.

Mężczyzna w tweedowej marynarce ruszył w ich stronę i uśmiechając się, wyciągnął ku nim ręce. Bird miał obie dłonie zajęte laską i walizką, toteż pragnąc się przywitać, przekazał wszystko Elwirze. Potem podał szamanowi swoje ręce. Ale widząc, że Czerwonka wyciąga również drugą dłoń, machinalnie podał mu także lewicę. Ale nie był to krótki, przyjacielski uścisk. Eryk Miziak chwycił go, jakby miał zamiast rąk imadła, a Elwira zwinnie zatrzasnęła mu kajdanki.

-Jest pan zatrzymany na podstawie europejskiego nakazu aresztowania - powiedział policjant, pociągając biznesmena za filar.

-Ratunku! - wrzasnął Peter, a jego człowiek okazał się szybszy od głosu. Huknął strzał i kula wbiła się w kuloodporną kamizelkę Miziaka. Uderzenie było wystarczająco silne, by zachwiać funkcjonariuszem. Jednak więcej strzałów ani Kuno, ani Zeman nie oddali. Niczym spod ziemi wyroili się niemieccy i szwajcarscy policjanci, krzycząc, by rzucili broń.

Bird był tak zszokowany, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez własną głupotę wszedł na teren Unii Europejskiej.

- Jest wasz - powiedział Miziak do dowódcy niemieckich policjantów.

- Dziękuję - odparł krótko funkcjonariusz. - Na wszelki wypadek wywieziemy was stąd naszymi radiowozami. Chociaż wyłapanie całej bandy nie powinno nam zabrać wiele czasu.

Po tej wymianie ognia Szwajcarzy nie mogą się ociągać ze zgarnięciem tych przy emniaczków.

- Jeszcze się spotkamy - Bird obrzucił Elwirę nienawistnym spojrzeniem.

-Nie sądzę, żeby tej jesieni Polacy wybrali sobie prezydenta, który znów pana ułaskawi

- odparła Ptasio.

Eryk tymczasem zdjął perukę i okulary.

- Cholera, a gdzie prawdziwy Czerwonka? - zapytał z czystej, ciekawości Bird.

-Akto go tam wie - dobiła go bezlitośnie panna Ptasio, sięgając po neser z pieniędzmi.

- To, niestety, będzie musiało pozostać u nas jako dowód rzeczowy - ubiegł ją niemiecki policjant.

*

Ostatni ślad, który pozostał ambitnej pani podkomisarz, prowadził przez Wrocławek. Jeśli uda się odnaleźć Wincentego Boczka, może tajemnica zniknięcia samego Czerwonki okaże się mniej tajemnicza... Dotarła tam pod wieczór.

Pani Zofia powitała Brygidę jak starą przyjaciółkę. A potem się rozpląkała. Mąż nadal nie dawał znaku życia. I wprawdzie nadzieja umiera ostatnia, ale w tym wypadku była zdaniem Czerwonkowej znacznie bardziej martwa niż żywa.

Jarmuła pozwoliła się wyzaliczyć kobiecie, potem poradziła, żeby, jeśli chce pomóc, nie siedziała beczynnie, ale jeszcze raz porozmawiała z sąsiadami.

- O czym?

- Czy przypadkiem w dniu zniknięcia Alojzego lub bezpośrednio przed nim nie zaobserwowali czegoś odbiegającego od normy.

- Zrobię to, ale zdaje się, że chciała pani zobaczyć mieszkanie pana Boczka...

Pani Zofia chciała pójść tam razem z policjantką, ale ta nie chciała mieć świadka niezbyt legalnych działań... Zamek w drzwiach nie należał do skomplikowanych i ustąpił gdzieś po minucie. Wewnątrz panowała atmosfera spokoju, niezdradzająca panicznej ucieczki, raczej planowy wyjazd z zamiarem powrotu, o czym świadczyła niewyłączona lodówka. Ład zwykłego mieszczańskiego wnętrza burzyła nieco luneta ustawiona przy oknie za firanką, skierowana obiektywem na mieszkanie Czerwonków. W kalendarzu wiszącym w małej kuchni ostatnią kartkę zerwano w poniedziałek. Brygida liczyła na wskazówki, jakie zazwyczaj można znaleźć w śmieciach, ale, niestety, wszystko zostało starannie

wyczyszczone. Na ślad naprowadziła ją dopiero biblioteczka. Boczek był pedantem i brak jednej książki w serii „podróże” błyskawicznie rzucił się jej w oczy. Już po chwili zorientowała się, że nie ma przewodnika po Egipcie. Co do tego, że w tym kierunku mógł się udać pan Wincenty, upewniła ją kolekcja książek poświęconych nurkowaniu w Morzu Czerwonym.

„Bingo!” - pomyślała.

Reszta była formalnością. Pojechała na swój komisariat, gdzie znajdowała się zszywka gazet. Znalazła oferty *last minute* sprzed dwóch tygodni. Ilość propozycji tanich wyjazdów do Egiptu była spora. Ale tylko jedno biuro, „Arab-Travel”, mające zresztą filię w supermarkecie we Wrocławku, oferowało wyloty we wtorki.

Do jego zamknięcia pozostał kwadrans. Brygida złamała kilka przepisów ruchu drogowego, zaparkowała wóz na miejscu dla niepełnosprawnych i złapała pracownicę biura, gdy ta zamykała drzwi, myśląc już o czekającej ją randce. Niechętnie zgodziła się pomóc policji. Ale nie miała wyboru. Twarz Jarmuły wykazywała pełną determinację. Zresztą rozmowa nie zabrała więcej niż kwadrans, razem z odpaleniem komputera. Wincenty Boczek faktycznie zgłosił się do biura w poniedziałkowe popołudnie i psim swędem załapał się na wylot już dnia następnego.

-Hurghada, hotel Sunset Beach - powiedziała dziewczyna, marząc, by móc wreszcie wyjść. - Tu proszę, folder... Jest i telefon.

W pierwszej chwili podkomisarz korciło, żeby tam zadzwonić. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że mogłaby spłoszyć bezcennego świadka.

-Dziękuję, bardzo mi pani pomogła - powiedziała do dziewczyny, wywołując błysk niekłamanej radości w jej oczach.

Potem pojechała do swojej kawalerki. Spędziła w niej ostatnie pięć lat i dopasowała się do niespełna trzydziestometrowego lokalu jak rak pustelnik do znalezionej skorupki. W przedpokoju stał jej ulubiony górski rower, spod łóżka można było w każdej chwili wyciągnąć matę do ćwiczeń, a na hakach rozwiesić treningową gruszkę bokserską. Na regale obok zawodowej literatury i „Stulecia detektywów” Jurgena Thorwalda znajdowało się kilkadziesiąt najlepszych kryminałów, a wyżej trochę podobna ilość odznaczeń sportowych. Była tam również fotografia matki, która zmarła, kiedy Brygida miała pięć lat, i ona sama na zdjęciu jako Julia Capuletti w amatorskim przedstawieniu sztuki Szekspira... Zdjęć ojca nie było, ale tylko dlatego, że stary ubek nie znośił się fotografować.

„Całe moje pieprzone życie - pustka i jeszcze raz pustka!” - pomyślała pani podkomisarz, zaglądając do pustej lodówki, w której jakimś cudem uchowała się puszka piwa. Usiadła w fotelu, nie włączając telewizora.

Czekała na telefon od Eryka. Po uwieńczonej powodzeniem akcji pochwycenia Birda zadzwonił do niej z krótkim meldunkiem i podał godzinę przylotu. Miejsce znalazło się dopiero w wieczornym samolocie dnia następnego. Obiecał zadzwonić później. Ale nie dzwonił. Zapewne żegnał się czule z kochanką Gusiewicza.

„Jestem zazdrosna?” - roześmiała się na samą myśl. Jak można było być zazdrosnym o Miziaka, który po rozwodzie zachowywał się jak kocur w marcu, pieprząc wszystko, co mu podeszło pod... powiedzmy, rękę!

Z drugiej strony gdyby koniecznie musiała się z kimś związać, to wśród swych znajomych trudno byłoby znaleźć kogoś lepszego. Eryk i owszem, orłem intelektu nie był, ale potrafił być koleżeński, uczynny i w najlepszym sennie tego słowa - przyzwoity. Choć to oczywiście za mało...

Życie nie rozpieszczało Brygidy... Przedwczesny romans z nauczycielem skrzypiec, zakończony Skandalem, który musiał tuszować ojciec, przenosząc się z nią do Wrocławka. Zbiorowy gwałt, jaki przeżyła w roku następnym, nieudany związek z instruktorem szkoły walki, który zataił, że jest żonaty i oczekuje narodzin bliźniaków. Poza tym jakieś dwa lub trzy wakacyjne flirty, i to koniec katalogu jej doświadczeń. Szansa, że trafi, na swoją drugą połówkę, z każdym rokiem dramatycznie malała.

Zmniejszało się też grono przyjaciół. Koledzy mieli żony, koleżanki mężów, których pilnowały nader skwapliwie. Kiedy umarła ciotka Ziuta, nie miała nawet z kim spędzić świąt. Ojciec komunista demonstracyjnie jadł szynkę w Wigilię i kielbasę w Wielki Piątek. Poza tym, w chwilach depresji, z tą najbliższą sobie osobą nie miała o czym rozmawiać. Chyba że o kwestiach zawodowych. Ojciec Jarmuły był klinicznym typem cynika, który na starość jeszcze zgorzkniał. Jego świat był przerażającym kłębkim spisków, świństw i podłości, bez najmniejszego nawet promy czka nadziei, jaki daje ludziom metafizyczna perspektywa. Wszyscy ludzie wedle niego byli durniami albo łotrami. W grze w policjantów i złodziei role zostały wyznaczone losowo. Nie było reguł ani zasad. Jednym słowem, jak zwykł mawiać „Wszystko to gówno, oprócz moczu”.

Przez wiele lat III Rzeczypospolitej kibicował lewicy, ale wzgardził nią, gdy okazało się, jak łatwo rozsypała się potęga „prawdziwego mężczyzny”, Leszka Killera. „Jeśli ma się kończyć tak jak on, lepiej nie zaczynać” - twierdził Jarmuła.

Do braci Indykiewiczów czuł żywą nienawiść, a nawet, dosyć krótko, trochę się ich bał. Lustracja, dekomunizacja, otwarcie archiwów... Brygida podejrzewała, że jej stary, który rozpoczął służbę z początkiem lat pięćdziesiątych, ma na sumieniu grzeszki, o jakich wolałby nie wspominać, zwłaszcza jeśli mogły być to winy nieulegające przedawnieniu. Z drugiej jednak strony...

Pewnego dnia powiedział:

- Gdyby „Indyki” naprawdę chciały rozwiązać sprawy po naszymu, to bym im pomógł. -

To znaczy?

- Przesłuchania trzeciego stopnia, sądy doraźne i KS.

- Kara śmierci? Ależ tato, dlaczego?

- Bo wtedy zapłaciliby naprawdę prawdziwi szubrawcy, a tak wszyscy grzęzną w strachu i znowie milczenia, tak małe rybki, jak i prawdziwe rekiny.

Drugą obsesją ojca Jarmuły była Rosja. Której nienawidził, ale zarazem ją podziwiał, twierdząc, że przedwcześnie strącona z piedestału supermocarstwa nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa i pewnego dnia obudzi się, zdrapie z gęby demokratyczną pozłotę i ruszy na łaszący się Zachód przekonany, że ją oblaskawił, a tymczasem on przecież wykarmił zdychającego potwora.

- Cały problem, że powinniśmy iść razem z nią. Tylko że nie pójdziemy - rzekł ojciec.

- Chwała Bogu! - ucieszyła się Brygida.

- Wy, wierzący, uważacie, że Pan Bóg jest Polakiem. Jeśli tak, to nie mógł zrobić swym rodakom większego psikusa, robiąc ich za małymi na mocarstwo i za dużymi na kraik, który można przestawiać po mieszkaniu jak taboret.

- Nie rozumiem?

- A co tu rozumieć. Nasz sparszywiały los polega na tym, że mamy duszę olbrzyma w ciele karła... Ijuż. Nie mogąc być ani Czechami, ani Francuzami, szamoczymy się jak gównu w przereźlu.

-Ale gdybyśmy poszli z Rosją, to w drugim, najpóźniej trzecim pokoleniu, stalibyśmy się Rosjanami.

-Nie sądzę, raczej bylibyśmy tym, czym są dla Ameryki Jewreje: fermentem, zaczynem, kadrą...

- Jeśli nawet byłoby to możliwe, podobne pomysły skończyły się z pierwszą wojną światową...

- Albo i nie. Jeśli Duck okaże się dość mądry, by widząc, że Zachód zdycha, postawić na innego konia, może powstać zupełnie nowa sytuacja.

-Jeśli, w co wątpię, ludzie poparliby podobne pomysły w sondażach... Cynizmu z pewnością mu nie zabraknie.

-Wolę pragmatycznych cyników niż ideowych nieudaczników... - uciął stary Jarmuła, czując, że rozmowa, jak to często bywało, zmierza w stronę kłótni, najczęściej kończącej trząśnięciem drzwi, paroma dniami milczenia, a potem pogodzeniem.

Do tematu wrócił przy innej okazji. Kiedy dyskutowali o islamizacji Europy.

-I zobaczysz, zobaczysz, córuś, że ta paskudna Rosja może się okazać ostatnią nadzieją białych...

Starszy aspirant Miziak zatelefonował koło północy. Był niezłe nawalony. Dzwonił, jak stwierdził, tylko po to, żeby powiedzieć jej „dobranoc”. I że się cieszy, iż się znów zobaczą, i że dużo by jej chciał jeszcze powiedzieć, ale nie powie, bo, po pierwsze, jest pijany, a po drugie, jest bardzo pijany, a po trzecie, nie pamięta, co takiego ważnego ma na myśli.

*

Gala w hotelu Szczerbaton z okazji przyznania tytułu „Macho Roku” ogłaszanego przez „Ilustrowany Magazyn” Magdaleny Cholewko zgromadziła sam kwiat warszawki i kilka prawicowych bulw, które znalazły się tam z czystego przypadku. Brylowały więc z właściwą sobie hucpą podstarzałe gwiazdy telewizji z uczepionymi ich ramion (i ud) meteorami na dorobku. Byli tam cwani wyjadacze wszelkich koryt oraz młodzi adepci szkoły cynizmu i przetrwania, niegdysiejsi czerwoni baronowie w liberalnych biznesmenów przemienieni. Byli tajni i jawni współpracownicy SB, a także ich oficerowie prowadzący. Księża, którzy zrzucili sutannę i kontynuowali proces auto-ekshibicjonizmu, próbując wszystkich grzechów głównych i kościelnych naraz. Nie brakowało aktywistów organizacji mniejszości narodowych i seksualnych, synów synów pułku i wnuczek politkomisarzy. Kłębiły się stadnie pieszczochy każdej władzy, wyspecjalizowane w udawaniu niezależnych artystów, a nawet polityczne trupy upudrowane odświętnie i animowane siłą przetrwania. Wychynęli ci, którzy pierwszy milion ukradli i są w trakcie kradzieży następnych. Bawiła się doskonale i cała reszta, która różnymi metodami wcisnęła się na imprezę, pragnąc na tę menażerię popatrzeć.

Z przyznaniem tytułu „Macho Roku” był w tym sezonie niemały kłopot. Ronek otrzymał to trofeum już dwa razy i kategorycznie nie godził się na trzeci. Jego funkcjonariusze nie chcieli przyjmować wyróżnienia, bojąc się zbyt zabłysnąć. Zresztą Bogiem a prawdą nie było za co. Nie mogli dostać „Macha” Wronisław Gomorrowski ani Radwan Wróbelski z tej racji, że periodyk udawał apolityczny i wzdrygał się od opowiedzenia tak po stronie przegranego,

jak i wygranego w turnieju kandydackim Partii Obiecanek. I owszem, do ostatniej chwili pewniakiem do zdobycia tytułu wydawał się Janusz Moczypies, ale po kolejnej wpadce, tym razem na temat nuncjusza papieskiego, którego porównał... (mniejsza z tym do czego), znikł nagle z listy potencjalnych typów.

Koniec końców redakcja przyznała swą nagrodę Jolancie Goryczko, byłej first lady, za wdzięk, urok, odwagę i bezpretensjonalność, a przede wszystkim za styl. Co prawda nie było w kraju literata, który podjąłby się uzasadnić, za co jest to wyróżnienie wręczane i w którym swoim fragmencie pani Jola jest macho, ale z drugiej strony stwierdzenie „a dlaczego nie Ona?” zamykało usta najdociekliwszym. Janina Parandowska z „Boliwtyki” porównała ją ze słynną Madame Roland, a Magdalena Sobota, znana feministka, z uczoną Hypatią, rozszarpaną przez nietolerancyjny motłoch katolickiej Aleksandrii w wieku IV. Prezes homisiów, Robert Stonóg, chciał nawet dać jej statuetkę honorowego geja, ale ktoś przytomny ze służb mu odradził taki eksperyment.

Jednak nie koryfeuszka dawnego Klubu Krakowskiego Przedmościa była tematem wieczoru. Nie była nią nawet zbiegła z Białorusi działaczka opozycyjna Weronika Iwan, do niedawna szefowa miejscowej Ligii Kobiet, a i wcześniej bliska znajoma dyktatora Aleksandra Kukaszenki, która wpadła na krótko na bal, strzeliła dwie szybkie wódki i oddaliła się z grupką dziennikarzy z niszowych pisemek skrajnej prawicy, a może lewicy (co zresztą na jedno wychodzi). Wszyscy bowiem dyskutowali o nowej komisji śledczej, której powołanie wisiało na włosku.

Wprawdzie pracujący w odosobnieniu nad projektem Piotr Magda Boruta nie puścił farby, ale wieść, że coś takiego musi powstać, lotem błyskawicy obiegła tak zwane środowisko opiniotwórcze.

Szeroko cytowano również materiały o niepokojących zjawiskach paranormalnych, które miały się ukazać w jutrzejszej prasie - redaktor Pysznik awizował rychły wywiad z Aleksym Wołoszynem, a i inne gazety nie chciały być gorsze. W dzienniku „Poland die Zeit” pojawił się reportaż o wstrząsających wypadkach z gminy na Podkarpaciu, gdzie w wyniku rządów BiS-u nastąpiło zawrócenie ewolucji, a wszyscy mieszkańcy zaczęli porastać moherowym włosiem, zmieniając się w małpoludy, i tylko miejscowy ksiądz stwierdził, że jest to efekt wyjątkowo ciężkiej zimy.

Z kolei „Super Exces” przeprowadził wywiad z byłym ludowym watażką Andrzejem Trądzikiem, który przedstawił nowe dowody obecności kosmitów i talibów w Klewkach. Ich niewątpliwą konsekwencją był aktualny wysyp zielonych noworodków z antenkami wyrastającymi z ciemiaczka i dziewczynek od razu w burkach. Szef partii Samowolka

zdemontował też sugestie, jakoby którekolwiek z niemowląt podobne było do niego albo głównego ogiera jego ugrupowania, Staśka Narciarskiego, który zresztą od dłuższego czasu przebywa w pierdlu.

Inny popularny dziennik, „Fuck”, donosił o niezwykłym, bo laickim cudzie w muzeum w Kozłówce, gdzie zgromadzone posągi z lat socrealizmu (Staliny, Leniny, Bieruty i inne Dzierżyńskie) zaczęły płakać krwawymi łzami, wywołując panikę miejscowej ludności.

Wszystkich jednak przelicytował artykuł Jacka Studenckiego dla tygodnika „Boliwtyka”, w którym ten znakomity publicysta wspominał o wirusie papierowej grypy, jaki zaatakował Instytut Niepamięci, zmieniając w licznych dokumentach przyzwoitych ludzi w agentów, co dowodzi, że cały obiekt trzeba z powodów higienicznych jak najrychlej spalić, zabetonować albo przynajmniej obsadzić sprawdzonymi terapeutami.

- Oto, do czego doprowadziły haniebne rządy BiS-u - podsumował otoczony wianuszkami adeptki sztuki dziennikarskiej (i przy okazji także sztuki miłości) Tomasz Kuna. A gdy ktoś nieśmiało zapytał, dlaczego problemy urodziły się dopiero teraz, po trzech latach rządów pod hasłem „Zdrowia, Szczęścia i Pomyślności”, z właściwą sobie błyskotliwością as publicystyki wyjaśnił, że ciąża słoni też trwa dwa albo trzy lata.

IX.

Rosyjski łącznik

WTOREK

Podkomisarz Jarmuła nie musiała się zrywać tego ranka zbyt wcześnie. Do Warszawy zamierzała dotrzeć dopiero wieczorem, tak aby bez pośpiechu odebrać z lotniska przylatującego z Frankfurtu Miziaka. Po konsultacji z Kaszaną dowiedziała się, że zarezerwowano dla nich obojga lot do Egiptu na szóstą rano w czwartek. Na samą myśl o wycieczce pod piramidy doznawała dreszczu emocji. Do tej pory nie dotarła nigdy dalej niż do Chorwacji. Dlatego wylegiwała się dłużej niż zwykle. O dziewiątej dopiero zdążyła zjeść śniadanie, kiedy nagle zadzwoniła jej komórka. Znajomy numer. Czerwonkowa?

- Zgodnie z pani radą porozmawiałam trochę z sąsiadami i dziećmiakami z sąsiedztwa - zaczęła pani Zofia. Najwyraźniej wczorajsza wizyta Brygidy dodała jej sporo animuszu.

- Słusznie, dzieci potrafią być wyjątkowo spostrzegawcze.

-No i właśnie. Syn jednej z moich przyjaciółek, Jacuś, jest fanem samochodów. Zna wszystkie marki i kolekcjonuje modele. Dziś rano spotkałam go w drodze do szkoły. Powiedział mi, że koło naszego domu tamtej niedzieli kręcił się luksusowy wóz. Nie znam się na samochodach, ale jak on mówi, że był to srebrzysty lexus RX, wierzę mu absolutnie. Popytałam jeszcze kilku sąsiadów i okazało się, że taki samochód całą noc parkował dwie ulice od nas.

W dziesięć minut Jarmuła znalazła się na miejscu. Przesłuchała Jacusia, który podał jeszcze kilka szczegółów, między innymi ten, że samochód miał rzeszowską rejestrację. Potem pogadała z gościem z parterowego domku obok. Ten również doskonale zapamiętał luksusowego lexusa zastawiającego mu wjazd; w końcu przez niego musiał wyjeżdżać z garażu przez trawnik.

- Ludzie, proszę pani, to jest po prostu bydło - gderał.

-Powiem szczerze: miałem ochotę poharatać mu ten metaliczny lakier! Ale jestem człowiek kulturalny...

- Ciekawi mnie jedno: że też właściciel nie bał się zostawić takiego skarbu na noc? - wyraziła zdziwienie Brygida.

- Wiele nie ryzykował. Całą noc ktoś siedział w samochodzie i palił papierosy.

- Zauważył pan, kto?

- Niestety. Szyby samochód miał przyciemniane.

- W takim razie skąd pan wie, że ktoś tam był.

- Ciebie widział, jak gościu wyrzuca pety przez okno.

A kiedy rano trąbiłem, żeby się ociupinkę cofnął, po prostu uchylił szybę i wytknął rękę z paluchem, wie pani jak, tak do góry. Po prostu cham! Z Rzeszowa!

Poczuła przyspieszone bicie serca. Pojechała bezzwłocznie na swój komisariat podjąć trop, ale spotkał ją zawód: koledzy tamtej niedzieli mieli ważniejsze sprawy na głowie niż patrolowanie bocznych uliczek Wrocławka. Niezrażona zadzwoniła do wydziału komunikacji w Rzeszowie. Panienska zajmująca się dowodami rejestracyjnymi miała opory ze względu na ochronę danych osobowych, ale Jarmuła przedstawiła się jako funkcjonariusz Agencji Błogostanu Wewnętrznego i opory znikły.

Ile mogło być srebrzystych lexusów RX w Rzeszowie? Okazało się, że jeden. Należał do Igora Efraimowicza, znanego przedsiębiorcy z Rosji, od paru lat cieszącego się polskim obywatelstwem. Bezzwłocznie połączyła się z Kaszaną.

- Chyba mam interesujący trop, panie pułkowniku - zameldowała.

Wysłuchał jej w skupieniu, a następnie poprosił, aby chwilowo zawiesiła swoje działania na tym odcinku.

- Sprawdzimy pana Efraimowicza. Jeśli się potwierdzą pani obawy, zajmiemy się dalszym ciągiem sprawy. Jeśli nie, zostawimy pani wolną rękę co do dalszych poszukiwań. Na razie lećcie do Egiptu i przesłuchajcie tego Boczka. A jak się da, wypocznijcie trochę.

Niespecjalnie protestowała. Jeśli Efraimowicz był, co podejrzewała, ruskim szpiegiem, sprawa dalece przekraczała jej kompetencje.

*

Od rana w Sejmie huczało. W świetle doniesień prasy powołanie komisji śledczej było właściwie przesądzone. Debatę poświęconą jakiejś drugorzędnej sprawie w rodzaju dziury w budżecie czy bezpieczeństwa energetycznego przerwano i zebrał się Konwent Seniorów.

- To jakaś bzdura, humbug, odwracanie uwagi społeczeństwa za pomocą idiotycznych historyjek, z których większość to kiepska żart albo fakt prasowy - przekonywała delegowana do tego ciała przez partie braci Indykiewiczów Joanna Guzik-Kostkowska

-Dlatego należy to zbadać. I jeśli fakty nie odpowiadają rzeczywistości, pociągnąć winnych ich rozpowszechniania do odpowiedzialności - postulował szef LSD, Grzegorz Popieralski.

- Pan jest za czy przeciw? - zapytał go marszałek Gomorrowski.

-I jedno, i drugie.

-Proszę państwa, nie dajmy się zwariować! - apelował jak zwykle umiarkowany Waldi Kargul. - Wiadomo nie od dziś, że naszym światem zawładnął diabeł, ale na to potrzeba egzorcysty, nie komisji!

Wybuchła wrzawa. Jedni klaskali, inni wołali: „Targowica!”.

-Komisja być musi! - zdominował tumult pisk Stefana Wiesiołowskiego. - Musi, musi, musi! - dokończył dramatycznie, wskakując na stół.

- A jak nie powstanie? - włączył się towarzysz Jerzy Majdziński.

- To się zabiję! Wyskoczę przez okno! - rozpacział Wiesiołowski.

- To skacz pan - posłanka Guzik wstała, otwierając mu drogę do okna. - To jest parter - dodała bezlitośnie.

-Ale wysoki! - Wiesiołowski, sławny z tego, że kiedyś w przeszłości chciał wysadzić Lenina (tyle że Lenin wysadzić się nie dał), jakby się zawahał.

Przez chwilę panowała mroząca krew w żyłach cisza.

- Koleżanki i koledzy - odezwał się na koniec Stanisław Żeligowski z Partii Siermiężno-Ludowej, chłop z cenzusem i PRL-owskim stażem. - Czym właściwie my się tak emocjonujemy. Jedna komisja mniej czy więcej. Komu to przeszkadza? Jak jest inicjatywa powołania, to ją powołajmy.

- Tylko po co? Komisje sejmowe powstają do badania błędów aktualnie rządzących - powiedziała pani Guzik-Kostkowska.

- Czyżby? - ironizował Grzegorz Detyna, który doszedł już do siebie po aresztanckich przygodach. - Aktualnie działające komisje zajmują się głównie opozycją. A ta, którą zamierzamy powołać, nie przesądza z góry o niczyjej winie.

-Proszę państwa - odezwał się, ruszając wąsikami na podobieństwo Małego Rycerza, marszałek Wronisław Gomorrowski, który przeliczywszy siły, zorientował się, że jego przyjaciele mają wystarczającą większość. - Wzbijmy się ponad podziały i animozje. Ratujmy kraj!

- Ratujmy kraj - zapiszczał Wiesiołowski i się rozplakał.

- Dobra. Wiele nie zostało do ratowania, ale ratujmy - niechętnie zgodził się Popieralski.

Posiedzenie konwentu na wniosek ludowców zakończyło odśpiewanie Roty na podkładzie disco polo.

*

Kaszana nie zasypywał gruszek w popiele. W ciągu godziny obfite dossier Igora Efraimowicza Kronsztajna (w trakcie przyjmowania polskiego obywatelstwa zgubił gdzieś swoje stare nazwisko, w którego rolę weszło spolszczone otczestwo „Efraimowicz”) znalazło się w rękach podpułkownika.

Już sam podstawowy biogram mógł zaciekawić miłośnika spiskowych teorii historii. Wpływowy dziś biznesmen urodził się 1961 roku w Leningradzie, w rodzinie żydowskich internacjonalistów, od lat oddanych całym sercem sprawie komunizmu. W latach 1981 - 1992 służył w GRU. Najdłużej w Polsce. W okresie transformacji rozpoczął interesy w krajach byłej demokracji ludowej, rejestrując swoje firmy na Cyprze, w Lichtensteinie i na Wyspach Normandzkich. Sześć lat temu znany z dobrego serca prezydent Goryczko przyznał mu obywatelstwo polskie. Od osiemnastu lat miał polską żonę i trójkę dzieci. Kolejne dokumenty obejmowały wykaz sektorów, w które inwestował.

Jego drogę na szczyt pierwszej dziesiątki najbogatszych zablokował mu Antoni Macierenko, umieszczając sporo informacji o tajemniczym biznesmenie w tajnym aneksie do raportu w sprawie WSI. On sam przewidując przez co najmniej dwa lata nie wychylał nosa ze swej cypryjskiej posiadłości. Aktualna władza po objęciu rządów poleciła przestać interesować się tym miłym w obejściu i hojnym dla przyjaciół przedsiębiorcą. Zatem wrócił. Myśląc o tym, Kaszana westchnął ciężko:

-Teraz będziemy musieli znów się nim zająć! Z której strony by nie patrzeć, porwanie Czerwonki było aktem wrogim. Przekroczyło pewne granice, które niepisana umowa określała wyraźnie. Nie miało już znaczenia, że do tej pory Efraimowicz zachowywał się lojalnie, że robił znakomite interesy z ludźmi związanymi z Partią Obiecanek. Przyjaźnił się osobiście z posłem Moczypsem i grywał w golfa z Mirosławem Pniakiem.

„Nie będziesz miał życia, człowieku!” - pomyślał bez cienia współczucia wiceszef ABW.

Po porozumieniu z Klosiakiem nakazał całodobową inwigilację Efraimowicza, polecił skontrolowanie, o ile to możliwe dyskretnie, jego lexusa, wraz ze zbadaniem wszelkich śladów biologicznych, mogących wskazywać, że np. przewożono nim Alojzego Czerwonkę. Grupa rozpoznawcza utworzona została z kilku ludzi z CBA, do niedawna znajdujących się na liście do zwolnienia, ale w tak poważnej sprawie Kaszana najmniej ufał własnym funkcjonariuszom. Z podobnego powodu wykluczył natychmiastowe przesłuchanie Efraimowicza. Bał się spłoszyć ptaszka.

- Jeśli Czerwonka przebywa nadal w kraju, istnieje duża szansa, że zostanie odzyskany - zameldował Klosiakowi.

*

Rozstanie Eryka z Elwirą pozbawione było dramaturgii. Oboje odegrali swoje role, a że po drodze sprawili sobie nawzajem odrobinę przyjemności - ich zysk. Zresztą ostatni wspólny dzień spędzili na wyjaśnieniach składanych organom niemieckim i Interpolowi, a jeśli idzie o nocleg, złośliwe niemiaszki ulokowały ich w dwóch różnych pokojach w hotelu w Karlsruhe. W efekcie Miziak nabył butelczynę whisky i samotniczo zaprawiał się nią przez znaczną część nocy.

Rano Elwira odprowadziła go na pociąg do Frankfurtu, skąd samolot miał zabrać go do Warszawy.

- Spotkamy się jeszcze kiedyś? - zapytał na pożegnanie.

Uśmiechnęła się trochę smutno:

- Może w innym życiu, przy innej tożsamości. Jeśli idzie o mnie, jakiś etap mam za sobą. Wprawdzie Gusiewiczowa wiele zaszkodzić mi nie może, ale ich syn, który wczoraj wrócił do kraju, już dzwonił do mnie i twierdził, że nie odpuści ani kawałka majątku.

- Rozumiem, że nie powiesz mi nic więcej ani o swoich planach, ani o dotychczasowych osiągnięciach?

- Gdybym powiedziała, musiałabym cię zabić.

*

Mimo uzgodnień na Konwencji Seniorów okazało się, że diabeł tkwi w szczegółach. Przez dobrych parę godzin posłowie spierali się, jaki ma być klucz powołania komisji, ilu członków ma ona liczyć i jaka powinna być procedura ich wyboru. Wersję: dwóch członków dla Obiecanek, a po jednym dla Lewizny, ludowców i BiS-u, oprotestował sam prezes Jarosław Indykiewicz.

- Należą nam się minimum dwa miejsca w tym ważnym ciele.

-Przecież oprotestowaliście inicjatywę i uważacie, że komisja nie ma sensu - polemizował marszałek.

-Nadal tak uważamy, ale jeśli mimo wszystko powstanie, chcemy mieć w niej znaczący wpływ, odpowiadający poparciu społeczeństwa.

Po dłuższych przepychankach ustalono, że dojdzie jeszcze jeden poseł z koła Drugie Millennium, co zapewni parytet „trzy do trzech” między koalicją a opozycją.

A przewodniczący? Było jasne, że przy równym rozkładzie za każdym razem będzie musiał decydować głos właśnie jego.

- Skoro działalność komisji ma obejmować sferę zjawisk paranormalnych, niech przewodniczącego wyznaczy ślepy los - zaproponował Ludwik Horn, renegat z BiS-u.

O dziwo jego pomysł przyjęto przez aklamację.

-W takim razie... - na trybunę wturlał się mecenas Ryszard Klawisz z Lewizny Socjaldemokratycznej - ... skoro tak łatwo osiągnęliśmy konsensus, pójdźmy dalej

i pozwólmy, żeby wspomniany ślepy los wyznaczał również członków komisji. Jeśli będą robić to władze klubów, przyjdzie nam się spierać do rana, ale jeżeli wylosujemy, uwiniemy się przed podwieczorkiem.

- Tylko kto będzie losować? - zapytał ze swej ławy Indykiewicz, z góry podejrzewając szwindel. - Do komputerów, nad którymi nadzór sprawuje skądinąd wielce szanowny pan marszałek, nie mamy zaufania.

W ciszy, która na chwilę zapadła, rozległ się płacz dziecka, spotęgowany echem pustych korytarzy.

- Co tam się dzieje? - zapytał Gomorrowski, daremnie próbując podkreślić mocno przystrzyżonego wąsa.

- Może mi to ktoś wyjaśnić?

Jeszcze chwila, a na salę obrad straż marszałkowska wprowadziła małą, zapłakaną, najwyżej dziesięcioletnią dziewczynkę.

- Mała była tu z wycieczką i zgubiła się w toalecie - powiedział pierwszy ze strażników, niemłody mężczyzna o bladym obliczu.

Dziecko widząc setki twarzy zwróconych w swoją stronę, przestało płakać, a nawet uśmiechnęło się przyjaźnie.

-Tego nam było trzeba. - zawołał ciągle pozostający na trybunie Klawisz - Sierotka wylosuje!

- Ciekawe tylko, jaka formacja zrobiła ją sierotą? - zaskrzypiała posłanka Joanna Piszczyszyn. - Pewnie liberałowie z Partii Obiecaneek pospołu z dobrodziejami z BiS-u.

-Na pewno nie wy, wy byście ją wyskrobali przed urodzeniem - krzyknął ktoś z prawicy, bodajże poseł Kazimierz Michał Łazienkowski.

- Proszę o spokój - marszałek stuknął parę razy laską. - Zrobimy to tak: każdy poseł danego klubu wrzuci kartkę ze swoim nazwiskiem do kapelusza, a dziewczynka wyciągnie ją z zawiązanymi oczami.

- Brawo!!! - rozległy się liczne głosy.

- Jednak dla porządku musimy tę nietypową procedurę przegłosować. W tym momencie urokliwa twarz „sierotki” wypełniła cały telebim służący normalnie do wyświetlania wyników. Później technicy zaklinali się, że nie zrobił tego żaden z nich. Dziecko wyglądało tak uroczo, tak bezbrinnie, tak obiektywnie...

-Kto jest za? - zapytał Gommorowski. - Kto jest przeciw? Kto się wstrzymuje? Nie widzę - zakończył słynnym zwrotem PRL-owskiego marszałka Stanisława Józwy Bezglowego.

W normalne dni oglądalność transmisji sejmowych nie przekracza kawałka procenta. Tym razem w momencie losowania sięgnęła 60 procent. Porzucili swoje ukochane kanały nawet miłośnicy telenoweli i notoryczni kibice teleturniejów.

Jeśli sama Opatrzność kierowała rączką dzieciny, to wykazała się wielkim poczuciem humoru, jeśli Siły Ciemności, to dużym sprytem. Z PO wyciągnięto Stefana Wiesiołowskiego i Janusza Moczypsa, z BiS-u Antoniego Macierenkę, z LSD Klawisza, z ludowców niejakiego Eugeniusza Ambarasika, a z Drugiego Millennium Ludwika Horna.

- Zapowiada się niezła zabawa - zgodnie stwierdzili komentatorzy od prawicy do lewicy.

W atmosferze szoku marszałek poprosił dziecinę o wylosowanie jeszcze przewodniczącego komisji. I wszyscy odetchnęli, gdy padło na Horna. Nie był człowiekiem aktualnej koalicji, ale z drugiej strony od pewnego czasu były „trzeci bliźniak” serdecznie nienawidził Indykiewiczów. Istniała szansa, że pokieruje obradami komisji w miarę obiektywnie.

- Odprowadźcie dziecko i odnajdźcie tę jego wycieczkę - powiedział marszałek, gratulując „sierotce” politycznego debiutu.

Straż ruszyła długim pustym korytarzem, trzymając dziewczynkę za rączki. W pewnym momencie dziecko zniknęło. Po prostu się zdematerializowało.

-Do licha! - powiedział jeden ze strażników, ten blejszy. - Słyszałem sporo o duchach w naszym parlamencie, ale to był najwyraźniej osławiony „duszek komuszek”.

- Cóż, wszyscy nieźle odegraliśmy swoją rolę - stwierdził drugi i dodał: - Przyjemnie mi było pana poznać.

Przepraszam, ale do tej pory nie miałem okazji spytać o nazwisko.

- Bronisław Pieracki. A szanowny kolega?

-Eligiusz Niewiadomski... Proszę, proszę, zgaduję, iż szanowny pan też zginął w gwałtowny sposób.

- Tak. Zabili mnie ludzie Stefana Bandery...

- A mnie zabito z wyroku Rzeczypospolitej.

Chwilę później obaj równocześnie zniknęli.

*

Wszystko wskazywało na to, że poszukiwanie Efraimowicza może być operacją zmuszoną. Wywiad wskazywał, że nie ma go w Rzeszowie, a jego apartament w miasteczku Wilanów strzeżony był pilniej niż fort Knox. Agentom Kaszany udało się ustalić, że ktoś jest w mieszkaniu, a może nawet kilka osób, ale kto, przekraczało możliwości niedoskonałej techniki. Wnętrze było ekranowane, odporne na podsłuch. Sąsiednie apartamenty zajmowali dyplomaci krajów, ogólnie biorąc, kontrowersyjnych - Libii, Iranu, Wenezueli i Białorusi. Tak więc gdyby u biznesmena uparł się koczować nawet Osama bin Laden, byłoby niezwykle trudno go stamtąd wyłuskać.

Sytuacja zmieniła się około 9.00. Lexus RX opuścił garaż, kierując się w stronę mostu Siekierkowskiego. Nieoznakowane auto podążyło jego śladem. Kaszana wrócił do centrali, po półgodzinie dołączył do niego Kłosiak, a nie minęły następne dwa kwadranse, gdy zjawił się sam minister Jacek Szeptański, pozostający w stałej łączności z premierem.

Emocje do czerwoności rozgrzały zdjęcia, z dachu jednego z bloków w Mińsku Mazowieckim, zrobione z użyciem czujników termowizyjnych dowiezionych błyskawicznie z nieodległego Rembertowa. Dowodziły one, że w środku samochodu znajdują się trzy, a właściwie cztery osoby...

- Jak to cztery? - zapytał Szeptański

Pokazano mu zdjęcie, które dotarło mailem. Kaszana wskazał czerwoną, podłużną plamę wewnątrz bagażnika i powiedział:

- To z pewnością nie jest pies ani baniak z zacierem, ale człowiek, który z musiał znaleźć się tam dobrowolnie.

- Czerwonka? - minister był wyraźnie podniecony.

-Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent!

- Mamy przynajmniej pojęcie, dokąd go wiozą?

- Może na wieczór autorski w Siedlcach lub Białej Podlaskiej - zażartował Kłosiak - ale moim zdaniem raczej do Brześcia.

- Na Białoruś. O kurwa!

- To właśnie chciałem panu powiedzieć.

- Ale czy na pewno celem Efraimowicza jest Białoruś? - upewniał się minister.

- Z samochodu odbyto dwie rozmowy z numerem prywatnym w Mińsku. Czy to może być przypadek?

Parę minut później minister stanu przekazał dotychczasowe ustalenia premierowi.

-Nie pozwolicie chyba wywieźć za granicę naszego szamana?! - zawołał niezwykle wzburzony Duck.

- Jeśli pan wyrazi zgodę, w każdej chwili możemy uniemożliwić mu tę zabawę. Planujemy zatrzymanie go na granicy.

-Nie chcę sensacji. Zróbcie to wcześniej.

-W takim razie - odparł Szeptański po krótkiej telefonicznej konsultacji z Klosiakiem - zatrzymamy go za Siedlcami, zrobimy blokadę i wylegitymujemy go, a przy okazji sprawdzimy bagażnik. Nie powinno być żadnych kłopotów proceduralnych. Wóz jest na naszej rejestracji, a Efraimowicz to polski obywatel, z którym możemy zrobić, co chcemy.

- A gdyby się mimo wszystko nie zatrzymał? - dopytywał Ronald.

Minister przekazał tę wątpliwość szefom ABW.

- To i tak nie ma szansy, żeby nam uciekł - odpowiedział Szeptański. - Aktualnie przierzucamy do Terespolu śmigłowcem nasz oddział antyterrorystów.

-Dobrze by było, gdyby akcję na miejscu kontrolował ktoś wtajemniczony - zauważył Duck.

- Już o tym pomyśleliśmy. Na ochotnika zgłosił się podpułkownik Kaszana.

*

Waldemar Kargul należał do ludzi wyjątkowo skromnych. Kiedy został pierwszy raz premierem, chodził w garniturku od pierwszej komunii i dopiero po paru dniach współpracownicy skłonili go, by zaszalał i kupił sobie kilka wystrzałowych ubrań z lumpeksu.

Jako „premier po raz drugi” zajeżdżał pod kancelarię starym polonezem i to tylko dlatego że dyżurny ekolog kraju nie zgodził się, aby na posiedzenia Rady Ministrów przybywać ciągnikiem. Ostatnio docierał do pracy kolejką podmiejską, co powodowało znaczne komplikacje, albowiem jeden ochroniarz musiał podążać polami na motorze, a drugi pilnować bezpieczeństwa Waldka od góry, szybując motolotnią. Trzeci po staremu niósł za wicepremierem teczkę.

Również udając się na poszukiwania czarownicy, pozostał wierny starym przyzwyczajeniom, dojechał do Hajnówki pociągiem (drugą klasą) i dopiero tam wziął

taksówkę. Taryfiarz prowadził niezłe, ale przyglądał się pasażerowi nader natarczywie, czego Kargul po prostu nie znośił.

-A co mi się tak przygląda? - zapytał wicepremier głosem płaskim jak piersi Keiry Knighthley.

Bo wydaje mi się, że znam pana z telewizji.

- Być może - odparł wymijająco, próbując chronić swoje incognito.

-Tylko z jakiego programu? - kombinował szofer. - Mam! Pan to jest ten, no... Ten aktor. Buster Keaton.

- Nie potwierdzam i nie zaprzeczam - mruknął wicepremier.

Położony w środku puszczańskiego interioru zakład Horpyna okazał się normalną agencją towarzyską. Fakt ten podkreślał przybity do drzwi cennik z wyszczególnieniem, że „studenci, księża i parlamentarzyści płacą połowę”. Ta okoliczność i myśl o ewentualnych paparazzich wprawiła Kargula w lekką panikę.

- Tu miała być kryjówka czarownicy! - wyjąkał.

-A jest, jest - uspokoił go taksówkarz. - Jednak działalność czarnoksiężka to proceder uboczny firmy. Wejście od tyłu - tu dodał konfidencjonalnie. - Po pewnym czasie wszystkie one zmieniają się w czarownice.

Horpyna w niczym nie przypominała wiedźmy z chatki na kurzej łąpie. Nie miała w sobie też nic z obiegowych opinii na temat bajzelmamy. Zadbana, elegancka, dysponowała doktoratem z psychologii i psychotroniki Uniwersytetu Kijowskiego i jak wyznała wicepremierowi, kurewstwo było interesem ubocznym, na marginesie studiów kulturoznawczych na temat magii, zielarstwa itp., które prowadziła w puszczańskim środowisku.

-Przede wszystkim pragnę pomagać ludziom! - oświadczyła i przeszła do rzeczy. - Co pana do nas sprowadza? Jakież zahamowania libido? Kłopoty ze wzwodem, przedwczesna ejakulacja?

Kargul zrobił się okropnie czerwony, tak jakby nadal chadzał w garniturku od pierwszej komunii, i powiedział, że jemu w zasadzie chodzi o burzę.

- O „Burzę”? Williama Szekspira czy Ilji Erenburga? - błysnęła erudycją Horpyna.

-Nie! Nie! O wywoływanie normalnej burzy, takiej z błyskawicami, piorunami...

-Niesamowite zamówienie! Z tego, co wiem z literatury, od blisko dwóch wieków nikt nie prosił o taką usługę żadnej z koleżanek z branży. Mniej więcej od czasu, kiedy Benjamin Franklin wynalazł piorunochron.

- To znaczy, że się nie da?

-A czyja mówię, że się nie da? Mogę spróbować. Tylko jeśli pozwoli pan, musiałabym wcześniej zajrzeć do literatury fachowej.

- Pozwalam.

Nie było jej dobre dwie godziny. Na koniec zjawiała się z naręczem pończoch i rajstop, w towarzystwie kilkunastu półnagich pańienek, z których każda, a był w tej branży fachowcem, mogła startować w konkursie Miss Polonia.

- Co się dzieje? - przeraził się Waldi. Po co ten tłum?!

- Autorytety w sprawach magii zgodnie mówią, że chcąc przywołać burzę, należy nakładać i zdejmować pończochy. Znam już odpowiednie zaklęcia, ale pomyślałam, że dla wzmocnienia efektu należy dokonywać zabiegu grupowo. Dziewczyny się zgadzają. A pan?...

- Chyba nie mam wyboru.

No i się zaczęło. Nakładano i zdejmowano, nakładano i zdejmowano... Kargul był coraz bardziej czerwony, a burzy ani śladu. Na koniec, kiedy dziewczyny wzięły się za zdejmowanie majtek, coś wreszcie zaczęło się dziać. Nieoczekiwanie pojawiła się za oknem mgła. Gęstniejąca z każdą chwilą, wciskająca się również do pomieszczenia...

- A gdzie pioruny? - niepokoił się wicepremier.

Tymczasem utonawszy w onej mgle, przestał widzieć cokolwiek. Poczuł tylko, jak ktoś zdejmuje mu krawat, inny rozpiną guziki jego koszuli, jeszcze inny szarpie za pasek.

- Czarna magia! - przeraził się, myśląc o ucieczce. Ale patrząc na otaczające go mleko i czując rozmaite miłe zabiegi młodocianych adeptek czarnoksięstwa, doszedł do wniosku, że niech się dzieje, co chce. Burzę ma zagwarantowaną w domu, natomiast księdzu na spowiedzi powie, że była to magia jak najbardziej biała. No... powiedzmy, różowa!

*

Jadąc ulicą Żwirki i Wigury po odbiór Miziaka, Brygida Jarmuła zauważyła gęstniejącą mgłę. Nie wróżyło to dobrze planowi lotów. I faktycznie, wieczorny samolot z Frankfurtu najpierw został zapowiedziany jako opóźniony, a następnie pojawiła się informacja, że wyląduje w Łodzi. Niestety i tam warunki atmosferyczne okazały się nie najlepsze, podobnie jak wPyrzowicach i podkrakowskich Balicach. W efekcie okrążywszy sporą część Polski, maszyna szczęśliwie wylądowała w Rzeszowie.

Było zbyt późno, by załapać się na jakikolwiek środek transportu, toteż dzielny funkcjonariusz postanowił spędzić noc w miejscowym hotelu, na wprost pomnika popularnie

nazywanego Vaginą, a następnie skoro świt ruszyć do Warszawy. Na wszelki wypadek pociągiem.

-Nie masz co się śpieszyć - powiedziała pani podkomisarz - parę godzin temu rozmawiałam z doradcą Kaszany.

Podobno odzyskanie szamana to teraz kwestia godzin albo nawet minut.

- A co w takim razie z naszym wyjazdem do Egiptu? - przytomnie zapytał Miziak.

-Nie sądzę, aby w tej sytuacji resort był gotów zafundować nam wycieczkową wycieczkę.

X.

Przyśpieszenie

NOC Z WTORKU NA ŚRODĘ

Operacja zatrzymania Efraimowicza nie przebiegła tak, jak zaplanowali ją szefowie ABW. Zaraz za Siedlcami na widok ustawionej blokady kierowca lexusa jeszcze przyspieszył i prześlizgnął się między samochodami ustawionymi tak niefachowo, że pozostała między nimi dość spora luka. Stojących w prześwicie policjantów przed niechybną śmiercią uratował skok do rowu. A wóz Efraimowicza rwał dalej.

- Skurczygnat! Na co on liczy? - skomentował Klosiak śledzący akcję za pośrednictwem obrazu przekazywanego przez kamerę zamontowaną w śmigłowcu.

W dodatku zaraz potem ktoś zadzwonił z lexusa na Białoruś, a następnie wybrał numer moskiewski. Samych rozmów dzięki nieznanemu systemowi kodowania nie udało się podsłuchać.

Luksusowy wóz nie zatrzymał się również na kolejnej blokadzie ustawionej w Międzyrzeczu. Zaparkowaną w poprzek drogi ciężarówkę wyminął, jadąc polem.

- Idioci! Smętni kretyni! - pieklił się Klosiak. Dlaczego nie postawili zapory na moście?!

Do granicy było coraz bliżej i czas na łagodne rozwiązania gwałtownie się kurczył. Antyterroryści zajęli stanowiska parę kilometrów przed Terespołem, w lesie.

- Nie patyczkować się - padł rozkaz z centrali.

Kiedy pędząca maszyna pojawiła się w polu widzenia, dowódca dał rozkaz do ostrzegawczej serii. Co skwapliwie zrobiono. Reakcja była zdumiewająca, z lexusa odpowiedziano ogniem z broni automatycznej. Tego już było za wiele.

- Po oponach! - padł rozkaz. - Oszczędzać bagażnik!

Zaterkotały strzały. Jeden musiał chyba trafić kierowcę, bo wóz zatańczył na szosie, potem wykonał akrobatyczną figurę, jakiej nie powstydzono by się na autorodeo, przeleciał przez rów i wylądował na drzewie, na którym już wcześniej skończyło życie paru kierowców i motocyklistów.

Antyterroryści podbiegli do wraka. Kierowca, który mocno oberwał w głowę, był nieprzytomny i krwawił jak zarzynane prosię. Jednak główny impet uderzenia przyjął na siebie siedzący na fotelu pasażera mężczyzna słusznej tuszy. Nie pomogły liczne poduszki powietrzne, tym bardziej że uderzenie wbiło mu trzymany w rękę kałasza w oko. Pasażerowie z tyłu okazali się lżej ranni, Efraimowicz kłął i szarpał się, obiecując antyterrorystom, że zapamiętają ruski miesiąc. Jego kompan konsekwentnie milczał.

Kaszana, który pięć minut później wylądował helikopterem na polu, dobiegł do lexusa w momencie, w którym funkcjonariuszom wreszcie udało się otworzyć zablokowany bagażnik. Mieli nadzieję znaleźć tam Czerwonkę. Rozczarowali się.

- Cholera, baba! - zawołał któryś z nich.

Zdumienie Kaszany stało się jeszcze większe, kiedy w zakneblowanej i związanej blondynie rozpoznał Weronikę Iwan, liderkę białoruskiej opozycji, która przed kilkoma dniami zbiegła do Polski i jeszcze wczoraj udzieliła paru wywiadów prasowych, piętnując niegodziwość reżimu Kukaszenki.

To nie był koniec zaskoczeń. Sprawdzając dokumenty martwego grubasa z przedniego siedzenia, znaleziono jego paszport dyplomatyczny na nazwisko Kirył Bogomołow.

-No to mamy ładny pasztet - zameldował Kaszana Kłosiakowi. - Szukając szamana, załatwiliśmy mimochodem jego ekscelencję, konsula Białorusi w Warszawie.

*

Szeptański wiedział, że mają poważny kryzys. Międzynarodowy. Tym bardziej że zatrzymanym milczkiem okazał się rezydent GRU w Warszawie. Na wszelki wypadek na razie nie informował o tym Ducka.

Wyglądało na to, że operacja porwania Weroniki Iwan została skoordynowana przez jednostki Związku Rosji i Białorusi i przeprowadzona tak sprawnie, że nikt nie zauważył zniknięcia opozycjonistki z hotelu. Jej ochrona potraktowana jakimś środkiem odurzającym spała jak zabita. Tylko jaki miało to związek z zaginięciem Czerwonki? Żaden.

Efraimowicz, który przewieziony śmigłowcem do Warszawy zrobił się zdecydowanie bardziej rozmowny, twierdził, i nie było powodu, by mu nie wierzyć, że nigdy nawet nie słyszał o żadnym szamanie. Co do jego wizyty we Wrocławku przed dwoma tygodniami sprawa była wręcz trywialna.

Mieszkała tam jego kochanka, matka trzyletniego dziecka, które spłodził podczas wakacji na Lazurzym Wybrzeżu. Jako dobry ojciec spędził z potomkiem i jego matką wieczór oraz znaczną część nocy, podczas gdy kierowca czekał w wozie.

Jeśli idzie o porwanie Weroniki Iwan, biznesmen zaklinał się, że nie miał pojęcia, jak kobieta znalazła się w bagażniku. Konsul Bogomołow prosił go o zwykłą przyjacielską przysługę, podrzucenie do Brześcia. Nie widział powodu, aby mu odmówić. Zresztą ma po drugiej stronie granicy parę swoich fabryk i zamierzał je odwiedzić. Nie był świadkiem ładowania bagaży Białorusina do bagażnika i po informacje na ten temat odsyłał do swego

kierowcy. Było to o tyle wygodne, że szofer właśnie zmarł w szpitalu. Co do faceta z GRU posługującego się nazwiskiem Majewski Efraimowicz twierdził, że jest to jego partner biznesowy, z którym jechał dopinać ważny kontrakt. Powtarzał przy tym:

- Możecie być pewni, zerwanie tej umowy narazi Skarb Państwa na gigantyczne straty!

Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej jasne, że incydent będzie miał daleko idące konsekwencje. Z jednej strony ujawniono akt piractwa z udziałem dyplomatów, z drugiej doszło do śmierci człowieka posiadającego dyplomatyczny immunitet.

Szeptański miał panikę w oczach. Posiadał prawo alarmowania premiera tylko w naprawdę wyjątkowych okolicznościach. I kiedy wreszcie się odważył na ten krok, dowiedział się, że Duck zażył silne środki nasenne i po prostu jest nie do obudzenia. W tej sytuacji postanowił jak najrychlej porozumieć się z ministrem spraw zagranicznych i wypracować wspólnie jakąś linię postępowania. To też nie było łatwe. Ekskandydat na prezydenta RP Radwan Wróbelki spotkał się poprzedniego wieczoru z młodzieżowym aktywem w bieszczadzkim ośrodku w Arłamowie, apelując, aby się jeszcze nie rozchodzili, bo mogą mu się jeszcze przydać. Potem w węższym gronie wypalił jointa ze znakomitej afgańskiej marihuany, i obecnie również spał jak zabity. Mimo to Szeptański kazał go reanimować i wieść jak najszybciej do Warszawy.

- Jaką przyjmujemy strategię wobec mediów, jeśli dowiedzą się o incydencie? - pytał go zerwany z łóżka rzecznik Paweł Struś.

- Póki się da, sugerowałbym chowanie głowy w piasek.

Taką samą taktykę zalecono resortom siłowym. Toteż kiedy koło 4.00 zadzwoniono z Brześcia, pytając, czy polska policja nie wie nic o konsulu Bogomołowie, który wyruszył z Warszawy przed sześciu godzinami i dotąd nie przekroczył granicy, organa poszły w zaparte: „Nic nie wiemy, na drodze E-30 nie było żadnego wypadku. Krótkotrwały objazd, który pojawił się krótko po północy wywołany był koniecznością napraw drogowych” Czy taka taktyka mogła zagwarantować skanalizowanie sytuacji? Mogła, ale nie musiała.

Kiedy o 8.00 w środę na tajnej naradzie spotkał się komitet kryzysowy z niewyspanym premierem, nieprzytomnym ministrem spraw zagranicznych i nieświadomym niczego ministrem obrony Bogdanem Kielichem, jego uczestnicy nie wiedzieli jeszcze najgorszego. Od piętnastu minut na stronie internetowej „Niezależnego Periodyku Polskiego” wisiał fotoreportaż z miejsca wypadku z krótkim, acz treściwym komentarzem redaktora naczelnego.

Jan Maliszewski był fotografikiem specjalizującym się w zdjęciach nocnych ptaków. Jego „Ruja głuszców” otarła się nieomal o World Press Photo, a „Orzeł bielik rozszarpujący królika” trafił do reklamy pewnej firmy z hasłem „Duży może więcej!”. Ostatnimi czasy szczególnie fascynowały go sowy pójdzki. Wykrył nawet ich ostoję w rejonie starego cmentarza niedaleko szosy brzeskiej. Zbudował sobie specjalną ambonę na drzewie i czatował na swe modelki już drugą noc. Podobno głos tego gatunku sów słyszany na krótko po północy w cmentarnej scenerii to zapowiedź nagłej i niespodziewanej śmierci.

A Maliszewski nie był przesądny. Aż do tej nocy. „Pójdz, pójdz, pójdz” - zawodziła sowa. I kiedy był naprawdę bliski jej zlokalizowania, usłyszał warkot helikoptera. To go zdenerwowało. Kiedy chwilę potem zobaczył uzbrojone postacie zajmujące stanowiska wokół drogi, natychmiast zwyciężył w nim instynkt fotoreportera. Zmienił teleobiektyw, zamontował aparat na statywie, a potem już tylko cykał. Być może gdyby należał do współpracowników „Gazety Wybiórczej” Adama Pysznika, jego dokumentalna seria nie ujrzałaby światła dziennego. Jednak gorące serce fotografa biło zdecydowanie po prawej stronie, a w dodatku należał on do aktywnych członków klubu „Niezależnego Periodyku Polskiego” w Siedlcach.

Toteż o szóstej rano gotowa seria zdjęć trafiła do wydawcy portalu. Pół godziny później obudzony ze snu Tomasz Workiewicz, naczelny „NPP”, ze zdumieniem mógł oglądać fotografie wraku samochodu otoczonego przez antyterrorystów i dominującą wśród nich charakterystyczną postać podpułkownika Kaszany. Inne zdjęcia ukazywały dwóch mężczyzn skuwanych kajdankami, ciała, ich ładowanie w pokrowce, a na koniec wyciąganą z bagażnika i pozbawianą knebla Weronikę Iwan - Joannę d’Arc współczesnej Białorusi.

Nie zdradzając materiału, który miał w garści, zadzwonił do PAP-u, a potem do Agencji Błogostanu Wewnętrznego. Niezadługo miał gotowy komentarz do zdjęć: „Akcja, której nie było”.

O ósmej piętnaście naradę sztabu kryzysowego z udziałem premiera oraz szefów MON-u i MSZ-u przerwał rzecznik Struś, który wpadł, wołając, że rozmowy o utajnieniu nie mają sensu, bo cały przebieg akcji wisi już na portalu „NPP” i każdy może go zobaczyć.

- Zablokujcie tych drani! - wrzasnął Duck.

-Za późno. Przed chwilą informacja znalazła się na portalu „Respubliki” jest też na Wirtualnej RP. Musielibyśmy zablokować cały Internet.

Ronald już miał zawołać „Ile to roboty!”, ale właśnie pojawił się rozedrgany pan Turecki. Dzwoniono z CNN. Nocna akcja ABW zakończona odbiciem wprowadzonej białoruskiej

opozycjonistki i ujęciem rosyjskich szpiegów miała być głównym tematem Broken News. Za chwilę odezwało się też krajowe TKN24. Redaktor Grzesio Kańcugow krygując się i przeprasząc, twierdził, że nie chce, ale musi; skoro inni ruszyli temat, im też nie wypada nabrać wody w gębę. Zwłaszcza kiedy ciągle wmawia się stacji, że jest sterowana przez byłych tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa. Najgorsze jednak było przed Duckiem.

O 8.30 zadzwonił ambasador Federacji Rosyjskiej, żądając w trybie natychmiastowym wyjaśnień w sprawie zatrzymania dyplomaty tak bardzo zasłużonego w kontaktach polsko-rosyjskich. Trzy minuty później ciągle niezupełnie przytomny Radwan Wróbelki dostał druzgocącego SMS-a od ministra spraw zagranicznych Białorusi. Chcąc jakoś rozładować sytuację, zwrócił się pół żartem, pół serio do ministra Bogdana Kielicha.

- Ile wytrzymają nasze siły zbrojne, jeśli Alek Kukaszenka wypowie nam wojnę?

- A skąd ja mam wiedzieć? - jęknął szef Ministerstwa Obrony Narodowej. - Z zawodu jestem przecież tylko lekarzem psychiatrą.

ŚRODA

Brygida Jarmuła postanowiła się raz porządnie wyspać. Nie udało się. Przed 9.00 obudził ją telefon od ojca.

-Narozrabiłaś, sreberko.

- Ja, gdzie?

-Nie mów mi, że nie wiesz, co się dzieje!

- Nic nie wiem. Śpię.

- To włącz CNN, obejrzyj, a potem zadzwoń do mnie.

W hotelu nie było CNN, musiała się zadowolić swojską TKN24. Ale i tam doniesienia o odbiciu Weroniki Iwan i zatrzymaniu Igora Efraimowicza zdominowały cały program, choć politycy koalicji milczeli w tej sprawie jak zakłęci. Bezradni dziennikarze twierdzili, że żaden z nich, tak zazwyczaj rozochoconych parciem na szkło, nie odbiera telefonu.

Duma i wściekłość, te dwa sprzeczne uczucia wypełniły duszę pani podkomisarz. Z tym że już po chwili wściekłość zaczęła przeważać.

Dlaczego jej nie było w oku cyklonu? Dlaczego nikt jej nie poinformował, a przynajmniej nie podziękował?

Po pierwszych komentarzach zaczęła patrzeć bardziej krytycznie. Afera zapowiadała się na gigantyczną, jednak nic nie wskazywało na jej związek ze zniknięciem Czerwonki. Możliwości rysowały się dwie. Albo sprawy nie były ze sobą związane i niechęć wpakowała ABW na potężną minę, albo Czerwonka już od dawna przebywał gdzieś w trzewiach euroazjatyckiego molocha, który postanowił wykorzystać jego umiejętności do swoich własnych imperialnych celów.

Chcąc podzielić się z kimkolwiek swoją opinią, próbowała połączyć się z Kaszaną, ale pułkownik był „czasowo niedostępny”. Z kolei komórka Miziaka wyraźnie nie lubiła pociągów, bo szwankowała, połykając co drugie słowo.

Do ojca zadzwoniła po czterdziestu minutach.

Zauważyła, że Jarmuła jest mocno zaniepokojony, co nie zdarzało mu się często.

-Kiepska sprawa, kiepska sprawa! - mruczał.

-Ależ tato, zaszła ewidentna pomyłka, która na pewno zostanie wyjaśniona i zatuszowana; media ucichną i wszyscy zapomną o sprawie.

- Sądziysz? Mało znasz naszych sąsiadów. Mnie życie nauczyło, że wielkie problemy zaczynają się od spraw drobnych. Gdzieś nie dowieźli napojów chłodzących, jakiś minister pomylił raporty wywiadowcze...

- Więc co, twoim zdaniem, może z tego wyniknąć?

- Może wszystko, może nic. W każdym razie zamierzam zwiększyć zapasy mąki, cukru, spirytusu i benzyny w mej spiżarni.

W sytuacjach kryzysowych najważniejsza jest koordynacja działań propagandowych, tym trudniejsza, gdy oficjalne autorytety milczą, a wróg okopany na prawicowych przyczółkach permanentnie knuje.

Opiniotwórcza czwórka: Oliwia Mazut, Tomasz Kuna, Jerzy Turban i Adam Pysznik spotkała się w trybie pilnym, w małej, dla niewtajemniczonych nieczynnej pizzerii położonej nieopodal stacji TKN24, na skraju osiedla określanego w stolicy mianem Zatoki Czerwonych Świń.

Sprawa komisji śledczej, której obrady miały się rozpocząć przed południem, a nie mogły się rozpocząć z racji pieniackich działań BiS-u, które domagało się od premiera wyjaśnień w sprawie incydentu pod Terespołem, zeszła na dalszy plan.

-Kierownictwo naciska, abym poruszyła taktownie sprawę w mojej dzisiejszej „Kresce nad o”, tylko że nikt nie chce ze mną na ten temat rozmawiać - żaliła się przebojowa dziennikarka.

- Kompletnie nikt? - zdziwił się redaktor Kuna.

-Nikt poważny. Oczywiście zgłosił się na ochotnika Stefan Wiesiołowski. Ale w obecnej sytuacji równie dobrze mogłabym zaprosić małpę z brzytwą. Zresztą wiadomo, co powie, że za wszystkim kryją się mętne działania BiS-u.

- Kochachany wariat, ale ma dużo raracji - powiedział Pysznik. - Wiadomo, kto od lat grał na polsko-rosyjskich resentymentach. Nasz komentarz, jeśli w ogóle go damy, będzie brzmieć: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”

- Co do odpowiedzialności historycznej, zgoda - rzekł Kuna. - Pozostaje jednak kwestia, jak doraźnie wybrnąć z sytuacji, której dotychczasowy przekaz jest dość ewidentny. Dyplomaci przyłapani na gorącym uczynku w trakcie nielegalnej operacji na naszym terytorium, opozycjonistka wywożona w bagażniku...

-Nie histeryzuj, kochany - Oliwia zrobiła minę, jakby siedzący obok kolega puścił bąka.

- Ronek i Radek ze swoim wdziękiem udobruchają sąsiadów.

- Gorzej będzie z własnym społeczeństwem.

- Mój drogi - włączył się redaktor Turban nazywany swego czasu „Goebbelsem Stanu Wyjątkowego” - wiesz, co powinien robić mąż przyłapany przez żonę in flagranti z kochanką...

- Konsekwentnie zazaprzeczać - wyrwał się Adaś Pysznik, bądź co bądź w tej materii praktyk.

- Tak jest! To, że dyplomaci wszystkich bez wyjątku państw (z Watykanem na czele) są szpiegami, wie każde dziecko, więc nie jest to żadna sensacja. Co do wspomnianej opozycjonistki, przy odrobinie trudu można by zrobić z niej wariatkę, która w nienawiści do Kukaszki sama związała się i zakneblowała, po czym wślizgnęła do bagażnika... Gdybyś tylko, Oliwijko, wzięła ją w swoje obroty i wykazała, że jest zaciętrzewioną kretynką, niepanującą nad nerwami...

- Ludzie tego nie łykną - odparła pani Mazut, odrzucając nerwowym ruchem grzywę swych rozpuszczonych włosów. - Poza tym za dwie godziny ma się odbyć konferencja prasowa Weroniki Iwan. Kiedy ta oszołomka zrelacjonuje przebieg porwania i jeszcze się rozplacze na wizji, żadna siła nie zatrze tego wrażenia.

-Dlatego, moim zdaniem, należałoby nie dopuścić do takiej konferencji - stwierdził Turban. - Istnieją na to stare, dobre metody. Gdzie ma się odbyć ten sabat?

- W hohotelu Nike - podpowiedział Pysznik.

-No to trzeba zamknąć hotel z powodu odszczurzania. Hanka Tango-Winiary ma chyba jakiś wpływ na Sanepid.

- A jak uspokoić konflikt z sąsiadami? - niepokoila się dziennikarka. - W ich serwisach pojawiły się przerażające akcenty antypolskie.

-Ależ; droga stokrotko, nie gogorączkuj się - Adaś puścił do niej oko. - To się da załatwić. Radwan z pewnością już uruchomił swych dyplomamamotołkow. Potem sam spotka się z naszymi aktualnie rozindycznymi przyjaciółmi. Zatrzymanych dyplomatów cichcem się zwolni. A niech tylko ruszy ta komisja śledcza. Materiałów do odwrócenia uwagi nie zabraknie. Słyszałem, że w Suwalskiem wkrótce pojawią się kręgi w zbobożu.

- Skąd wiesz, że się pojawią?

- Bo już dziś ochochotnicy wydeptują oziziminię.

- Tylko na razie komisja nie może ruszyć przez obstrukcje BiS-u - zauważył posepnie Kuna. - Lewizna też zwietrzyła w tym swój interes i pcha kij w szprychy.

Nagle rozległy się pierwsze takty „Do woja, marsz do woja”. Turban wyciągnął swoją pozłacaną komórkę.

- Cholera! - syknął.

- Co się stało? - zaniepokoił się Pysznik.

- Za kwadrans „większy Indyk” zamierza wygłosić oświadczenie.

*

Przemówienie Lecha Indykiewicza nosiło wszelkie znamiona improwizacji. Orzeł za prezydentem miał dziób zwrócony w nieprawidłową, acz wymowną stronę, flaga odwrócona czerwonym do góry do złudzenia przypominała sztandar księstwa Monaco. Na twarz zabrakło pudru, tak że nos Lecha świecił się jak księżyc w pełni, a kamera brała go w sposób tak szczególny, że widać było, jak nóżki obute w papucie merdają się ponad podłogą. W dodatku ktoś musiał ustawić za daleko prompter, więc im bardziej wysiłał swe oczy, tym mniej mógł przeczytać. Chyba dlatego po dwóch zdaniach dał spokój i zaczął mówić z głowy i od serca.

-Największym naszym dobrem jest suwerenność. Suwerenność to możliwość gospodarowania we własnym domu bez ingerencji z zewnątrz. To siła płynąca z naszej gotowości obronnej i z naszych sojuszków. Nie może być powrotu ani do czasów saskich, ani do wasalnego PRL-u. Polska nie będzie karczmą zajezdną, w której obce służby mogą buszować jak drapieżniki w mętnej wodzie. W tym miejscu składam hołd naszym oficerom i funkcjonariuszom za wykonanie patriotycznego obowiązku. Jednak świadomość własnego bezpieczeństwa to dziś nie wszystko. Nie może być bezpiecznej Europy bez solidarności z innymi narodami, które dopiero wybijają się na niepodległość. Kiedy myślę o wydarzeniach

ostatniej nocy, owym bezprzykładnym, acz na szczęście udaremnionym porwaniu, przypomina mi się inne porwanie sprzed trzech wieków. Pułkownika Ludwika Kalksteina-Stolińskiego, wywiezionego cichaczem z Warszawy przywódcy pruskiej opozycji, straconego w roku 1672. Królem Polski był wtedy Michał Korybut Wiśniowiecki. Wiemy, jaki to był monarcha... Zabrakło woli, aby upomnieć się o dzielnego szlachcica. A przecież nawet niewielka operacja mogła doprowadzić w konsekwencji do inkorporacji słabych wówczas Prus i likwidacji przyszłego zagrożenia dla Rzeczypospolitej, a w efekcie całej Europy. Niestety, za zaniedbania jednej generacji następne płacą z naddatkiem...

- Co on, kurwa, wojnę światową chce wywołać? - Duck obserwujący przemówienie na swojej panoramicznej plazmie walnął pięścią w stół. Aż pospadały kufle.

-Nie denerwuj się, Roniek - uspokajał minister Wróbel. - Mówi, co mówi. I to nawet dla nas dobrze.

-Dobrze? Ty wiesz, jaka jest sytuacja? Wychodzimy z siebie, żeby jakoś załagodzić sprawę, a on potrząsa szabelką i wręcz zachęca do krucjaty na Białoruś!

-I z każdą chwilą obiektywnie działa na naszą korzyść! Na tle takiego rozindyczonego jastrzębia my wydawać się będziemy gołębiami dążącymi do zgody. Poza tym odrobina twardości w negocjacjach nie zawadzi...

-Nie będziemy teraz dyskutować o patriotyzmie Indykiewicza, Wróbel! Mamy konkretną sytuację i musimy jakoś z niej wybrnąć.

-Wiem, jak ja bym z tego wybrnął, gdybym był na twoim miejscu - odparł, czując przyływ sarmackiego ducha Radwan.

- Ciekawe?

- Odesłałbym do domu ambasadora Białorusi z żądaniem ukarania wszystkich sprawców oraz inspiratorów porwania.

- Boże!

- Wydalił najbardziej aktywnych w procedurze szpiegowskiej dyplomatów rosyjskich.

- Jezu!

-I nakazał Czerezwyczajce Bez Apelacji czy temu, co zostało z tej niedorzęcznej watahy, przyjrzenie się pilnie dwu narodowym biznesmenom i ich działalności w Polsce.

-Chyba upadłeś na mózg! - owcze zazwyczaj oczy Ducka zmieniły się w wilcze i zdawały miotać pioruny.

-Nie zdajesz sobie sprawy, jaką mamy sytuację? Tak moglibyśmy się zachowywać, gdybyśmy byli mocarstwem.

-Zgoda, trochę pozartowałem, ale nie demonizujemy naszego położenia. Jesteśmy w końcu w sojuszach z największymi.

- Jesteśmy? No to posłuchaj, rozmawiałem z Jurkiem Guzkiem - premier włączył magnetofon.

„Nie możemy liczyć, że Unia kiwnie w tej sprawie choćby palcem. Jest zaangażowana w poprawianie stosunków z Białorusią i czeka na wizytę Butina w Brukseli...”

„Chodzi jedynie o moralne wsparcie, Jurek! Dokonano aktu piractwa”.

„Mnie nie musisz przekonywać, Ronek, ale takie są realia. Van Rympałek ma swoją ideę włączenia Rosji do Unii, a „czerwona baronessa” od spraw zagranicznych posiada moim zdaniem honorowe członkostwo Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Właśnie załatwiłem parę posad dla Polaków w centrali, a teraz miałbym to wszystko popsuć?”

- Oto nasz człowiek w Brukseli - Duck tylko westchnął i wyłączył magnetofon.

- Jest jeszcze NATO i Stany Zjednoczone! - nie ustępował Wróbelki.

- Znowu żartujesz. Cały ranek próbowałem dodzwonić się do Buraka Obejmy.

-I co?

-Inic. Najpierw jeszcze spał. A potem pobiegł joggingować dookoła Białego Domu. Spróbowałem się połączyć z Narkozym. Odebrała jego piękna żona i kwadrans zanudzała mnie opowieściami o swoich ostatnich nagraniach...

- A Angela Cyrkiel?

- Pani kanclerz pojechała na piknik z ziomkowcami i siedzi sobie teraz na kocyku z Eriką Goldbach... Nic z tego, przyjacielu. Musimy postępować na miarę naszych możliwości. Trzeba rokować. Umówiłeś się z ministrem Siergiejem Monastyrowem?

- Jakoś się udało. Moja żona zadzwoniła do żony Butina... I minister gotów jest spotkać się ze mną jeszcze dziś. Akurat przebywał w Mińsku. Polecę, udobrucham go!

-Mam nadzieję, Radwan, że będzie to spotkanie incognito. Jeszcze tylko brakuje mi zarzutów, że prowadzę tajne konszachty z Ruskimi.

-Jak najbardziej incognito. Wstępny plan jest taki: śmigłowiec zabierze mnie do Białodziury, a stamtąd przejedziemy do pałacyku w ich części Puszczy Białodziurskiej. Jest możliwe, że pojawi się w nim sam Kukaszka. Będzie więc można osiągnąć dwa w jednym.

- Puszcza? - skrzywił się Ronek. - Czy to dobre miejsce?

- Doskonałe, gdy w grę wchodzi ważne rozwiązania. W końcu przecież właśnie tam rozwiązano Związek Radziecki.

-Nie rób sobie jaj, Radwan, tylko załatw sprawę. Zatrzymani szpiedzy... Znaczą chcieli powiedzieć, dyplomaci, muszą być zwolnieni...

- Już zostali zwolnieni.

- A co z tą Iwan? Jeśli będą się domagać jej ekstradycji...?

-Wydać jej, nie wydamy, ale wyślemy ją, pokrywając koszty, do Brukseli. I niech tam się martwią.

- Dobrze gadasz - Duck w pierwszej chwili chciał ucałować swego ministra, ale doszedł do wniosku, że Radwan i tak ma przewrócone w głowie. A w Polsce było miejsce tylko na jednego Męża Opatrznościowego, którym był on sam. Dlatego dorzucił tylko jedno: - Dodam ci mocne wsparcie podczas tej wyprawy.

-Wsparcie? - Radwan skrzywił się, jakby ktoś chciał mu włożyć jakąś żabę do buta. - Chcesz, żeby pojechał ze mną minister Szeptański?

- Ależ nie. Dam ci doradcę, który doskonale zna tych ludzi i tamte strony.

To mówiąc, kazał doprosić czekającego od pewnego czasu w przedpokoju Wołodę Cichoszewicza.

A potem już całkiem spokojnie zaczęli wymieniać uwagi o możliwych najciekawszych meczach piłkarskiej środy.

*

Brygida wyszła na miasto pod wrażeniem wystąpienia prezydenta. Nie zwróciła nawet uwagi, że ostatnie zdanie zostało przerwane, aby podać informację o narodzinach sześcioraczków na Dolnym Śląsku. Rozpierała ją energia, która nie znajdowała ujścia. Do odebrania Eryka z Dworca Centralnego pozostało jej jeszcze półtorej godziny. Zostawiwszy wóz na parking, postanowiła przejść się Traktem Królewskim, a potem wcisnąć się na konferencję odbitej Białorusinki. Wprawdzie zdążyła jeszcze wysłuchać informację, że zapowiadany briefing z powodu zamknięcia hotelu Nike przez sanepid się nie odbędzie, ale zadzwoniwszy do Magdy, uzyskała informację, że jednak odbędzie się, tyle że na parking przed hotelem.

Jarmuła nie interesowała się polityką. Z przekory wobec ojca w 2005 roku głosowała na BiS, ale w 2007 zwróciła się ku Partii Obiecanek. Indykiewiczze ją drażnili, chociaż przyznawała im rację, gdy chodziło o imponderabilia, politykę historyczną czy zagraniczną. Tak jak dziś.

Potem pomyślała o dzielnej kobiecie z Białorusi i brzemieniu, które na siebie wzięła. Zastanawiała się, czy ona sama sprostałaby sytuacji, w której ktoś zagiąłby na nią parol? Ta myśl tak ją zaskoczyła, że instynktownie przyspieszyła kroku.

Minęła już bramę uniwersytetu, kiedy coś ją podkusiło, aby obejrzeć się za siebie, i zobaczyła, jak z ulicy Kopernika zakręca w Krakowskie Przedmieście ogromna cysterna z napisem „propan-butan”. „Jak się tu znalazła i kto wpuścił ją na teren ograniczonego ruchu?” - zaczęła się zastanawiać. „A przede wszystkim dokąd zmierza?” Szósty zmysł uruchomił w jej głowie dzwonki alarmowe. Tymczasem wielki samochód minął ją, stanął na czerwonym świetle i wrzucił kierunkowskaz w lewo. W perspektywie ulicy Królewskiej widać było kawałek placu Piłsudskiego i gęstniejący tłumek przed hotelem Nike. Nie wahała się ani chwili. Wspięła się na stopień i szarpnięciem otworzyła drzwiczki szoferki.

- Wysiadać, policja! - zawołała, wskakując na siedzenie obok kierowcy.

Szofer, kurdupel o żółtawej, kałmuckiej twarzy, nie zdążył zareagować. Nie był w pasach, więc silnym pchnięciem wyrzuciła go na asfalt. Razem z nim wypadł pistolet automatyczny. Nieźle! Pół sekundy zastanawiała się, co jest ważniejsze: kierowca czy samochód. Oceniała, że samochód. I słusznie. Poniżej kierownicy zobaczyła mechanizm detonatora, nastawiony na dziesięć minut. Na szczęście kałmuk nie zdołał go zaktywować. Wyskoczyła z samochodu, nie zważając na trąbienia aut i autobusu. Co sił w nogach popędziła za draniem, który kuśtykając, umykał w stronę hotelu Pistol.

Byłaby go dopadła, kiedy z Karowej z wściekłym Rykiem wypadł motocyklista w kasku, porwał za kark kałmuka i usadziwszy go przed sobą jak dzieciaka, pognał z powrotem w dół, ku Wiśle. Podkomisarz zawróciła do cysterny, bojąc się myśleć, co by było, gdyby ktoś aktywował zapalnik zdalnie. Taka bańka wybuchając w środku miasta, mogłaby wywołać straty porównywalne z eksplozją walizkowej bomby atomowej.

Czekali już na nią strażnicy miejscy zwabieni przez ogromniejący korek. Machając legitymacją, nie dała im otworzyć ust.

- Cysterna jest zaminowana. Wezwijcie saperów i zabezpieczcie teren. - komenderowała.

O dziwo, usłuchali.

Zastanawiała się, czy pójść do pani Iwan i posiedzieć jej, jaką niespodziankę szykowali jej ziomkowie, a może pobratymcy. Ale zrezygnowała. Tym bardziej że była już spóźniona na spotkanie z Erykiem. Prawie biegnąc, zadzwoniła do Kaszany.

*

- Ta dziewczyna jest nadzwyczajna, po prostu nadzwyczajna! - meldował podpułkownik Kaszana Krzysztofowi Klosiakowi o najnowszym osiągnięciu podkomisarz Jarmuły. Saperzy

już zabrali się za śmiercionośną cysternę i wyglądało na to, że policjantka uchroniła rejon placu Piłsudskiego przed gigantyczną katastrofą. Zdołano już ustalić, że beczkowóz skradziono zaledwie trzy godziny wcześniej, a sprawcy pozostawali nieznanymi.

-Rzeczywiście jest nadzwyczajna - zgodził się Klośiak. - I nadzwyczajne są kłopoty, jakie sprawia.

- Przystanie sprawić - stwierdził uspokajająco Kaszana.

- Tak? - szef popatrzył uważnie.

- Jutro skoro świt wysyłam naszą dzielną parkę do Egiptu w poszukiwaniu człowieka, który prawdopodobnie wie, co stało się z Czerwonką.

- Świetnie i niech przebywają tam jak najdłużej!

Nie kontynuowali tego tematu. Dla obu było jasne, że przy wszystkich kosztach lepiej byłoby, gdyby pani Iwan zniknęła raz na zawsze, albo jeszcze lepiej gdyby w ogóle się nie pojawiła. A tak, mieli kłopot.

W centrum kryzysowym rządu tymczasem nadal gorączkowo radzono, co zrobić z wrażeniem, jakie wywołało wystąpienie prezydenta i może wywołać konferencja liderki białoruskiej opozycji. Na komisję śledczą nie można było liczyć. Spotkanie inauguracyjne ustalono na czwartek. A tymczasem ciągle trwała środa. Jedyne, co przychodziło do głowy, to pokryć gorący news jeszcze gorętszym newsem.

W tej sytuacji kilka minut później w apartamencie Kazia Robercikiewicza zadzwonił telefon. Dzwonił minister Tomasz Turecki.

- Mam do ciebie wielką prośbę. Zrób bałagan w apartamencie, rozerwij koszulę i podrap sobie twarz.

- Ale w jakim celu?

- To polecenia Ronka.

- Mimo to chciałbym wiedzieć, w jakim celu.

- Rozwodzisz się z Izold.

-Co? - były premier Trzeciej Najjaśniejszej nigdy nie był bliższy zawału niż w tej chwili.

- Trzeba przykryć niedobre newsy megahitem. Musisz się poświęcić, Kaziu.

-Nic nie muszę! Jestem wolnym człowiekiem i po takim dictum wracam do BiS-u! - oświadczenie Robercikiewicza zabrzmiało groźnie i zdecydowanie.

-Nic nie rozumiesz! Twoje rozstanie z żoną będzie tylko dla picu. Ot, gorąca sensacyjna wiadomość, o której jutro wszyscy zapomną. A jak nie zapomną, to się ją zdementuje - głos

Tureckiego robił się coraz bardziej przekonujący. - Zainscenizujemy wasze pogodzenie w programie „Wybacz mi”... Cała Polska będzie miała łzy w oczach.

- Tylko że w tej chwili Izold nie ma w Warszawie.

- Tym lepiej. Niczego nie popsuje.

- Ale jak się dowie, to mnie zabije.

-Bez przesady. Kto się czubi, ten się lubi. Kupisz jej jakiś prezent, a potem zaprosimy was na kolację z Ronkiem w Łazienkach przy świecach...

-Naprawdę? Izold lubi takie romantyczne sytuacje.

- Sam widzisz, jakie to łatwe!

-Pozostaje jeszcze jeden mały problem. Izold niespecjalnie przepada za Ronkiem. Ale gdyby tak namówić na tę kolację Janusza Moczypsa... Jest jej idolem.

- Załatwię to! Jak trzeba będzie, podwiezie was tam bolidem sam Kapilca, drinki mieszać będzie Kuba Powiatowy, a przygrywać orkiestra kameralna pod batutą Jurka Owsika. Ale teraz pośpiesz się, ekipy Polkabla i TKN-u będą u ciebie za trzy minuty. Możesz odmawiać odpowiedzi na wszystkie pytania. To wizerunkowo nawet lepiej wypadnie: krew na twarzy, zdemolowane mieszkanie, a ty zachowujesz się jak prawdziwy mężczyzna. To co, zrobisz to?

- Dobra - mruknął niechętnie.

- Partia ci tego nigdy nie zapomni. Chcesz być jedyką na liście w Gorzowie?

*

Eryk Miziak oczekiwał na Brygidę, stojąc na stopniach schodów Dworca Centralnego. Był już mocno zdenerwowany.

- Czekam tu na ciebie pół godziny - sarknął. - Dzwonię, a twój telefon bez przerwy zajęty!

-Przepraszam. Byłam pewna, że pociągnie spóźni.

-Wyjątkowo przyszedł o czasie. Gdzie mój samochód?

- Kilometr stąd.

-Nie mogłaś zaparkować bliżej?

-Nie mogłam! - odpowiedziała zdenerwowana i w paru słowach opowiedziała o zdarzeniach ostatniej godziny.

- Ale ty jesteś dzielna! - zawołał z podziwem i mocno przygarnął ją do siebie. O dziwo, nie odepchnęła go tak energicznie, jak się spodziewał. Może z poczucia winy.

W każdym razie, kiedy trwała przytulona do niego, zapytał: - Co z naszym wyjazdem do Egiptu. Jedziemy, nie jedziemy?

- Ostatnia wersja brzmi; jedziemy - odparła, wysuwając się z jego ramion. - Jutro o 6.00. Na lotnisku musimy być najpóźniej o 5.00.

Po dotarciu do punktu zakwaterowania Miziak otrzymał dwie informacje, dobrą i złą - dobrą było to, że Jarmuła ucieszyła się z prezentów: szwajcarskich czekoladek i trzech butelek reńskiego wina. Złą - że poinformowała go o załatwieniu dwóch osobnych pokojów w hotelu.

*

Jak łatwo można było przewidzieć, Waldemar Kargul większość dnia przespał i dopiero obudziwszy się pod wieczór w stanie wielkiego wyczerpania, zażądał jajecznicy z dziesięciu jaj, kilograma kawioru, koniaku, orzechów i jeszcze paru innych afrodyzjaków posypanych korzeniem mandragory.

W dodatku odmówił uiszczenia opłaty za usługę.

- Miała być burza - powiedział. - A to, co było, czymkolwiek by było, z burzą nie miało nic wspólnego.

-Ma pan rację - powiedziała skruszona Horpyna. Postanowiłam, że otrzyma pan 90-procentową bonifikatę na nasze usługi. - Wiem też, gdzie popełniony został błąd.

- Gdzie?

- Bielizna była za cienka i z tworzyw sztucznych.

Dlatego wywołałyśmy mgłę, a nie chmury burzowe. Ale proszę się nie martwić. Mamy już parę kompletów bielizny bawełnianej i wełnianej, a koło północy mój przyjaciel dowiezie z Grodna najcięższą artylerię.

- Co mianowicie?

- Przedrewolucyjne barchany.

*

W tym samym czasie zanosilo się na zupełnie mną burzę. Pod pozorem grillowania, w ogródku Michała Skalki położonym na skraju gminy Wawer, zgromadziło się kilkanaście wpływowych postaci z Brawa i Społegliwości, z prezesem na czele.

Prezes bardzo poważny milczał cały czas, a jego wierni paladyni na próżno usiłowali odgadnąć, o co mu chodzi. O „komisję parapsychiczną”, jak określały ją media? O incydent związany z porwaniem? Wedle informacji z Pałacu Prezydenckiego sprawy były na dobrej drodze, a przynajmniej tak twierdził premier, który wziął cały problem na siebie. Co prawda Lech Indykiewicz gotów był do osobistych rozmów z prezydentem Mamutowem, ale odpowiedziano mu grzecznie, że Dymitr Anatoliewicz nie może z nim rozmawiać nawet przez telefon, bowiem, jak twierdzą kremlowscy lekarze, nie pozwala mu na to alergią wobec kilku osób. Powód troski trudno byłoby wnioskować również na podstawie składu zgromadzonych - byli obaj spleen doktorzy, Joanna Guzik-Rostkowska, Adam Lipka, Zbyszek Osierdzie, Jacek Kogucik - brat Jarosława Kogucika, który zaprzedał się Adamowi Pysznikowi, zostając u niego wicenaczelnym (ale jak twierdzili złośliwi, był to strategiczny podział ról pomiędzy braćmi). Był również europoseł Rysio Białecki, Mariusz Piaseczek...

Gdyby jakiś pismak wkręcił się na to party, mógłby mówić o towarzyskim ewenemencie. W zwartym na zewnątrz BiS-ie istniały wewnętrzne napięcia. I niektórzy z przyjemnością utopiliby Zbyszka Osierdzie w łyżce wody, a Jacek Kogucik zrewanżowałby się w ten sam sposób Michałowi Skałce, powszechnie nazywanemu „Misiem”. Całość w kupie trzymała żelazna wola prezesa, który decydował, komu z jego podkomendnych w tym tygodniu wolno pogłaskać kota, a komu nie. Trwała pełna napięcia cisza. Dopiero po drugim piwie i trzeciej kiełbasce Jarosław Indykiewicz przemówił:

- Mamy poważny problem. Jest między nami szkodnik.

Każdy popatrzył po sobie, robiąc szybki rachunek sumienia - „Chlapnąłem coś po pijaku w Argentynie?” - przemknęło Skałce. „Oberwie mi się za teścia postkomucha?” - rozważał Białecki. „Dostanę kolejny ochrzan za jazdę dwieście kilometrów na godzinę przez ogródek jordanowski?” - pomyślał Kogucik.

- Sprawa jest poważna - powtórzył prezes. - Ojciec Maślak z Radia Gloryja rozważa cofnięcie dla nas poparcia.

Zaszumiało i zapadła cisza.

- Ale dlaczego? - ośmielił się zapytać Adam Ochotny.

- Za kontakty z Siłami Ciemności. Z osobowym Złem.

- Ależ nikt z nas nie myśli na serio o sojuszach z Lewizna - powiedział Skałko.

- Nie chodzi o Lewiznę! Jeden z was podjął rozmowy w sprawie wykorzystania magii do celów wyborczych. Dlatego pytam po dobroci. Który? Niech się w tej chwili przyzna.

Znów zapadła długa cisza, każdy spoglądał spode łba na każdego, ale się nie kwapił z przyznaniem.

- Milczenie nic wam nie pomoże. Kolega Piaseczek zdobył bilingi rozmów z Arkadym Gusiewiczem. Jeden z was dzwonił do niego chętnie i często.

Adam Lipko nie wytrzymał. Rymsnął na kolana, rękę prezesa całować począł, popiół z grilla na głowę sypać.

-Tak, to ja, dzwoniłem, rozmawiałem, zaliczkowałem. Opacznie zrozumiałem zdanie pana prezesa, że dla drugiej kadencji trzeba zrobić wszystko, a nawet więcej. Poblądziłem w dobrej wierze. Chciałem zaangażować szamana i na skróty wygrać wybory! Przepraszam. Przepraszam!

W tym momencie lzy zaczął lać rzęsiste i na kolanach podążać za Indykiewiczem, który ruszył w stronę barku z napojami.

- Jednak kolega Adam nie był jedynym, który rozmawiał z Arkadym Gusiewiczem - tu prezes skinął na Piaseczka, a ten dobył z kieszeni długą listę.

- Oczywiście dzwoniłem - parsknął Jacek Kogucik. - Chodziło o załatwienie gitary o dziewięciu strunach.

- Dla mnie miał się postarać o baby sitter dla córeczek! - zawołał Skalko.

-Konsultowałem się z nim w sprawie dobrego wydawcy dla mojej powieści - usprawiedliwiał się Białecki.

-Aja potrzebowałem informacji na temat obiegu dokumentów - rzucił spokojnie Ochotny.

- Ja też dzwoniłem - przyznał półgębkiem Osierdzie. - Próbowałem się dowiedzieć, kto personalnie przeszkadza powrotowi mojej narzeczonej Patrycji Piaseckiej do telewizji publicznej.

Indykiewicz słuchał tych szczerych wyznań z rosnącym zadowoleniem.

-I na kogo miałbym liczyć w tej ciężkiej sytuacji? - ojcowskim gestem przytulił do siebie Joannę Guzik.

- A może mają rację ci, którzy mówią, że już pora oddać stery w ręce kobiety?

- Nigdy bym nie śmiała aspirować tak wysoko - wyszeptwała całkiem pobladła posłanka.

- Polska nie dojrzała jeszcze do prezydenta kobiety.

-To prawda - zgodził się prezes. - A poza tym nasz niezastąpiony Lipka nie tylko samowolnie podjął się zaangażować szamana, ale co gorsza, nie potrafił go znaleźć.

XI.

Kulminacja

NOC ZE ŚRODY NA CZWARTEK

Krótko przed zmierzchem rządowy helikopter wylądował pośrodku polany na skraju Białodziury. Przez całą drogę Radwan Wróbelki nie ukrywał złego humoru. Nie podobała mu się sytuacja, wkurzała go ta misja, a nade wszystko nie lubił Włodzimierza Cichoszewicza. I nie była to kwestia różnic ideowych - Partia Obiecanków przyjmowała na swe łono nie takich postkomunistycznych modeli jak Wołodia - ale raczej charakterologicznych. Wprawdzie niewiele pozostało w Radwanie z dawnego żarliwego antykomunisty, ale za Ruskimi nadal nie przepadał (zwłaszcza gdy musiał ich całować w dupę), a postkomuchami gardził. A co do narzucanego mu współnegocjatora - nie cierpiał jego wyniosłości, którą dumnie mogli brać za dystygowanie, oraz umiejętności dystansowania się od dawnych towarzyszy, powodującej, że choć czerwony do szpiku kości, postrzegany był przez większość społeczeństwa jako niezależny, a bywało - jedyny sprawiedliwy. I tak działo się od początku III RP.

Kiedy Leszek Killer woził w walizce szmal z Moskwy przy pełnej aprobacie całej partyjnej góry, Cichoszewicz go krytykował. Towarzysze rwali szmal jak świeże wiśnie, a on ogłaszał akcję „Czyste ręce”. I uchodziło mu to płazem po obu stronach barykady... W dodatku był nieomal etatowym kandydatem we wszystkich wyborach prezydenckich, choć jak dotąd albo przegrywał sromotnie, albo rejterował przed finiszem. Toteż nie dziwota, że przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Radwan udawał, że śpi, a Wołodia czytał „Zapiski myśliwego” w oryginale.

Szef MSZ-etu wybuchnął dopiero, gdy jego lakierki, nabyte przez żonę w najdroższym salonie na V Alei, zapadły się w błotniste podłoże lądowiska.

-Nie było lepszego miejsca do lądowania? - rzucił wściekle do garstki witających go ludzi.

- Chcieliśmy uniknąć szkolnego boiska lub w centrum miasta - oświadczył wojewoda, a komendant straży granicznej zginając się w ukłonach, wyjaśnił, że skoro misja jest tajna, trzeba być przygotowanym na rozmaite niewygody.

- Jakże na przykład?

-Musimy zrezygnować z wcześniejszego planu przejazdu przez tutejszy punkt graniczny.

- Dlaczego?

- W związku z kryzysem i plotką o rozmowach, która w niewiadomy sposób wyciekła, pojawiło się mnóstwo dziennikarzy obserwujących przejście.

-Jak zdążyli? Znowu był przeciek? Przecież ja sam wiem o misji dopiero od paru godzin.

- Żurnaliści mają swoje metody! - wtrącił Cichoszewicz.

- Co w takim razie robimy? - dopytywał się Wróbelski. - Przelecimy helikopterem na drugą stronę?

- Z co najmniej dwóch powodów jest to niewskazane.

- Mianowicie?

-Jest zakaz latania w nocy, a po drugie, nasi sąsiedzi w związku z zaistniałą sytuacją wprowadzili stan podwyższonej gotowości. Jakiś narwaniec mógłby próbować zestrzelić maszynę. A to nie jest kuloodporny „Błękitny grom”.

- Jesteśmy gośćmi najwyższych władz ZBiR-u!

- Ale tajnymi. Góra o tym wie, lecz dół nie ma pojęcia. I póki misja się nie zakończy, się nie dowie.

- Jaka jest więc możliwa opcja pokonania granicy? Podkopem?!!!

-Moglibyśmy przebrać was za białoruskich chłopów uprawiających proceder „mrówek”..

-Minister rządu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie będzie uczestniczył w jarmarcznych przebiórkach! - huknął Wróbelski.

- Są jeszcze inne drogi - odezwał się Cichoszewicz.

-Dacie nam dobry wóz terenowy, a szybko przejedziemy przez puszcę. Istnieje mnóstwo duktów i ścieżek, które bez problemów doprowadzą nas do granicy.

- Jednak łatwo pobiłdzić - zaniepokoił się komendant straży.

-Znam ten las jak własną kieszeń, mam tu swoją dację, poluję, dokarmiam zwierza i z połową żubrów jestem po imieniu - zapewnił Wołodia. - W pół godziny doprowadzę delegację do granicy, jak po sznurku. Byleby ktoś oczekiwał nas po drugiej stronie. Jakiś konsul... - tu ugryzł się w język, jako że białoruski konsul znajdował się akurat w kostnicy...

- Oczywiście, ktoś będzie czekać. Jestem w stałym kontakcie z moim odpowiednikiem białoruskim, przebywającym już w prezydenckim zamczku. On wyśle informację do swoich ludzi. Dam wam dodatkowo ośmiu chłopaków obstawy. Tylko proszę być przygotowanym na ewentualność, że przejazd może zabrać trochę więcej niż pół godziny. Mgła zaczyna się podnosić.

„Rękoś” z uwagą przeczytał tekst na pendrivie dostarczonym przez „Jankesa”. Ten przez ostatni czas zdążył wypić dwie podwójne whisky, obserwując przez okno hotelu Marriott nocną panoramę stolicy. W polskim światku gangsterskim obaj uchodzili za najlepszych. Przynajmniej wśród żyjących. Po dwudziestu latach III RP z pierwszej generacji polskiej mafii przeżyło ledwie paru mniejszych drapieźników, a z nich większość trafiła do klatek. Nie żył zastrzelony przed sklepem nocnym w Wawrze „Oszołom”, pożegnał się ze światem jego brat „Babuła”, a pod sklepem mięsnym w drugiej części Warszawy zdradziecka kula przerwała egzystencję wykwintnego „Salcesona”. Zamiłowanie do nart kosztowało życie bandytę o ksywce „Tomahawk” skonał też w kanciapie swego gdańskiego przybytku rozrywki żyjący po książęcu „Kikoi” Inni w zastanawiających okolicznościach popełnili samobójstwo jak legendarny „Słonina” nad pięknym, modrym Dunajem.

„Rękoś” uszedł cało między innymi dzięki swym umiejętnościom technicznym: nikt tak jak on nie organizował ładunków wybuchowych, a także dzięki talentom Hamerskim. Nie parął się też osobiście mokrą robotą i umiał trzymać mordę na kłódkę. Na dodatek miał swoje układy w kręgach władzy i nie był przesadnie pazerny na szmal, toteż nikomu tak naprawdę nie zależało na jego eliminacji. Funkcjonował również jako kanał kontaktowy między dwoma światami, prawa i bezprawia, a niekiedy też jako ich filtr.

„Jankes” to coś innego. Mokra robota, której nauczył się w sekcji specjalnej SB, owym, owianym tajemnicą komandzie Y, była jego żywiołem. Mówiono, że ma na rozkładzie paru księży i kilku dygnitarzy partyjnych, którzy w okresie transformacji stali się gadatliwi. Był odważny, ale nie przesadzał z brawurą i wykazał dość rozsądku, aby już w 1992 roku prysnąć za granicę, zaś jego koledzy zadbali, aby jego dane wyparowały z kartotek. Od tego czasu wykonywał rozmaite zadania w szerokim świecie, pilnując się przed chęcią nostalgicznej podróży do ojczyzny. Tym razem jednak musiał do niej zajrzeć.

Na krótko. Jego aktualny zleceniodawca Edward Kujawa chciał, aby we dwójkę z „Rękosiem” udali się do Egiptu i tam wykonali dla niego małą robótkę. Chodziło o niejakiego Czerwonkę, faceta, który znikł, jakby go święta ziemia pochłonięła, a z jakiegoś powodu był Kujawie cholernie potrzebny.

Dzięki cynkowi z AB W „Rękoś” wiedział, że parka policjantów, określanych przez kolegę z centrali obelżywym mianem „krawężniki”, wpadła na trop poszukiwanego i właśnie leci do Egiptu, gdzie istnieją spore szanse ustalenia miejsca pobytu Czerwonki. Wiele

wskazywało też na to, że skoro jego ochroniarz Boczek znalazł się nad Morzem Czerwonym, przebywa tam również i on, pod jakimś zmienionym nazwiskiem.

- Co mamy z nimi zrobić? - zapytał „Jankes”, który nie znał jeszcze treści zlecenia.

- W sprawie gliniarzy i ochroniarza dostaliśmy wolną rękę. Jeśli idzie o Czerwonkę, musimy go dostarczyć w jednym kawałku, naturalnie, żywego - wytłumaczył „Rękoś”.

- Rozumiem. A jak wydostaniemy się z Egiptu?

- Kujawa podstawi nam samolot. Dla niego to żaden problem.

- Pójdziemy się zabawić w miasto? - zapytał „Jankes”, wpatrując się w nieznaną mu panoramę Warszawy, z której zapamiętał jedynie iglicę Pałacu Kultury.

- Nie potrzeba kusić licha. Załatwiłem ci sprawdzoną dziewczynkę do pokoju. Chyba że wolisz chłopczyka?

- W pewnych sprawach pozostałem tradycjonalistą - roześmiał się „Jankes”.

*

Po krótkim regeneracyjnym posiłku delegacja, na czele z Radwanem Wróbelkim, wyruszyła w dalszą drogę. Do przebycia mieli według mapy ledwie kilkanaście kilometrów. Mgła, niestety, podnosiła się znacznie szybciej, niż oczekiwano. W dodatku już po kilometryrze zwalone drzewo, którego wcześniej w tym miejscu nie było, zmusiło ich do objazdu, a potem natrafili na zapadnięty mostek. Jednak dzięki wskazówkom Cichoszewicza i skrętowi w starą przecinkę pokonali i tę przeszkodę. Mimo to wkrótce znaleźli się jakby w środku kotła z bitą śmietaną, tak gęstą, że nie widać było nawet końca własnego nosa. Szybkość wyprawy spadła do dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Czy na pewno wiesz, gdzie jesteśmy, Wołodia? - zapytał w pewnym momencie lekko zaniepokojony Radwan.

- Ogólnie biorąc, tak, ale nie do końca.

- Może sprawdzimy nasze położenie na GPS-ie?

- GPS tutaj nie działa.

Jak się okazało, nie działały również ich telefony komórkowe. A nawet telefon satelitarny Radwana. Ich miejscowy przewodnik, major straży granicznej, tłumaczył to anomalią magnetyczną, nie wykluczał też, że Białorusini w pokojowych celach mogą testować środki zakłócające łączność.

- To jak się mamy z nimi porozumieć? - wybuchnął Radwan.

- Przecież zostali poinformowani, że udaje się do nich nasza delegacja, i czekają na nas.

-Wszystkie nieszczęścia naraz - pieklił się Wróbelski. - I jeszcze ta mgła... Skąd się wzięła?

- Musi być sztuczna - powiedział przewodnik.

- Tam na wschodzie bawią się w takie eksperymenty.

- Ale po co komu sztuczna mgła?

-Nie mam pojęcia, ale jak coś jest, to zawsze może się przydać.

- Może zawrócimy? - nieoczekiwanie zaproponował Cichoszewicz. - Chyba zjechaliliśmy w rejon bagienny... Podmokły.

-Ja się nigdy nie cofam - odparł Wróbelski, czując odpowiedzialność przed Bogiem i Historią. - Nie w takich tarapatach bywałem!

Naraz z tyłu dobiegły gwałtowny hałas i ryk silników pracujących na pełnych obrotach. Potem siarczyste klątwy.

- Co się stało? - zaniepokoił się Radwan. Zatrzymali się i przewodnik pobiegł sprawdzić.

- Wóz obstawy wpadł w bagno - oznajmił po chwili. - Po dach! A właściwie tylko antena wystaje.

- Szybko go wyciągną?

- Raczej w ogóle nie wyciągną. Potrzebny będzie ciężki sprzęt. Na szczęście obyło się bez ofiar, wszyscy bezpiecznie opuścili pojazd.

- To co teraz zrobimy?

- Obstawa pójdzie z nami pieszo, przecież i tak posuwamy się z szybkością piechura. A kilku żołnierzy uda się przodem sprawdzać teren, tak żebyśmy i my przypadkiem nie spadli z drogi.

- Może by jednak zawrócić? - powtórzył Cichoszewicz.

-W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, nie ma już większego znaczenia, w którą stronę się udamy - odpowiedział filozoficznie major.

-Jedziemy dalej! - zdecydował Radwan. - W Gruzji podczas naszej historycznej wyprawy z panem prezydentem było ciężiej.

Wołodia tylko się uśmiechnął. Faktycznie, wszyscy uczestnicy tamtej misji wspominali, że było ciężko, a w dodatku Wróbelski zrobił wiele, z buntowaniem pilota włącznie, żeby było jeszcze ciężiej.

Starszy lejtnant Siemion Siemionowicz Siemionów dowodził niewielkim, ale mobilnym oddziałkiem patrolującym konno pogranicze z Republiką Polszy.

Normalnie nie emocjonował się szczególnie swoją służbą. Łapał przemytników i puszczał za połowę zysku. Chwytał także uciekinierów przez zieloną granicę zdążających do upragnionej Unii. Tu miał ustaloną od osoby stawkę - pięćset dolców za przymknięcie jednego oka, a tysiąc za dwa, chyba że wśród uciekinierów trafiła się jakaś apetyczna Azjatka, wówczas zadowalał się daniną w naturze.

Tej nocy jednak był bardziej czujny niż zwykle. Od południa w wojskach pogranicza obowiązywał stan podwyższonej gotowości. Nie bardzo rozumiał, co to oznacza, ale lata kukaszenkowej propagandy zrobiły swoje. Wiedział doskonale, że cały świat dybie na pokój miłującą Białoruś, jej ład wewnętrzny, dobrobyt i samego „baćkę”. Kto konkretnie? Wiadome siły z Zachodu, ze zdradzieckimi Polaczkami na czele. Czy dzisiaj coś się w tej sytuacji zmieniło? *Czort znajet!*

Pod wieczór otrzymał trzy szyfrogramy, których, niestety, nie odczytał, bo mechanizm deszyfrujący się zepsuł. Jednak kiedy przyszło otwartym tekstem zapytanie, czy rozumie zalecenia, odparł, że tak, wiedząc, że jeśli awaria sprzętu wyjdzie na jaw, winien będzie oczywiście on, Siemion Siemionowicz Siemionów. Z tego powodu prostoduszny lejtnant nie miał pojęcia, że na wprost niego znalazła się polska delegacja, przepelniona miłością do takich przedstawicieli Najbliższego Orientu jako on.

Tymczasem jeden z jego ludzi dał znak, że coś się dzieje po polskiej stronie. Zatrzymali się, a konie wyszkolone, żeby trzymać język za zębami, przestały parskać.

-Żubry! - powiedział jego zastępca, Iwanienko.

- Raczej tygrysy - zażartował ktoś inny.

Na stanie oddziału była jedna lornetka termowizyjna, pozwalająca widzieć niezależnie od mgły i ciemności. Siemion uniósł ją do oczu i zdrtwiał. W stronę granicy, stanowiącej w tym momencie granicę światów, posuwał się pojazd, ani chybi opancerzony, otoczony przez gromadę uzbrojonych osobników, już na pierwszy rzut oka przypominających regularne wojsko. Co więcej, już po chwili oddział ten przekroczył linię graniczną.

„Zawsze musicie być gotowi do odparcia inwazji” - przypomniał sobie zdanie „baćki” Siemionow.

- Z koni! Seria ostrzegawcza! - rzucił do swych podkomendnych.

Rozkaz został wykonany. Kule przestębnowały las. Przeciwnik przypadł do ziemi.

- Co się dzieje? - zapytał Cichoszewicz.

-Chyba trafiliśmy na grupę przemytników - odparł major. - To się zdarza w tych stronach.

W tym momencie poszła druga seria. Znacznie niżej. Przednia szyba trafiona tuż nad ich głowami rozprysła się w drebiezgi.

- Odpowiedzieć ogniem! - zawołał Wróbelki i wyskoczył z wozu.

Chłopaki tylko na to czekali. Strzelanina trwała pół kwadransa. Na dłuższą metę białoruscy poborowi nie mogli wytrzymać z dobrze wyszkolonymi polskimi żołnierzami zaprawionymi w działaniach w Bośni, Iraku i Afganistanie. Podali więc tyły, zostawiając dwa trupy ludzkie i trzy końskie.

Nie bawiąc się w szyfrowanie, Siemionów nadał otwartym tekstem: „Polskie jednostki zmotoryzowane wtargnęły na nasze terytorium. Mamy straty osobowe. Musimy się wycofać, przyślijcie posiłki!”.

Nadał oczywiście do swoich zwierzchników, o powołaniu specjalnego białodziurskiego centrum nie miał pojęcia.

*

Kukaszenka i minister Monastyrów daremnie oczekiwali na przybycie polskiej delegacji. Minister spraw zagranicznych mocarstwa, stary sowiecki aparateczyk, upajał się, wyobrażając sobie, jak przeczolga Radwana, tego „Afgańca”, jak każe mu służyć na dwóch łapkach, zanim rzuci mu jakiś ochłap imperialnej łaski. Albo i nie rzuci. Oczywiście wiedział, że w całej aferze rację mają Polacy. Jednak we wszystkich grach, które prowadził, racja z urzędu zawsze należała do silniejszego.

Kukaszenka też się cieszył, zamierzając wykorzystać sposobność i skłonić Wróbelki ego, aby stał się jego „wprowadzającym” na brukselskie, a może i waszyngtońskie salony. Przy okazji może pomógłby mu załatwić jakąś nową żonę. Stara stanowczo była już zbyt wysłużona i nie bardzo nadawała się na wielkoświatowe forum. Najlepsza byłaby Amerykanka. W ostateczności nawet Żydówka. Albo Mulatka. Jak ta Condoleezza... - zaśmiał się, wyobrażając sobie miny swych rodaków, gdyby przedstawił im czekoladową *pierwuju lejdi*.

Chociaż w przeszłości bywały precedensy. Taki Puszkina, na przykład - *charoszyj poet* chociaż w jednej czwartej *niegr* A może *łoże jewriejl*

Takie wyobrażenia przychodziły im tym łatwiej, że nie mogąc się doczekać gości, pojedli, popili, potem znowu popili... A starszy, bardziej zmęczony życiem, Monastyrow usnął. Kukaszenka czuwał. To znaczy spał, ale z otwartymi oczami.

Z błogostanu obudził „baćkę” dopiero telefon ze sztabu.

- Atakują nas! - wołał dramatycznie szef wojsk pogranicza.

-Kto?

- Polaki. Ich oddział wtargnął na nasze terytorium w środku puszczy, wybił naszych pograniczników i prze naprzód.

- Ale dlaczego? - różne sprzeczne wyobrażenia targaly Kukaszenką. A może rzeczywiście całe te negocjacje były jedynie chytrym manewrem *Zapada* pragnącego wciągnąć go w zasadzkę, zasloną dymną dla prawdziwych celów? Stąd ten pomysł tajnych rokowań na odludziu, gdzie praktycznie można by go było schwytać gołymi rękami. Od dawna doradcy przekonywali go, że Polacy cały czas kombinują, jakby go zbrojnie obalić, i przy pomocy mniejszości polskiej powrócić do granic sprzed 17 września 1939 roku. A więc stąd te obietnice rozmów, kluczenie, zwodzenie... Ciekawe, jaki udział miała w tym Moskwa. Musiała coś wiedzieć.

Kukaszenka popatrzył na śpiącego Monastyrowa. Najchętniej rozwaliliby mu łeb. Ale nie mógł na to sobie pozwolić. Jeszcze bardziej nie mógł dopuścić do tego, aby Polaczki dopadły go w tej głuszy.

- Niedoczekanie ich! Zwołajcie naradę w Grodnie i przyslijcie po mnie śmigłowiec - zawołał do słuchawki. - Natychmiast!

- Nie wyląduj w takiej mgle!

-W takim razie postawcie w pogotowiu nasze siły lotnicze. Można też wysłać jednego miga, żeby zbombardował agresora. Jeśli testują naszą odporność na prowokację, niech mają za swoje.

-Tak jest, *tawariszcz prezident!* (zwrot „towarzyszu” został wprawdzie oficjalnie wycofany z nomenklatury, ale na najwyższych szczeblach władzy używany był nadal z przyjemnością). - Zaraz wystartuje!

Kukaszenka, choć unieruchomiony w zameczku, nie zamierzał pozostać bezczynnym. Zawołał szefa ochrony i kazał rozpocząć przygotowania do obrony obiektu.

- Jeśli zajdzie potrzeba, będę walczył z automatem w rękę, jak ten Salvador Dali... Nie, wróć! Salvador Allende.

Tu przypomniał sobie o Rosjaninie.

- Sierioża - szarpnął za rękaw Monastyrowa. - Sierioża. Budź się. Wróg u bram! Dzwon na Kreml!

Jednak szef dyplomacji Federacji Rosyjskiej nie odpowiedział. Spał na stole, chrapiąc donośnie i mamrocząc w odpowiedzi na kolejne kuksańce Kukaszarki:

„Na Berlin, na Berlin!”.

(

- Nie jest dobrze - powiedział major po powrocie ze zwiadu. - To nie byli przemytnicy.

- A kto?

- Regularny oddział białoruskich wojsk ochrony pogranicza.

- O w mordę! - zaklął Radwan.

- W dodatku udało się nam ustalić, że znajdujemy się już na terenie Białorusi.

Słupek graniczny leży, o tam.

- Dlaczego leży?!

- Bobry go nadgryzły!

- Matko Boska - zawołał Cichoszewicz, który lubo ateusz, nie potrafił znaleźć innego wykrzyknika na podobną okazję.

- Zawracamy? - zapytał major.

Wróbelkiemu przyszło na moment do głowy, żeby iść dalej, zająć pałacyk myśliwski i wyzwolić Białoruś spod dyktatorskiej władzy, przechodząc w ten sposób na karty historii, ale się pohamował. Nie z Cichoszewiczem u boku. W czasach, kiedy był jeszcze przyjacielem braci Indykiewiczów, wysłuchiwał fantastycznych opowieści o ojcu Wołodii, czekicie, który jakoby biegał z naganem... A jeśli przekazał nagan synowi? Taką możliwość mógł potwierdzać fakt, że od chwili rozpoczęcia kanonady Cichoszewicz nie wyjął ręki z kieszeni.

-Wracajmy - zdecydował niechętnie. - Połączcie mnie z... - nerwowo zastanawiał się, z kim mógłby porozmawiać w takiej sytuacji - ...z kimkolwiek.

- Nadal nie mamy zasięgu - odparł major.

- Mamy białoruską komórkę - powiedział naraz jeden z żołnierzy. - Wziąłem od jednego z poległych. Powinna działać.

Rzeczywiście działała. Radwan wybrał kierunek do Polski i telefon do swego zastępcy. Ten nie odbierał. Zadzwoił do Jacka Szeptańskiego - ten sam efekt. Podobnie było z Duckiem. Uprzejmy głos pani Małgorzaty proponował nagrać wiadomość lub zadzwonić później. Sklął ich w myślach, choć z drugiej strony trudno było się dziwić. Trwała głęboka

noc i wszyscy porządni ludzie spali. W innej sytuacji może by i czekali na wynik rozmów. Ale zasada utajnienia negocjacji sprawiła, że kontakt miał nawiązać dopiero rano.

- Może spróbuję zadzwonić do Białodziury - zaproponował major. Już wyciągał rękę, kiedy na wyświetlaczu zabłysnął komunikat o wyczerpywaniu się baterii (polskie litówki nie pasowały, niestety, do białoruskiej cegły).

Wycofywanie się trwało, choć ze względu na mgłę odbywało się niesłychanie powoli. Minęli powalone słupki białoruski i polski, który obrośnięty jakimś dzikim powojem został wcześniej zignorowany. Przez pół godziny szło im nieźle, jednak około 2.30 dobiegł do nich narastający ryk silników, a następnie odgłos pikującego miga.

- Z wozu i rozproszyc się, rozproszyc się - zakomenderował major. Nie musiał dwa razy powtarzać.

Pierwsza rakietą upadła jeszcze po stronie białoruskiej. Rozległ się mocny wybuch i przeraźliwy kwik ranionych koni.

„Brawo!” - pomyślał Radwan - zbombardowali własne pozycje!”.

Jednak druga rakietą, zdecydowanie celniejsza, trafiła ich samochód, szczęśliwie pusty. Nad puszcza pojawiła się kula ognia.

„Niedobrze - stwierdził w sercu Wróbelki - chyba przez pomyłkę wywołaliśmy trzecią wojnę światową”.

W kompletnej rozpaczce zadzwonił do żony. Odebrała po trzecim dzwonku.

- Co ty wyprawiasz - ofuknęła go. - Jestem na briefingu dziennikarzy w Białym Domu. Oddzwonię później.

-Nie będzie żadnego później, *sweet heart!* Ann, słuchaj mnie... Kurwa! Słuchaj!

-Jak ty się wyrażasz, Radwek, od tych trampkarzy przyjąłeś takie wulgarne słownictwo...

-Na miłość boską, zrozum...

- Jak będziesz tak krzyczeć, skończymy tę rozmowę.

-Wojna! - ryknął. - Zagłada. Holocaust!

Chyba zrozumiała wreszcie, że zdarzyło się coś szczególnego. Pozwoliła mu mówić. I słuchała, słuchała z rosnącym napięciem...

Kilka, a może kilkanaście kilometrów dalej, cały zastęp pracowitych dziewczynek podejmował próby przywołania burzy. Jak na razie na próżno. Inna sprawa, że bajzelmama postanowiła związać gościa, tak aby nie rozpraszać kumulującej się energii i pod żadnym pozorem go nie dotykać. Napięcie rosło. W powietrzu robiło się coraz bardziej duszno i parno... parno, znaczy. A gdy jeszcze sama Horpyna szepcąc zaklęcia, zaczęła ściągać swoje

barchany, Kargul nie wytrzymał. Wystrzelił z niego snop energii, przebił sufit i jak promień lasera trafił dokładnie w zbiornik paliwa białoruskiego miga, który zawracał, aby ostatecznie rozprawić się z polskimi agresorami.

- Trafili mnie, dostałem w silnik, mam uszkodzone stery! Płoniemy! - wrzeszczał pilot. - Proszę o zgodę na katapultację.

Zgody nie było. Ale pilot nie miał zamiaru umierać za Kukaszenkę. Uruchomił dźwignię. Jeszcze chwila, a maszyna koszącym lotem ścięła wierzchołki drzew i eksplodowała w wysuszonym młodniaku.

- Pali się, pali! - dotarły po jakimś czasie głosy do półprzytomnego Kargula.

Zaskoczony, a zarazem szczęśliwy próbował się uśmiechnąć, a nawet zanucił: „Pożar, pożar, coś nareszcie pali się!”

*

W wojsku, w odróżnieniu od innych instytucji, obowiązują ustalone procedury, które raz uruchomione szalenie trudno zatrzymać. Atak białoruskich sił powietrznych na polską część Puszczy Białodziurskiej nie uszedł uwagi ani zwiadu satelitarnego, ani wschodniego dowództwa Paktu Północnoatlantyckiego.

Poderwano AWACS-y patrolujące normalnie przestrzeń państw bałtyckich, kierując je bardziej na południe. Wystartowały też z lotnisk w Dęblinie i Powidzu podległe zjednoczonemu dowództwu F-16. W odpowiedzi na wrogi akt, jakim było zestrzelenie ultranowoczesnego samolotu, jedynie wypożyczonego Białorusinom przez Rosję, ogłoszono alarm w obwodzie kaliningradzkim. Butin, wyrwany ze snu, daremnie usiłował się dodzwonić do Monastrowa, by dowiedzieć się, co właściwie zaszło, ale minister nie odbierał. „Może jego też zabili?” - pomyślał. Próbował telefonować do szefa jego ochrony, ale ten też nie odbierał, ponieważ akurat za pomocą saperki wraz z innymi drażył okop dookoła pałacu.

Zanim około 3.15 obudzono Kielicha i Ducka, przygotowania NATO do działań odstrasżających były w pełnym toku... Punkt piąty paktu mówił o natychmiastowej pomocy w przypadku zaatakowania któregokolwiek z członków...

*

Prezydenta Indykiewicza obudziło przeraźliwe miauczenie kota. Zaniepokoił się, jego ulubieniec nie podnosił alarmu z byle powodu. Wstał i w kapciach wyszedł na korytarz. Tam

pojął, co się stało. Zjezony jak kaktus wielorasowiec siedział na parapecie. I wpatrywał się w Zajączka. Generała Józefa Zajączka! Duch byłego jakobina, a późniejszego carskiego sługusa, sunął z rulonem map pod pachą na wysokości metra ponad ziemią. Twarz wykrzywił szkaradny uśmiech, a przyszczyżone i uczernione wąsiki dziwnie przypominały marszałka Górnowskiego. Na wysokości głowy Lecha duch zwolnił i wypuścił jedną z map. Prezydent ją pochwyił. Była to mapa - załącznik do paktu Ribbentrop-Mołotow.

Po chwili mapa znikła, ale zadzwonił Antoni Macierenko. Były minister mimo odejścia z urzędu nadal posiadał swoich informatorów i właśnie jeden z nich doniósł mu o starciach zbrojnych, które nocą rozgorzały w rejonie Białdziury. A plotka dodawała im rozmachu. Twierdził więc, że zbombardowano Hajnowkę, w Białymstoku ogłoszono alarm lotniczy, a puszcza płonie.

Kiedy pani Maryla obudziła się trzy minuty później, zastała męża w bojowym rynsztunku. W Pokoju Pamięci wyjął z gabloty kamizelkę kuloodporną, hełm małego powstańca, przełożył przez pierś dwa pasy z amunicją i przyczepił do guzików cztery granaty,

- Co ty wyprawiasz?! - wykrzyknęła.

- Udaję się na front. Ojczyzna wzywa! - odparł.

- Ale gdzie ten front?

- Na Podlasiu. Muszę być tam razem z narodem...

-Poczekaj chwilę, zrobię ci kanapki. Tylko jak się tam dostaniesz? Masz jakiś helikopter lub samolot? Przecież znając obecną ekipę rządową, niczego takiego ci nie dadzą.

- Nie będę się na nich oglądał. Postanowiłem postąpić jak paryżanie w bitwie nad Marną.

- To znaczy?

- Zamówiłem taksówkę!

*

Przez cały czas konferencji Anna Apfelsoft bezskutecznie usiłowała zadać pytanie prezydentowi Obejmie. Niestety, sekretarz prasowy znał ją zbyt dobrze, żeby pozwolić dorwać się do głosu i zakłopotać Buraka pytaniem o Rosję, prześladowanie chrześcijan w Azji czy rzezie w Darfurze. Anna miała nadzieję zamienić z nim parę słów (w końcu byli po imieniu) po zakończeniu konferencji i dlatego stale przemieszczała się w stronę podium. Jednak o godzinie 21.21 czasu waszyngtońskiego na salę konferencyjną wpadli agenci Secret Service, otaczając murem prezydenta. W zamieszaniu sekretarz obrony wołał, żeby udać się

do bunkra, a doradca do spraw bezpieczeństwa, że trzeba się ewakuować na pokład Air Force One.

Anna Apfelsoft zorientowawszy się, co się dzieje, rzuciła się szczupakiem w stronę prezydenta.

- Panie prezydencie! Buraku drogi! - zawołała.

Agenci odepchnęli ją brutalnie. Kątem oka ujrzała podążającą za gospodarzem sekretarz stanu w spódnicy.

- Hillary! - rzuciła rozpaczliwie w jej kierunku - musimy pogadać!

- Nie teraz - padła odpowiedź - zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu.

- Jak nie pogadamy, może nie być przyszłego tygodnia... - ale szefowa amerykańskiej dyplomacji zniknęła już w drzwiach.

- To jest dyskryminacja na tle rasowym - wrzasnęła Wróbelka. - Gdybym była protestantką albo muzułmanką, nie odmówiłabyś mi wywiadu!...

Oczy połowy sali skierowały się na nią.

Hillary Winton zbladła. Wojna nie wojna, ale reputacja w określonych kręgach była sprawą priorytetową, dlatego cofnęła się i przytrzymując drzwi, pozwoliła wejść Annie do ewakuacyjnego korytarza.

- O co chodzi, kochanie? - zapytała miękko.

- O nieporozumienie, które może się skończyć wojną światową, jeśli szybko nie zadziałamy.

W pięciu zdaniach opowiedziała o incydencie w Puszczy Białodziurskiej. Wyprawie polskiej delegacji, mgłę, braku łączności, przypadkowym starciu. Znała Rosję z autopsji i wiedziała, że nawet z błahego incydentu może powstać gigantyczna zadyma. Hillary, jak twierdzą waszyngtońscy specjaliści, trzy razy mądrzejsza od swego męża, zrozumiała powagę sytuacji.

- Chodź ze mną - pociągnęła żonę Radwana w kierunku bunkra. Powiesz wszystko prezydentowi. Mam nadzieję, że nie ogłoszono jeszcze czerwonego alarmu...

Dziesięć minut potem Obejma rozmawiał przez telefon z Putinem. Nie wiadomo, co mu obiecał, może referendum wśród mniejszości białoruskiej na Podlasiu w sprawie przyłączenia Białegostoku do macierzy, a może poparcie kandydatury Rosjanina do Pokojowej Nagrody Mebla. Prezydent Rosji zrozumiał sytuację i skłął w żywy kamień „tego kretyna Kukaszę”. Co do Polaków niczego nie obiecywał ani nie gwarantował. W każdym razie emocje opadły, samoloty wróciły do baz.

Zaś trzęsących się z zimna Wróbelkiego i Cichoszewicza znalazł wczesnym rankiem gajowy, który wybrał się na poszukiwanie kłusowniczych wnyków.

W każdym razie świat ocalał. Najzabawniejsze, że ocalał, nie wiedząc nawet, co mu groziło.

XII.

Tajemnica szamana

PONIEDZIAŁEK

Historyczną noc, w której demony zgromadzone nad naszą ojczyznę udało się rozegnać za pomocą paru telefonów, Brygida Jarmuła i Eryk Miziak spokojnie przesпали. Każde w swoim łóżku. Przed 5.00 byli już na Okęciu, gdzie dołączyli do grupki niewyspanych miłośników zwrotnikowego słońca, oczekujących na lot do Hurghady. Mgłę, która przez większość nocy spowijała Polskę, przegnał wiatr. I nie był to nawet jakiś szczególny wicher historii, a jedynie chłodny powiew z północy, charakterystyczny w porze zbliżonej do „zimnych ogrodników”. Od większości pasażerów naszych funkcjonariuszy odróżniał niewielki bagaż, choć Miziak w ostatniej chwili nabył wielkie żółte płetwy. Miało to zapewnić wtopienie się w tłum, a w istocie zwracało powszechną uwagę.

-Nie podoba mi się ten facet! - powiedziała Brygida, zobaczywszy przysadzistą postać „Jankesa”, który stał samotnie z niewielkim bagażem opodal kiosku zajmowanego przez biuro podróży.

- Ja też nie przepadam za gośćmi spędzającymi większość czasu na pakerni - zgodził się Miziak.

-Nie o to chodzi, obserwował mnie!

- To chyba normalne, jeśli nie jest pedałem - stwierdził starszy aspirant.

-Dziwne w takim razie, że jest sam. O ile wiem, do Hurghady nie jeździ się w celu podrywania Egipcjanek.

- A może jest po prostu instruktorem divingu?

- To byłby choć trochę opalony.

- Może zimą preferuje nurkowanie pod lodem?

„Rękoś” ze swą zdolnością do mimetyzmu w ogóle nie został przez nich zauważony. Zgodnie z zasadami nie mrugnął nawet do „Jankesa” i miał miejsce w odległej części samolotu. Po wylądowaniu na lotnisku mógł więc śmiało wskoczyć w taksówkę i pojechać w ślad za Brygidą i Erykiem, aż do hotelu Sunset Beach.

Jeśli policjanci z Wrocławka spodziewali się, że Wincenty Boczek będzie oczekiwał na nich na leżaku przy basenie, pomylili się srodze. Ochroniarz z grupą innych turystów wybrał się na wycieczkę, która nosiła nazwę „safari” i oznaczała jazdę terenowymi wozami po pustyni.

- Wróć wieczorem - powiedziała recepcjonistka.

Miziak najchętniej spokojnie by zaczekał do wieczoru, wykorzystując czas na pływanie i nurkowanie, wiedział jednak, że Brygida tak łatwo nie odpuści. I faktycznie. Kiedy zaniósł rzeczy do pokoju, okazało się, że znowu mieli dwójkę, jednak z osobnymi tapczanami.

Jarmule udało się dotrzeć do organizatorów wycieczek fakultatywnych, dowiedzieć się czegoś na temat trasy safari, a nawet znaleźć ochotnika, który za potrójną opłatą podjął się dogonić wycieczkę i złapać jej uczestników podczas odpoczynku w oazie.

*

Wydarzeń, które rozegrały się tej nocy na Podlasiu, nie można było pominąć milczeniem. Plotka rozeszła się jak kręgi na wodzie wokół wrzuconego do niej kamienia. Ulegała wzmocnieniu za sprawą obecnych w Białodziurze dziennikarzy. Eksplozji czy przelotów bojowych maszyn też nie dało się ukryć.

Po namyśle Ministerstwo Obrony zdecydowało się wydać dementi, stwierdzające, jakoby w Puszczy Białodziurskiej wylądowało UFO. Rzecznik resortu powiedział jedynie, że doszło tam do paru silnych wylądowań atmosferycznych, które miały formę tak zwanego pioruna kulistego i dokonały pewnych, niegroźnych zresztą zniszczeń w drzewostanie.

Oczywiście wścibscy dziennikarze natychmiast doszli do wniosku, że jeśli władza dementuje, to coś jest na rzeczy - co podsyciło jeszcze plotkę o inwazji z kosmosu. Ale - tłumaczył rzecznik Paweł Struś - lepsze plotki na temat inwazji zielonych niż prawdziwa informacja o wojnie polsko-białoruskiej.

Koło południa Wróbelki i Cichoszewicz oficjalnie przelecieli ponad granicą i rozpoczęli rozmowy w atmosferze wzajemnego zaufania i przyjaźni.

O powodzie spotkania, czyli wprowadzeniu Weroniki Iwan, całkowicie zapomniano, i można by mówić o kolejnym wielkim sukcesie rządu, gdyby nie komisja śledcza. Po oficjalnym otwarciu jej obrad poprosił o głos Antoni Macierenko.

-Może na wstępie zajmiemy się owymi piorunami kulistymi z Białodziury czy też jak twierdzi miejscowa ludność, inwazją UFO? - zaproponował z uśmiechem pełnym niewysłowionej słodyczy. - Jeśli koledzy pozwolicie, mam tu listę nazwisk świadków, których proponuję przesłuchać w pierwszej kolejności.

Wiesiołowski i Moczypies zaprotestowali gwałtownie, argumentując, że takiego punktu nie było w porządku dziennym, w związku z tym nie można go rozpatrywać, w dodatku już raz podobna lista Macierenki wywołała w kraju grozę i zgorzienie, urągając przyzwoitym ludziom, nierzadko autorytetom moralnym, i nazywając ich tajnymi współpracownikami

kosmitów (czy raczej komunistów); aliści prowadzący posiedzenie Ludwik Horn uchylił ten protest.

Jedyne, co udało się osiągnąć posłom Partii Obiecanek, to przerwać obrady na pół godziny, z powodu kolki jelitowej Wiesiołowskiego.

W trakcie tej, przedłużanej zresztą SMS-ami z kibla, przerwy, magistracka grupa remontowa przysłana przez panią Hannę Tango-Winiary pod pretekstem sprawdzenia ulatniającego się gazu, weszła do studzienki koło Sejmu i uszkodziła, naturalnie przypadkiem, kabel główny zasilający siedzibę parlamentu w energię świetlną.

Wedle pierwszych ocen naprawa miał zabrać co najmniej dwa dni.

Na przeniesienie obrad komisji winne miejsce marszałek Gommorowski nie wyraził zgody.

*

Pościg udał się nadspodziewanie. Po dłuższej gonitwie przez pustynię doszczętnie zakurzeni Brygida i Eryk znaleźli się wreszcie w oazie, w której biwakowała poszukiwana wycieczka. Naturalnie oaza była sztuczna. Jeziorko wykonano z folii obsypanej piaskiem, wodę do niego codziennie dostarczał beczkowóz, a i tak niedawno posadzone palmy prezentowały się dość rachitycznie. W dodatku za beduinów robili statyści z Indii, a stylowe namioty wykonał zakład pracy chronionej z Wałbrzycha. Największe wrażenie robiła unosząca się nad morzem piachu fatamorgana z zamkiem z „Tysiąca i jednej nocy”, ale okazało się, że to jedynie zmyślny hologram, uzyskiwany za pomocą rzutników napędzanych przez hałaśliwy agregat.

Wincentego Boczka wypatrzyli od razu, co nie było trudne, ponieważ akurat ustrojony w arafatkę fotografował się na wielbłądzie. Już zamierzali do niego podejść, kiedy Jarmuła zwróciła uwagę na tuman kurzu, który posuwał się równoległe do nich, bez przybliżania się do osady. Miziak zaś mógłby przysiąc, że błysnęło słońce odbijające się w szklach lornetki pasażera odległego wehikułu.

- Ktoś nas śledzi - mruknął.
- Jedziemy dalej, powoli - powiedziała podkomisarz po angielsku do kierowcy, Araba.
- Ale przecież szukali państwo tej grupy? - dziwił się Egipcjanin.
- To nie jest ta grupa - stwierdziła z naciskiem Brygida. - Dojeżdżamy do końca oazy

i zawracamy. Tamtędy.

Kierowca wykonał żądany manewr, po czym ruszyli z powrotem, przecinając drogę samochodowi, który był sprawcą chmury kurzu. Ten też nawrócił i umknął im, skręcając w pustynię. Nie dość szybko, żeby nie dostrzegli sylwetki potężnego pasażera.

- To ten gość z samolotu - powiedziała Jarmuła.

- Zauważyłem. Myślisz, że przyjechał tu za nami?

-Nie wiem, ale lepiej, żeby nie zauważył, jak kontaktujemy się z Boczkim.

Po powrocie do hotelu czuwali na zmianę, wypatrując atlety. Ten jednak się nie pojawił. Szczupłego mężczyznę w szortach, który siadł z drinkiem przy basenie, jakoś znowu przeoczyli.

*

Okazji do kolejnego spotkania Czereśniaka i Detyna dostarczyły zawody piłki ręcznej rozgrywane w Warszawie. Normalnie obaj nie przepadali za tą dyscypliną sportową, której daleko było do męskiej poezji futbolu, ale ich zjawienie się na stadionie było całkowicie uzasadniane i usprawiedliwione. Podobnie jak przypadkowe spotkanie w toalecie, którą wcześniej ludzie Czereśniaka sprawdzili pod kątem podsłuchu, oraz zadbali, żeby nikt niepowołany nie zjawił się tam podczas rozmowy dwóch dżentelmenów.

-I jak? - zapytał były wicepremier.

- Kamień w wodę - odparł przemysłowiec. - Ale pojawiła się pewna nadzieja.

Ta parka policjantów pojechała do Egiptu i jest na tropie.

- Też słyszałeś? - zdziwił się Detyna. - To super tajna akcja.

-A czy ty słyszałeś, Grzechu, o jakiegokolwiek tajemnicy, która by się uchowała w naszym kraju?

Polityk uśmiechnął się. Nie tylko słyszał, ale i widział. Mimo utraty kontroli nad służbami zachował w swym osobistym archiwum wiele danych drażliwych, wystarczających, by zdewastować naszą scenę polityczną. Co zresztą w dogodnym momencie zamierzał wykonać.

- Sęk w tym, że obie rysujące się możliwości nie są dla nas korzystne - wyjaśniał były wicepremier. - Albo nie znajdą szamana, i nie ma o czym mówić. Albo znajdą i wówczas Czerwonka zostanie „upaństwowiony” przez służby, aby być odtąd własnością tego, kto ma realną władzę. Stałą tajną bronią rządzącego.

- O ile szaman da się „upaństwowić”, to mimo wszystko wolny człowiek.

- Są na to metody - skrzywił się polityk. - Przykre, ale skuteczne.

- A jeśli powiem ci, że nie przejmą go służby?

- Jak to?

- Szamanem i waszymi policjantami ma zająć się niejaki „Jankes”.

-Nasz polski Szakal! - Detyna gwizdnął z podziwu. - Mówiono, że ostatnio pracuje dla Edwarda Kujawy, tego...

- Tym razem również działa dla niego. Jednak jego współpracownik, który woli pozostać anonimowy, to człowiek mojego człowieka... A to, jak sam rozumiesz, rokuje duże nadzieje...

-Nie chcę znać żadnych szczegółów. Muszę mieć Czerwonkę lub przynajmniej informację, gdzie przebywa.

-I będziesz to miał, Grzechu! - zapewnił Czereśniak.

- Tak mi mów, a będziemy mieli kupę radości! A propos kupy, spuśćmy wodę i umyjmy ręce, bo wydaje mi się, że siedzimy tu zbyt długo.

*

Lojalność starego Jarmuły wobec swego pryncypała nigdy nie budziła wątpliwości. Wykonywał swoje zadania bez rozważania ich aspektu moralnego.

Kiedy Czereśniak wprowadził obyczaj nagrywania swoich rozmówców, podporządkował się tej zasadzie bez zastrzeżeń. Więcej, z biegiem czasu doprowadził tę praktykę do perfekcji. Jeśli rozmowy prowadzone miały być podczas spaceru z psem, urządzenie nagrywające ukrywało się w obróżce.

Nie bacząc na niechęć do podróżowania, osobiście udawał się na elektroniczne targi do Hongkongu lub Seulu, z których przywoził prawdziwe cudowności, jak „pluskwę waterproof” w formie zatrzasku do spodenek kąpielowych czy też nadajnik w kształcie złotego gwoździa, którym współczesna elegantka potrafiła przebić sobie pępek albo cokolwiek innego.

Z czasem perfekcyjna działalność Jarmuły znacznie przekroczyła to, czego wymagał od niego pracodawca, a w jego prywatnym archiwum znalazły się nagrania, za które wielcy tego świata byliby gotowi zapłacić wiele. W końcu u Czereśniaka bywali najwięksi.

Miał więc wśród swych nagrań soczyste monologi byłego premiera Józefa Keksego, w których słowo „kurwa” padało częściej niż przepiórka na polowaniu, lakoniczne monosylaby dygnitarzy chłopskich czy bardzo konkretne i niezwykle świeckie, jak na działacza wszechkatolickiego, wypowiedzi Romana Graczycha. Kiedyś, raczej dla żartu, nagrał nawet orgietkę z udziałem posłów Samowolki. Inna sprawa, że przeglądając materiał, sam dostał torsji. Nagrania stanowiły „polisę na życie” starego esbeka, a być może również

otwartą inwestycję emerytalną, choć przy swym oszczędnym trybie życia wątpił, czy kiedykolwiek będzie musiał zniżyć się do szantażu. Owszem, miał raz ochotę oddać swoje archiwa rządowi, kiedy przez moment przypuszczał, że Indykiewicz może coś zdziałać. Ale najpierw nikt nie chciał z nim rozmawiać, obawiając się prowokacji, a później trafił na ministra Janusza Kraczmarka i już po paru minutach rozmowy zorientował się, kto zaczął, więc wycofał się rakiem, zanim jeszcze doszedł do przedłożenia swojej oferty. O działaniach tych córce nigdy nie wspominał.

Porządkując tego dnia nagrania - tym razem zapis pochodził z mikrofonu w rolexie Czereśniaka - zauważył coś, co go zaniepokoiło. Przesłuchał rozmowę z Detyną jeszcze raz, potem sięgnął do kilku innych nagrań z ostatnich dni. „Rany boskie!” - realizowany scenariusz był dla niego oczywisty.

Zrobiło mu się słabo. Spoconymi palcami wybrał numer córki, mając nadzieję, że w Egipcie funkcjonuje roaming, jednak Brygida nie odbierała. Albo bawiła się doskonale, albo...

Śmiertelnie przerażony przysięgał, że jeśli „Jankes” lub „Rękość” skrzywdzą śliczną podkomisarz, jego zemsta będzie niewyobrażalna, a wszyscy winni z Czereśniakiem czy Kujawą włącznie, żałować będą, że kiedykolwiek się urodzili.

*

Wincenty Boczek wydawał się niezmordowany. Ledwo wrócił z wycieczki i pojawił się na kolacji, funkcjonariusze nerwowo zastanawiali się nad metodą odbicia go od stada, ale on już pobiegł do swego pokoju i nim zdążyli go dopaść, wrócił z płetwami i maską pod pachą.

- *Night diving! Night diving!* - nawoływał instruktor na podjeździe.

Pojawiła się jeszcze czwórka amatorów nocnego nurkowania. Załadowano ich na półciążarówkę obciążoną butlami, i zaraz pochłonęła ich noc, lepka i parna. Sensu, aby gonić za nimi, policjanci nie widzieli. W końcu pod wodą dyskutuje się kiepsko, chyba że chodzi o sławną z więzień w Guantanamo i Starych Kiejkutach metodę podtapiania, stosowaną wobec muzułmańskich terrorystów.

Poprosili tylko w recepcji o informację, kiedy lokator pokoju 111 wróci do siebie (jeszcze po południu) za niewielką kwotę wręczoną pokojowej zwiedzili pokój Boczka i zepsuli blokadę drzwi prowadzących na balkon, jednak poza aparatem do podwodnych zdjęć, wędką i kuszą do podwodnych łowów nie zauważyli niczego interesującego). Teraz pozostało im jedynie czekać.

Erykowi przychodziło do głowy mnóstwo tematów, o których chciałby porozmawiać z Brygidą. Ale nie wiedział, jak zacząć. Również panna Jarmuła chętnie podzieliłaby się swymi przemyśleniami... Jednak żadne nie uczyniło kroku. Zasiedli na tarasie i żeby skrócić oczekiwanie, grali w tysiąca...

Na kolejne objawienie się Boczka czekali do północy. Wrócił zadowolony z plamami oleju na twarzy, jako że nocne nurkowania odbywały się w zatoce o wodach gęsto skażonych smarami silnikowymi. W barze strzelił wódkę z colą i poszedł do swego pokoju, tam otworzył lekko przymknięte drzwi na taras wychodzący bezpośrednio na morze, odwrócił się...

i zobaczył mężczyznę oraz kobietę wychodzących z jego łazienki. Skąd się tutaj wzięli? A może pomylił pokoje?

- Musimy pogadać, panie Boczek - powiedział przystojny, wysportowany mężczyzna. -

O Czerwonce.

-Ja nic nie wiem - wybelkotał. - Musicie wytłumaczyć Gusiewiczowi, że nie popełniłem żadnego błędu, że to nie moja wina...

Funkcjonariusze wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Najwyraźniej ochroniarz nie miał pojęcia o śmierci dyrektora i brał ich za jego fagasów...

- Jesteśmy z policji - Miziak pokazał odznakę.

- Chcemy tylko zadać kilka pytań na temat losu pana podopiecznego Czerwonki i będzie pan mógł kontynuować beztrudne wakacje. Rozumie pan?

Kiwnął głową. Eryk na końcu języka miał kolejne pytania, kiedy drzwi od tarasu wypełniła zwalista sylwetka „Jankesa” i zobaczyli wymierzoną w siebie broń, niezawodną berettę, która rozłożona na części pierwsze przyjechała przemycona w bagażu wśród akcesoriów fotograficznych.

-Przejmuję frajera! - powiedział krótko „Jankes”.

- Ale ja nic nie powiedziałem! - pisał Boczek.

-I bardzo dobrze, nie będę musiał ich zabić. Skrepuj ich tylko i zaknebluj! - rzucił Wincentemu krążek taśmy samoprzylepnej. - Ale już...

Miziak nie chciał jednak być zdany na łaskę i niełaskę bandziora. Udając pokorę, wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Brygidą i kiedy Boczek schylił się, by związać mu nogi, a Brygida zwróciła się do „Jankesa” ze słowami „Proszę nie robić mi krzywdy!”, chwycił ciężki wazon i cisnął nim w gangstera. Ten jednak uskoczył. Ale Boczek też nie był w ciemni bity, odwrócił się i chwycił go za nogi.

„Jankes” stracił równowagę. Zdołał jednak strzelić, kula rozorała Boczkowi ramię, druga wymierzona była w Brygidę, jednak Miziak błyskawicznie zasłonił ją sobą. Uderzenie w pierś zważyło go na ziemię.

Jarmuła zdążyła zniknąć już za drzwiami.

„Jankes” zaśmiał się. Pomyliła drzwi i zamiast na korytarzu znalazła się w pozbawionej okien łazience. Chętnie pobawiłby się z nią dłużej, ale strzały z pewnością postawiły cały hotel na nogi. To, że go rozpozna, nie miało znaczenia, i tak zamierzali odlecieć prywatnym samolotem. Najważniejsze zabrać Boczka i ewakuować się łodzią, na której czekał „Rękoś”. Popchnął rannego Wincentego ku drzwiom na taras.

- Idziemy! - warknął.

Zaraz za wybetonowaną ścieżką zaczynało się molo. Boczek zacisnął dłoń na ramieniu. Między palcami ściekała krew. Byli już na zewnątrz, kiedy gangster bardziej poczuł, niż usłyszał za sobą ruch. Odwrócił się, ale było za późno, grot kuszy przebił podkoszulek i rozharatał mu bebechy. Zachwiał się, a wtedy Boczek wyrwał mu pistolet.

- Niech pan wraca! - zawołała Brygida. Ten łajdak z pewnością nie był sam.

Zatem posłusznie ruszył w stronę pokoju. Miał dość wrażeń. I potrzebował pilnego opatrunku, jeśli nie chciał się wykrwawić.

Od strony mola rozległ się ryk silnika startującej motorówki. „Rękoś”, który widział wszystko, nie miał najmniejszej ochoty podzielić losu kompana.

Jarmuła podbiegła do leżącego na łóżku Miziaka. Był bardzo blady, ale żywy.

- Uratowałeś mi życie - powiedziała. - Trafiłby mnie jak nic. Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo cię kocham! - powiedział Eryk i zemdłał. Albo udał, że mdleje.

Przez kwadrans w hotelu trwało istne pandemonium. Karetki, policja!

Miejscowi gliniarze mieli ogromną ochotę aresztować Jarmułę, ale jej legitymacja i szybka interwencja ambasady w połączeniu z przesłanym dossier „Jankesa” zrobiły wrażenie. Na szczęście udało się jej uzgodnić z Boczkiem wspólną wersję dla Egipcjan, że napad miał charakter rabunkowy, a przybyły z Polski gangster najwyraźniej pomylił Boczka z kimś innym.

W celi posterunku w Hurghadzie podkomisarz dokończyła rozmowy na najważniejszy temat.

-Naprawdę nie wiem, gdzie może być Alojzy - wyznał Wincenty. - Rozumiem, że to brzmi nieprawdopodobnie. Ale takie są fakty. Tamtego ranka widziałem, jak wychodzi do sklepiku, potem jak zasłania okna w swoim pokoju. Wprawdzie nigdy nie robił tego w dzień,

ale nie miałem żadnych złych przeczuć. Przez następną godzinę nic się nie zdarzyło, tylko o 10.28 nagle z kwietnika na skwerku poderwały się ptaki, tak jakby je coś spłoszyło.

- Interesujące.

- O 12.05 przyszedł listonosz. Chyba z listem poleconym. Dzwonił i dzwonił. Nikt mu nie otwierał, wreszcie wrzucił kartkę z zawiadomieniem o przesyłce i poszedł sobie. Zaniepokoił mnie ten brak reakcji. Czerwonka przecież nie wychodził.

-Nie mógł wyjść niepostrzeżenie?

-Nie mógł. Dom ma tylko jedno wyjście, a okna wychodzą wyłącznie na moją stronę. Z tyłu, jak zapewne pani wiedziała, jest ślepy mur. Później sprawdziłem nawet piwnice. Żadnych tajemnych przejść. A ja przez ten czas nie ruszyłem się ani na moment. Zadzwoiłem do Alojzego. Na stacjonarny. Na komórkowy. Nie odbierał. Pomyślałem, że coś mogło mu się stać - Chociaż za młody na zawał... Licho wie. Ponieważ miałem dorobiony klucz, dostałem się do mieszkania.

- A jego nie było?

- Ani śladu. Poza tym porządek, wszystko poukładane... Jedyne, na co zwróciłem uwagę, to dziwny zapach.

- Zapach?

- Taki jak po uderzeniu pioruna. Ozon. I wie pani, co przyszło mi do głowy? Że on się zdematerializował.

- Ale wówczas pozostałby przynajmniej jakiś ślad, popiół...

-Nic nie zostało. Zauważyłem jedynie, że poduszka na podłodze wyglądała, jakby ktoś przypalił ją gorącym żelazkiem.

- A więc pan to też zauważył! - wykrzyknęła. - I jaki wyciągnął pan z tego wniosek?

-Że Alojzego nie ma już na tym świecie. Specjalnie wierzący nie jestem. Ale wtedy, pamiętam, aż się przeżegnałem. Tylko jak miałem o tym powiedzieć Gusiewiczowi? Kazał mi pilnować Czerwonki jak źrenicy oka. A ja nie upilnowałem. Mógł pomyśleć, że za jego plecami zrobiłem biznes i wydałem szamana komuś za ciężkie pieniądze.

- Miał pan takie oferty?

- Nie. Ale Arkady mógł uważać, że miałem.

- Rozumiem, że znał pan umiejętności Czerwonki?

-Domyślałem się trochę. Kretyn w końcu nie jestem. Pomyślałem sobie, że jak przeczekać miesiąc w Egipcie, to wszystko się wyjaśni, a Gusiewicz ochłonie i da sobie wytłumaczyć...

- Sądzi pan, że ktoś mógł Czerwonce pomóc w tej dematerializacji?

- Cholera wie. Może istnieje jakaś broń mogąca wywołać unicestwienie na odległość. Tylko że z drugiej strony, nie zauważyłem, żeby poza mną ktokolwiek go inwigilował.

- A jak Czerwonka zachowywał się w dniach poprzedzających zniknięcie? Czy zauważył pan coś, co odbiegało od normalnego rytuału?

-Powiem szczerze: zachowywał się trochę dziwnie. Całą niedzielę przesiedział w kościele. A trzy dni wcześniej był w szpitalu u matki i na grobie brata.

- Skąd pan wie?

- Przecież byłem jego aniołem stróżem.

- Czyli twierdzi pan, że zachowywał się jak człowiek, który może przygotowywać samobójstwo?

-Raczej jak taki, który zamierza wyjechać gdzieś na dłużej... I jeszcze jedno - ściszył głos - wtedy nie myślałem, żeby to miało jakieś znaczenie, ale teraz...

- Proszę mówić.

- Kiedy w tamtą niedzielę wrócił z kościoła i wszedł do domu, nie przypuszczałem, że będzie jeszcze wychodził...

- Pilnował go pan cały czas. Jak to było możliwe technicznie? Dzień i noc tkwił pan przy oknie?

-Niezupełnie. Miałem włączoną kamerę na opcję „czuwanie”. Kiedy coś działo się przy drzwiach jego domu, automatycznie włączał się zapis w urządzeniu i dostawałem sygnał dźwiękowy. Tamtego wieczoru wyszedłem do toalety, kiedy usłyszałem charakterystyczny sygnał. Pomyślałem, że to może ktoś z sąsiadów albo jakiś przechodzień i spokojnie się umyłem. Potem obejrzałem zapis. Pierwszy raz Alojzy przyszedł do domu o 8.11. Drugi o 9.05.

- Może w międzyczasie wyszedł po papierosy?

- Sęk w tym, że kamera powinna zarejestrować jego wyjście. A nie zarejestrowała.

- Może się zacięła?

- Może...

Rozmowę przerwało wezwanie na kolejne przesłuchanie.

*

Kiedy tylko zakończyły się czynności śledcze, policja egipska poprosiła Boczkę i Jamrułę, aby jeszcze parę dni nie opuszczali Egiptu. Brygida pojechała do szpitala. Kula,

która przeszła Erykowi prawe płuco, poczyniła niewielkie spustoszenia i była szansa, że do wesela się zagoi.

Pocałowała go mocno. Dawno nie całowała tak żadnego mężczyzny.

- Co ci się stało? - wykrztusił zdziwiony.

- Nic, po prostu też kocham, mój bohaterze - wyznała impulsywnie, wiedząc, że jeśli nie zrobi tego teraz, później będzie znacznie ciężiej.

O wiele łatwiej poszło jej scharakteryzowanie sytuacji. „Jankes” przeżył, ale już teraz o jego ekstradycję wystąpiły policje paru krajów. Jego partner, na którego temat konsekwentnie milczał, został nieujawniony. Opowiedziała również to, czego dowiedziała się od Wincentego Boczka. Najciekawsze jednak Brygida zostawiła na później.

-Dostałam przed godziną SMS-a od opiekunki starej Czerwonkowej, informującego mnie, że biedna kobiecina umarła. Nie licząc się z kosztami, zadzwoniłam natychmiast do Rychłowa i dowiedziałam się niezwykłych rzeczy. Na krótko przed śmiercią kobieta odzyskała świadomość. Mówiła coś o synu, a na koniec dwukrotnie powtórzyła słowo, które zaskoczyło pielęgniarkę: „Teleportacja, teleportacja!”.

-Teleportacja! - oczy Eryka rozbłyły. - To by wyjaśniało, co się stało z Alojzym Czerwonką. Facet wysłał siebie gdzieś w czasoprzestrzeń.

- Tak, ale raczej trudno będzie nam go znaleźć. Może być wszędzie. Albo nigdzie.

XIII.

Nieoczekiwany ciąg dalszy

Być może historycy analizujący wydarzenia tamtego lata i jesieni potrafią ułożyć w logiczną całość pełną sekwencję zdarzeń, wytłumaczyć, które elementy miały znaczenie, które nie.

Czy odegrał tu swoją historyczną rolę Józef Psuj, który z polecenia byłego ministra sportu Mirka Pniaka zawitał pewnego dnia do domu Grzegorza Detyny? Można najogólniej powiedzieć, że ów pięćdziesięcioletni mężczyzna był „cudotwórcą inaczej”, szamanem *ärebours*, „Jonaszem”, jak mawiają ludzie przesądni. Potrafił zepsuć wszystko, czego się tknął. Najlepszych dowodów jego możliwości dostarczyła jego kilkunastoletnia praca w Biurze Budowy Autostrad. Był tam tylko portierem, ale co najmniej dwa razy dziennie ocierał się o kolejnych dyrektorów. Prace ruszyły, dopiero gdy zwolnił się na własną prośbę. Później używany był jako antydoping w sporcie. Wpuszczony choć na chwilę do szatni przeciwnika, przynosił niezawodną klęskę. Oczywiście jeśli przypadkiem nie otarł się później o kapitana drużyny polskiej, co było możliwe, ponieważ był wyjątkowym niedorajdą.

- Jesteś pewien, że jego zapeszenie dotyczy również polityki? - dopytywał się Grzechu.

- A pamiętasz nasze obawy po wyborach 2005 roku, że może dojść do Wielkiej Koalicji?

- spytał Mirro. - I rokowania na żywo?

-Musiały być prowadzone przed kamerami! Nie wierzyłem Borucie jak psu. Indykiewicz zresztą też nie miał za grosz zaufania do Robercikiewicza.

-Mimo to mogli się dogadać, gdybym nie wstawił Psuja jako pomocnika kamerzysty do studia - znacząco przymrużył jedno oko Pniak.

Trudno było o lepszą rekomendację.

- Podobno potrafi pan wszystko zepsuć? - powiedział Detyna, witając przybyłego.

Psuj nie musiał odpowiadać, żywym dowodem okazała się klamka od drzwi, która została w ręku gościa, przyciśnięta przed chwilą nazbyt mocno.

- Jak się postaram, jestem niezawodny - uśmiechnął się wargami, za którymi krył się pełen garnitur złotych zębów.

- Będę miał dla pana parę zadań - powiedział Grzechu, od razu przystępując do rzeczy.

-Z góry dziękuję, ale honorarium proszę przesłać mamusi. Ja zaraz albo bym zgubił, albo przepułał.

- Żony pan nie ma?

- Miałem trzy, ale wszystkie ode mnie uciekły.

- Oto człowiek, jakiego mi było trzeba! - pomyślał Detyna i rozmarzył się trochę.

Albowiem wiedział, że zemsta jest rozkoszą bogów. Nawet tych upadłych.

Stary Jarmuła również nie rzucał słów na wiatr, zapowiadając zemstę. Wprawdzie jego córeczka wyszła z egipskiej rozgrywki bez szwanku, ale samo ryzyko, na jakie została wystawiona, domagało się pomsty. I pomsta się dokonała.

„Jankes” po wykurowaniu przez egipskich konowałów, wzorem innych wybitnych gangsterów przebywających w polskich zakładach karnych, sam wymierzył sobie sprawiedliwość, wieszając się na powrozie ukręconym z prześcieradła. Biznesmen Czereśniak w pół roku stracił wszystko, a przede wszystkim pieniądze. 1 lipca Jarmuła podziękował mu za pracę. A już od następnego tygodnia finansowe imperium hazardowego magnata zaczęło się walić. Banki, dotąd wyjątkowo łaskawe, zażądały natychmiastowego zwrotu kredytów, sanepidy i tym podobne instytucje z rygorystyczną pasją zajęły się przybytkami należącymi do oligarchy. W basenach znajdowano zdechłe żaby, w kasynach szczury, w restauracjach karaluchy. Politycy nawet szczebla lokalnego wykasowali go ze swych komórek i list osób uprzywilejowanych. Oczywiście Czereśniak nie podejrzewał nawet, jaką w tym rolę odegrały selektywnie udostępniane nagrania pochodzące ze zbiorów jego szefa ochrony.

Edwardowi Kujawie też zaczął się palić grunt pod nogami. Jak w maglu w polonijnym półświatku rozeszło się, że od lat kablował na swoich kolegów z branży nie tylko polskiemu wywiadowi, ale również służbom amerykańskim. Wprawdzie udało mu się w najwyższym pośpiechu zbiec do RPA czy innej Nowej Zelandii, ale było tylko kwestią czasu, kiedy go tam znajdą. I kto będzie pierwszy.

Najgorszy jednak los spotkał „Rękosia”. Kiedy bezpiecznie wrócił do Polski, był przekonany, że i tym razem mu się upiekło. Jakież było jego zdumienie, kiedy został już następnego dnia aresztowany. Wkrótce poznał zarzuty. Wielokrotne gwałcicielstwo.

Daremnie przekonywał, że nie ma nic wspólnego z Janem Lepieszką i co więcej, że nie może mieć, choćby z racji wieku, miał przecież lat czterdzieści cztery, a poszukiwany zboczeniec trzydzieści trzy. Na próżno. Wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Badania DNA, linie papilarne, zeznania świadków, samochód, rowery składaki, ku jego najwyższemu osłupieniu składały się w logiczną całość. „Rękoś” nie miał wątpliwości, że dokonano gigantycznego fałszerstwa na wszystkich szczeblach, ale nie mógł zrozumieć, w jaki sposób i po co. Prokurator wprawdzie młody, ale obciążony dziedzicznie, gdyż jego ojciec oskarżał w procesach stalinowskich, nie dał obronie szans, nie poszedł też na ugodę, mimo że „Rękoś” gotów był wsypać połowę polskiego podziemia w zamian za wolność. Sędzia, którego teczką tajnego współpracownika SB dysponował Jarmuła, okazał się równie bezwzględny.

W dodatku cały spryt, którym dotąd wykazywał się gangster, teraz obrócił się przeciw niemu. Pięć tożsamości, którymi zręcznie posługiwał się przez całe lata, bez wyjątku okazało się fałszywymi. Prawdziwy Waldemar Raczkowski (jak naprawdę nazywał się „Rękoś”) zmarł wedle wszelkich danych w roku 1990.

W rezultacie jako Lepieszce wymierzono mu dwanaście lat więzienia i skierowano do najgorszego zakładu karnego, pełnego recydywistów, którzy dyszeli nienawiścią do takich jak on gwałcicieli, a jak twierdziła przekazywana nie wiadomo przez kogo plotka, również pedofilów.

-Jeśli przeżyje, będzie miał dupsko jak Cieśnina Gibraltarska! - wyznał w przypiływie szczerości jeden z wybitniejszych dziennikarzy śledczych.

Oczywiście poczucie sprawiedliwości nie pozwoliło Jarmule, by prawdziwy Lepieszko uszedł bezkarnie. Wytropił go w leśnej ziemiance niedaleko Wrocławka, osobiście wykastrował, a następnie po krótkiej rekonwalescencji i nieco dłuższych rekolekcjach, skierował do zakonu o wyjątkowo surowej regule (biskup nadzorujący klasztory w tej diecezji też był bohaterem jego nagrań).

A potem w znakomitym samopoczuciu człowieka, który spełnił mnóstwo dobrych uczynków, Jar muła mógł się już spokojnie zająć przygotowaniami do ślubu córki.

*

Relacja z istotnych wydarzeń tego lata byłaby niepełna, gdyby nie przybycie do Polski Eugenii Krawczyk. Natychmiast po przylocie skontaktowała się z podkomisarz Jarmułą i zapoznała ją z nagraniem, które po powrocie z urlopu znalazła na swej sekretarce. Dzwonił Alojzy, a nie zastawszy siostry w domu, nagrał, co następuje:

„Szkoda, że nie możemy porozmawiać, kochana. Wybieram się daleko, na długo i nawet nie mam pewności, czy kiedykolwiek wrócę. Chciałbym, żebyś wiedziała, dlaczego to robię. Po prostu muszę. Pamiętasz, co mówiłem ci podczas mojej wizyty u ciebie o swoich umiejętnościach. Nie przechwalałem się. Raczej umniejszałem swe możliwości. Co gorsza, one rosną, a człowiek, który jest moim »diabłem stróżem«, zmusza mnie do robienia różnych paskudnych rzeczy. Mam dość! Nie chcę wpływać pod jego dyktando na losy kraju, a co gorsza, świata. Pamiętasz, jak zabrałaś mnie na konwencję partii demokratycznej i poznałaś z młodym Murzynem kandydującym na senatora? Zrobił na mnie miłe wrażenie, więc podając mu rękę, przekazałem sporą porcję energii... Przyjął ją i wygrał.

Parę lat później znów zobaczyłem go na ekranie telewizora, oglądałem właśnie bezpośredni przekaz na CNN-ie, jako jednego z wielu kandydatów prezydenckich. Trochę żartem, a trochę pragnąc sprawdzić własne możliwości, skoncentrowałem się i zafundowałem mu telepatyczny przekaz mocy, powtarzając: »You can do it, you can do it...«.

Kiedy Burak Obejma został prezydentem, ogarnęła mnie nie tylko satysfakcja, ale przede wszystkim strach. Pomyślałem o wszelkich możliwych pokusach i sytuacjach, w jakich Gusiewicz, a potencjalnie także inni Gusiewicze, mogliby mnie wykorzystać. Powiesz, że mógłbym im odmówić. Tak! Jeszcze niedawno myślałem, że mógłbym. Jednak kiedy podczas jakiejś rozmowy, w której usiłowałem się opierać, wobec kolejnej propozycji Arkady rzucił na wpeł żartem: »Owszem, zawsze możesz odmówić, ale pamiętaj, masz rodzinę. Dwie uroczce córeczki...«, poczułem paraliżujący strach.

Powiedziałem sobie: mam dosyć! Idą kolejne wybory, i co? Mam znów sprawić, żeby jakiś cwaniak został prezydentem wszystkich Polaków, natchnąć charyzmą jakieś beztalencie w garniturze, jakiegoś głupca, ambicjonera, agenta czy naiwnego poczciwca, który może okazać się jeszcze szkodliwszy niż pozostali? Polacy kogoś wybiorą. Ale niech zrobią to na własny rachunek, beze mnie. Jeśli ktoś spieprzył III Rzeczpospolitą, to ja. Muszę to przerwać, siostrzyczko...”

- Dalej zabrakło miejsca na nagranie - powiedziała Eugenia i otarła łzy.

- Nie ma pani żadnych podejrzeń, dokąd mógł się teleportować? Miał może wymarzone miejsce...?

-Nie sądzę, żeby bez paszportu i pieniędzy wybrał się do jakiegoś urokliwego zakątka świata, na Seszele lub Karaiby. Myślę, że zafundował sobie raczej podróż w czasie.

- To znaczy...? Zna pani jego ulubioną epokę historyczną?

- Wykluczam podróż w przeszłość - pani Krawczyk energicznie pokręciła głową - to podobno fizycznie niemożliwe, a nawet gdyby istniała taka możliwość, groziłoby to, jak kiedyś mówił, „totalnym kolapsem”, końcem świata... Więc jeśli wybrał się gdziekolwiek, to w przyszłość. Tylko nie mam najmniejszego pojęcia, dokąd.

*

W dniu wyborów państwo Miziakowie zdążyli się pokłócić co do kandydatów i mimo wzajemnej agitacji (co było ich prywatnym złamaniem ciszy wyborczej) pozostali przy swoim. To znaczy, osiągnęli zgodność tylko na piętnaście minut, kiedy kochali się jak wariaci. Jednak do lokalu wyborczego udali się przekonani co do walorów swoich faworytów.

Frekwencja zapowiadała się na dużą. Cały Wrocławek stawił się przy urnach, jakby nagle uwierzono, że tym razem wybór kogokolwiek może cokolwiek zmienić. Stanęli więc cierpliwie w kolejce po karty do głosowania. Byli o metr od stolika, kiedy stało się.

Najpierw rozległ się huk, potem utworzył się wir powietrza, który poderwał kartki ze stołu, a potem między policjantami i urzędnikami wyrósł drobny mężczyzna w starym, dziurawym swetrze. Co ciekawe, w powietrzu rozniósł się charakterystyczny zapach ozonu.

-Pańskie dokumenty - powiedziała do niego urzędniczka, podczas gdy jej koleżanki zajęły się zbieraniem kartek.

Mężczyzna najwyraźniej lekko oszołomiony pomacał się po kieszeniach.

- Chyba zapomniałem - wybełkotał.

- Ale ja go znam! - zawołała jedna z urzędniczek, wyściubiając nos spod stołu. To pan Czerwonka z naszego osiedla. Alojzy Czerwonka.

- My też go znamy - potwierdzili Brygida i Eryk.

- W takim razie proszę się podpisać na liście i pobrać kartę - powiedziała urzędniczka.

- A mogę pożyczyć długopis?

-Proszę! - pani Miziakowa podała mu wieczne pióro. Podziękował i ruszył w stronę kabiny.

-Przepraszam! - pogonił za nim Miziak. - Przepraszam, ale czy może mi pan odpowiedzieć na pytanie, gdzie pan był, kiedy pana nie było?

- Nigdzie - odparł Czerwonka i zniknął za kotarą.

Od wschodu zaczynało się chmurzyć, jednak Brygida pomyślała sobie, że gdyby odwieść Czerwonkę od dalszych skoków w czasie, a pozwolić mu działać wedle jego patriotycznego sumienia, los Rzeczypospolitej, jak przepowiadał ongiś ksiądz Klimuszko, byłby zabezpieczony. W końcu z przewidywanych przez jasnowidza pięćdziesięciu dobrych lat dla Polski pozostało jeszcze dwadzieścia.

Pod warunkiem że nie wtrąci się jakiś Psuj.

KONIEC

Wawer, luty - marzec 2010

Postacie dramatu

Wszelkie podobieństwo do znanych postaci jest celowe, zamierzone i złośliwe, co jednak znaczy, że prawdziwe.

Lech Indykiewicz - prezydent III Rzeczypospolitej

Ronald Duck - prezes Rady Ministrów, lider Partii Obiecanek

Waldemar Kargul - wicepremier, lider Partii Siermiężno-Ludowej

Radwan Wróbel - minister spraw zagranicznych

Anna Apfelsoft - jego żona, publicystka amerykańska

Bogdan Kielich - minister obrony narodowej

Jan Vincent Vangoghowski - minister finansów

Michał Pony - sekretarz stanu w kancelarii premiera

Wronisław Gomorrowski - marszałek Sejmu z ramienia Partii Obiecanek

Paweł Struś - rzecznik Rady Ministrów

Tomasz Turecki, Jacek Szeptański - doradcy prezesa Rady Ministrów

Krzysztof Kloziak - szef służb specjalnych, Agencji Błogostanu Wewnętrznego

Jacek Kaszana - podpułkownik, wiceszef Agencji Błogostanu Wewnętrznego

Grzegorz Detyna - szef klubu parlamentarnego Partii Obiecanek

Stefan Wiesiołowski, Janusz Moczypies - posłowie Partii Obiecanek

Zbigniew Bulkower i Mirosław Pniak - bohaterowie afery ruletkowej

Tadeusz Małopolski - pierwszy niekomunistyczny premier w III RP

Jerzy Guzek - przewodniczący Parlamentu Europejskiego

Władysław Kasperczyński - profesor, autorytet moralny

Jarosław Indykiewicz - przywódca opozycyjnej partii Brawo i Spolegliwość

Michał Skalko i Adam Ochot - europosłowie Brawa i Spolegliwości, spleen doktorzy

Zbigniew Osierdzie - europoseł Brawa i Spolegliwości, były minister sprawiedliwości

Jacek Kogucik, Ryszard Bialecki - europosłowie Brawa i Spolegliwości

Antoni Macierenko - poseł Brawa i Spolegliwości, były minister spraw wewnętrznych

Janusz Kraczmarek - były minister spraw wewnętrznych i administracji

Mariusz Piaseczek - były szef Czerezwyczajki Bez Apelacji

Adam Lipka - poseł Brawa i Spolegliwości, Negocjator Tysiąclecia

Joanna Guzik-Kostkowska - posłanka, szefowa klubu parlamentarnego Brawa i Spolegliwości

Ludwik Horn - były poseł Brawa i Spolegliwości, szef Drugiego Millennium

Jan Olsza - mecenas, były premier RP

Hanna Tango-Winiary - prezydent stolicy z ramienia Partii Obiecanek
Grzegorz Popieralski - szef Lewizny Socjaldemokratycznej
Ryszard Klawisz - adwokat, poseł Lewizny Socjaldemokratycznej
Jerzy Majdziński - poseł Lewizny Socjaldemokratycznej
Włodzimierz Cichoszewicz - senator Lewizny Socjaldemokratycznej
Lew Szwendala - były prezydent RP
Franek Typiński - były kandydat na prezydenta RP
Fred Słodzik - były szef Ogólnopolskiego Pyskowania Związków Zawodowych
Marian Piękniewski - były szef Związku Zawodowego „Solidność”
Janusz Śladek - aktualny szef Związku Zawodowego „Solidność”
Aleksander Goryczko - były prezydent RP
Jolanta Goryczko - jego żona
Leszek Killer - były premier z ramienia Lewizny Socjaldemokratycznej
Józef Keksy - były premier i były marszałek z ramienia Lewizny Socjaldemokratycznej
Wojciech Karuzelski i Czesław Kiszonka - generałowie, przywódcy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, twórcy stanu oblężenia
Piotr Magda Boruta - niedoszły Premier z Krakowa z ramienia Partii Obiecanek
Kelly Boruta - jego żona, posłanka Brawa i Spolegliwości
Kazimierz Robercikiewicz - były premier, aktualnie z żoną Izold, celebryci
Andrzej Kolesiowski - były współtwórca Partii Obiecanek, były minister, były kandydat na prezydenta, były tajny współpracownik... generalnie - były
Roman Graczych - były wicepremier, szef Wszechkatolików
Andrzej Trądzik - ludowy watażka, szef Samowolki, krótko wicepremier
Renata (Cham)Burger - była posłanka Samowolki
Paweł Miętus - nadzieja Partii Obiecanek, obecnie lider Szarych Demokratów
Jerzy Turban, Oliwia Mazut, Adam Pysznik, Tomasz Kuna, Tomasz Kolek, Janina Parandowska, Jacek Studencki - wpływowi dziennikarze
Tomasz Workiewicz - redaktor naczelny „Niezależnego Periodyka Polskiego”
Aleksy Wołoszyn - profesor astronomii
Tadeusz Maślak - ojciec dyrektor Radia Gloryja
Edward Kujawa (USA), Peter Bird (Szwajcaria), Ryszard Czereśniak (RP) - biznesmeni
Burak Obejma, Nicolas Narkozy, Angela Cyrkiel, Sylvio Perlusconi, Władimir Butin, Dymitr Mamutów - wielcy tego świata

Aleksander Kukaszenka - prezydent Białorusi

Fillary Winton - sekretarz stanu USA

Siergiej Monastyrów - minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej i inni.